



Sergiusz Jackowski



DZIEJE NAD STRUMYKIEM





MIĘDZYLESIE

## OD AUTORA

### SZANOWNI CZYTELNICY!

*Czas zaciera ślady. Myślę, że nigdy nie zaszkodzi przekazać młodym pokoleniom pewnej dawki minionych dziejów. Być może niektórzy czytając moje wspomnienia ze współczuciem przeżyją dramaty i tragedie niewinnych ofiar II Wojny Światowej. Opisałem je na podstawie zachowanych dokumentów i zdjęć, własnych spostrzeżeń oraz wywiadów z polskimi świadkami wydarzeń. Skorzystałem z fragmentów książki „WYSPY ODRZAŃSKIE” znajdującej się w archiwum w Wilkowie. Ważne były także odwiedziny i wieloletnia korespondencja z przedwojennymi mieszkańcami regionu. Poza tym zaczerpnąłem nieco ciekawostek z pracy magisterskiej Zbigniewa Wocha zamieszkałego w Ciborzu.*

*Moja praca została oceniona pozytywnie w recenzji wykonanej przez dr Zbigniewa Mazura z Instytutu Zachodniego w Poznaniu.*

*Druga recenzja całej książki „Lektura wspomnień” przez dr med. Stefana Krzysińskiego z Ciborza.*

*Zapraszam do przeczytania dziejów nad rzeczką Ołobocką, zwaną dalej „strumykiem”.*

*Międzylesie 1999 r.*

*Poszerzono i dokonano znacznej korekty lipiec 2009 r.*

*Autorstwo zastrzeżone  
Wersja powiększona*



## Spis treści

REPATRIANCI .....	4
DAWNE DZIEJE NAD STRUMYKIEM .....	8
TIBORLAGER I STRZELNICA.....	22
TIBOR LAGER GALERIA .....	26
CIBÓRZ TERAZ.....	33
OFLAG TIBORLAGER .....	35
POSZUKIWANIE GROBU GENERAŁA .....	37
EKSHUMACJA ZWŁOK GENERAŁA .....	39
PLAN CIBORZA .....	43
OPIS PLANU CIBORZA .....	44
MASAKRA W RADOSZYNIE .....	45
FRONT NAD STRUMYKIEM .....	46
SKUTKI WOJNY .....	50
NA KOŃCU ŚWIATA .....	52
PAUL GALKE I JEGO PASIERB .....	52
PIERWSZE POCZĄTKI .....	54
GRZYBOBRANIE .....	54
OMŁOTY .....	56
PIERWSZA WŁADZA .....	56
CZAS Z CZERWONĄ ARMIA .....	57
GWAŁT ZBRODNI I KARA.....	59
NIE WYKRYTA ZBRODNI .....	61
SYN PUŁKU .....	61
ZABYTKI .....	63
PASTERSKA MŁODOŚĆ .....	66
DOJRZAŁA MŁODOŚĆ .....	69
WŁADZA LUDOWA .....	73
KUŁAK .....	74
NIE SPEŁNIONA NADZIEJA .....	75
PRZYJAŹŃ KTÓRA ŁĄCZYŁA .....	77
CIBÓRZ W LATACH 1948-1958 .....	77
TRAGICZNA RANDKA .....	78
POŻEGNANIE Z WOJSKIEM .....	79
HISTORIA KOŚCIOŁA W MIĘDZYLESIU .....	80
JEZIORO CIBÓRZ .....	88
LOSY STRUMYKA .....	92
W PODŁEJ GÓRZE PODLI LUDZIE .....	93
WALORY TURYSTYCZNE NAD STRUMYKIEM .....	93
MAPKA GMINY .....	97
DODATEK O MIĘDZYLESIU .....	98

## RECENZJA KSIĄŻKI "LEKTURA WSPOMNIENI"

Sergiusz Jackowski. Lektura wspomnień, Wydawnictwo POMOST: Poznań: 2011.

Strażnik Pamięci.

Tak można nazwać Autora niezwyklej książki. Społeczności, wielkie i małe, bez takich strażników tracą swoją tożsamość. Trafnie to ujął w przedmowie do książki, historyk z wykształcenia, Wójt Gminy Skąpe pan Zbigniew Woch.

Podręczniki historii zwykle nie zajmują się losami jednostek chyba, że są wielcy (bywa że tylko „wielcy”) politycy, wodzowie decydują o losach milionów „szarych” ludzi.

Tymczasem to ci „szarzy” ludzie są często najbarwniejsi. To oni tworzyli historię i ostatecznie zwyciężają budując od nowa swoje, zburzone przez Wielką Historię, życie. O nich właśnie jest książka pana Sergiusza Jackowskiego. Razem z nim odbywamy niezwyklej podróż w czasie i przestrzeni.

Rozpoczynamy ją w dzisiejszym Międzyzlesiu by za chwilę znaleźć się wśród repatriantów opuszczających rodzinne, od pokoleń, domy we wschodnich województwach II Rzeczypospolitej i ruszających praktycznie w nieznane. Dla młodego przyszłego autora tej książki tym nieznanym było Mittwalde czyli Międzyzlesie. Poznajemy dzieje dawnych niemieckich koszar w Tiborlager, które stały się Szpitalem dla Nerwowo i Psychiczenie Chorych w Ciburzu. Wędrujemy z Autorem do syberyjskiej kopalni złota, nad Amur i Bajkał, wydobywamy węgiel w kopalniach Donbasu i wracamy do tuż powojennego Międzyzlesia. Poznajemy belgijskiego generała, sowieckiego pułkownika i Niemca- oficera SS. Przede wszystkim jednak poznajemy losy pojedynczych kobiet i mężczyzn, ich wielkie i małe tragedie, drobne radości i gorące uczucia, jak widać możliwe i w dziejowym zamęcie. Autor również ciepło pisze o rodzinnej Białorusi i gminie Skąpe, która przed laty stała się jego nową, małą ojczyzną. Jest to po prostu wzruszające. Tak jak wzruszające są opisy przyrody i wiersze zamykające książkę.

Wszystko to ilustrują, mające samoistną wartość, fotografie dawnego i obecnego Międzyzlesia, Ciburza i innych miejsc. Warte uwagi są także tłumaczenia dawnych niemieckich dokumentów tych miejsc dotyczących.

Tę książkę czyta się jak powieść, chociaż nie jest fikcją literacką. Można ją potraktować jako pełną nadziei, na przekór losowi, opowieść o ludzkim życiu. Wielka to zasługa talentu narracyjnego Autora, jego umiejętności łączenia fotograficznych wręcz obserwacji z wczuwaniem się w emocje opisywanych postaci.

Sam uważam się za dłużnika Autora. W ciągu czterdziestu ponad lat pracy i mieszkania w Ciburzu rozmawiałem z wieloma jego rówieśnikami. O tym skąd tutaj przybyli i w jakich okolicznościach. Z latami coraz bardziej doskwierała im świadomość, że gdy ich zabraknie zniknie także pamięć o ich losach, wielkich i małych nieszczęściach, dużych i skromnych radościach. Dzięki panu Sergiuszowi Jackowskiemu jednak nie zniknie.

Mogę więc tylko na koniec powiedzieć- dziękuję Panie Sergiuszu, Strażniku Pamięci!

dr med. Stefan Krzywiński

Cibórz, 1 września, 2011 roku



### SZANOWNI INTERNAUCI

posiadający moją książkę, jeżeli ktoś chce wzbogacić jej opinię to proszę zwrócić się do mnie o jej godną chociaż opóźnioną RECENZJĘ. Wyślę ją elektronicznie. Po jej wydrukowaniu dociąć do formatu książki i wkleić za okładkę. Mój adres e-mail: <jackowskisergiusz@wp.pl>.

## REPATRIANCI

Jeszcze żołnierz padał trupem  
za wolność dla Kraju.  
Był to rok czterdziesty piąty,  
na początku maja.  
Opuszczali Kraj Ojczysty  
smutni, zadumani.  
Roztargnieni, rozłączeni,  
wojną wy nękani.

Miałem wówczas prawie 16 lat. Opuszczałem z rodzicami i starszą siostrą naszą rodzinną kolebkę na Kresach Wschodnich. Odjeżdżałem ze wspomnieniami lat dziecięcych i wojennej zawieruchy podczas dorastania. Mieszkaliśmy 7 lat na kolonii w pobliżu strumyka a za nim bezkresne moczary. Ojciec utrzymywał dobre stosunki z sąsiadami kolonii. Z chęcią do pomocy zjawiało się kilka furmanek, by nas z dobytkiem odtransportować na stację kolejową do Postaw, odległą o 30 km. Nasz dorobek rodzinny, co mogliśmy zabrać umieściliśmy na trzech furmankach. Mama, moja siostra i ja usiedliśmy z tyłu na ostatniej furmance. Wyruszyliśmy połą drogą do szosy. Wóz kolebał się po nierównościach. Załadowany dorobek monotonnie gaworzył. Z tyłu za nami leżały dwie owce z powiązanymi nogami, które od czasu do czasu pobekiwały. Krowa na powrozie człapała za wozem. Wóz pod ciężarem poskrzypywał. Ojciec z przodu wozu skulony z batem w rękę, musiał w tej chwili bardzo przeżywać. Spoglądał na boki na swoją, opuszczającą przeszłość. Na udeptane przez siebie ścieżki, na których pozostawiał kawał swojego, utrudzonego życia. Falowały zielone łąny zbóż obsiane jego trudem. W olszowych gaikach świergot ptaków tym razem nie rozweselał ojcowskiej duszy. My patrzyliśmy ostatni raz na kolonię, na której zostawialiśmy swoją troskę o nią. Na zakęcie góra Zajczycha powoli zasłaniała stodołę, chlew, studnię z żurawiem i wreszcie naszą przytulną chatkę pod strzechą, którą do połowy zasłaniał młody sad. Na końcu jeszcze z daleka było widać bocianie gniazdo przy chacie na dzikiej jabłoni. Osamotniony bociek spoglądał w naszą stronę. Jadąc po drodze spotykaliśmy wielu znajomych, z którymi łączyło nas wiele miłych i trudnych przeżyć. Żegnając się życzyli nam wiele szczęścia. Żegnałem się także ze swoimi rówieśnikami, z którymi spędzałem dziecięce lata i przeżyłem z nimi wiele dziecięcych i szkolnych przygód. A także wiele niezapomnianych przygód u progu swojej młodości.

Przez kilkanaście kilometrów jechaliśmy nad brzegiem jezior: Miastro i Narocz. Przed wojną te jezioro nazywano polskim morzem. Było ono największe w Polsce. Oglądaliśmy ponure widoki spalonych wiosek, gdzie opór zbrojny stawiali partyzanci. Na zgłiszczach domów sterczały tylko osmolone piece z kominami. Mieszkańcy tych wsi pracowali przy zgłiszczach. Zaczynali oni powojenne życie od kopania i zadaszenia ziemianek. Jechaliśmy nad Naroczem przez słynny, przedwojenny ośrodek wypoczynkowy „Kupa”. Tam przed wojną odpoczywali najmożliwszą ludźmi. Ośrodek świecił pustką. Wszystko było wyszabrowane. Wiatr postukiwał otwartymi bez szyb oknami. Nad widmami domów szumiał brzozy gaj. Za „Kupą” było miasteczko Kobylnik, którego wojna również nie oszczędziła.

W końcu dotarliśmy do punktu zbornego w Postawach. Przez kilka tygodni zjeżdżali się tu repatrianci. Trzeba było sobie radzić, by przetrwać pod gołym niebem, ze swoim dorobkiem przez kilka tygodni. Rodzice wyruszyli w teren i ja za nimi. Poszukiwaliśmy budulca na jednorodziną budę. Natrafiliśmy na stos drutu kolczastego, który znajdował się w pobliżu stacji. Drut ten z niewiadomych przyczyn nie dotarł do celu. Ustawialiśmy żerdzie, kołki i deski. Wszystko wiązaliśmy tym drutem. Na pobliskiej łące wykosiliśmy trawę. Układaliśmy ją na konstrukcję i obciągaliśmy całość jeszcze raz tym drutem. W takiej budzie można było przetrwać całe lato. Po trzech tygodniach podstawiono pociąg. Dwa wagony przydzielono na cztery rodziny.

Każdy łądował swój dorobek. Jeden wagon był przeznaczony dla zwierząt. Sygnał z parowozu oznajmił, że nadszedł czas odjazdu. Rodzice z trwogą spoglądali na siebie. Na ich twarzach malował się smutek i przerażenie. Pociąg pędził w nieznane bez dwóch synów. Jeden z nich był wycofany z frontu i zesłany na Ural. Pracował tam o głodzie i chłodzie w Tajgańskim Grafitnym Kombinacie. Drugi w ostatnim liście pisał, że podąża na ostateczną walkę o Berlin. Można się było domyśleć, jaką w tej chwili przeżywali trwogę. Minęliśmy kilka małych stacji. Po chwilach zadumy zaczęliśmy wszyscy rozmawiać. Obserwowaliśmy krajobraz, a pociąg na złączach szyn, postukując pędził w kierunku Wilna. Za nami na zawsze zostawały rodzinne strony. Zostawał ubogi Kraj w którym zostawiliśmy wiele łez smutku i radości. W Podbrodziu był pierwszy postój, gdzie doczepiano następne wagony z repatriantami. Po dwóch dniach wyruszyliśmy w dalszą podróż.

Późnym wieczorem byliśmy w Wilnie. Nasz transport skierowano na boczny tor. Tam miały być doczepiane wagony z innymi repatriantami. Kierownik transportu repatriant z Postaw oznajmił, że postój potrwa przez kilka dni, zanim ruszymy w dalszą drogę. Zapas drewna zabrany z Postaw bardzo nam się przydał. Nazajutrz rano przy torach rozpalano ogniska. Każda rodzina na nich gotowała jakąś strawę. Przy takich ogniskach było gwaro. W pobliżu za torami znajdowały się jakieś wojskowe magazyny. Przy nich powoli z pepeszą na ramieniu, podciągając jedną nogę, szwendał się krasnoarmiejec. Kiedy spożywaliśmy posiłek, zdecydował się do nas podejść. Pozdrowił nas i życzył smacznego. Wyjął z kieszeni rubaszki kawałek gazety i oderwał od niej skrawek. Z tej samej kieszeni, dwoma palcami wydobywał po odrobinie karaszki /drobniutko pokrojone łodygi tytoniu/. Ledwie ich uezierał na cienkiego skręta.

- Ot i wszystko, więcej nie ma – powiedział.

Poprosił o ogień z ogniska i rozżarzonym patykiem przypalił skręta. Pierwszym sztachnięciem zaciągnął się z lubością. Nieśmiało zaczął nawiązywać rozmowę. Pochwalił się, że już jutro otrzyma przydział na karaszki. Zapytał, co my za jedni i dokąd jedziemy. Był bardzo szczęśliwy, gdy od ojca otrzymał garstkę tytoniu. Wielce dziękował. Wracając do stróżowania oświadczył, że jutro znowu nas odwiedzi. Dotrzymał słowa i na drugi dzień, gdy już było rozpalone ognisko, podszedł do nas. Był bez pepeszy i miał wolny czas. Wyciągnął z kieszeni spodni dwie konserwy i wręczał je mamie. Nie chciała przyjąć, bo może sam był głodny. Odpowiedział, że żywności mają pod dostatkiem, tylko z paleniem od czasu do czasu bywa różnie. Widać było, że chce zapalić, ale kieszenie miał puste. Otrzymał jeszcze od ojca porcję tytoniu z własnego ogrodu. Nawiązała się szczerza rozmowa. Gadał jak najęty. Przedstawił nam się, że na imię ma Sasza, a mieszka w Pskowie. Z żalem opowiadał, że podczas wojny zginął jego ojciec, dwóch braci i siostra. Z rodziny został tylko on i jego matka. Wyjął z kieszeni rubaszki kilka listów, zaczął pokazywać i rozplakał się.

- Patrzcie, jak moja mama płacze i czeka na mnie

Listy były pisane kopiowym ołówkiem na workowym papierze i złożone w trójkąt, który także zastępował kopertę. Matka pisząc listy zalewała je łzami. Treść listów była trudna do odczytania, gdyż łzy kopiowe pismo rozpuszczały. Moja mama podeszła do Saszy, objęła go i pocałowała. Pocieszała go mówiąc, że jej synowie w podobnej sytuacji i nic nie wie o ich losach. Gdy Sasza uspokoił się, podziękował mamie za współczucie i także ją uściśnął i pocałował. Dalej opowiadał jak zdobywano to miasto z polskimi partyzantami. O tragediach jaką przeżywali jego koledzy i polscy partyzanci. Tu właśnie w walce o Wilno przy „Ostrej Bramie” został trafiony w nogę i leżał w szpitalu. Tu właśnie zakończył koszmar wojny. Stąd powróci do swojej mamy. Opowiadał także o głównym dowódcy 3 Białoruskiej Armii Iwanie Czerniachowskim. Był on najmłodszym generałem armii w Armii Czerwonej. Miał zaledwie 39 lat. Zginął w operacji wschodniopruskiej i został pochowany w Wilnie, do którego wielce przyczynił się o wyzwolenie.

Sasza żegnając się z nami obiecał, że znowu przyjdzie na drugi dzień po służbie. Miał opowiedzieć o swoim frontowym szlaku i w jakich okolicznościach zginęła jego rodzina. W następnym dniu nie zdążyliśmy jeszcze rozpać ogniska. Wschodziło słońce, kiedy usłyszeliśmy sygnał naszego pociągu gotowego do odjazdu. Cała moja rodzina zwróciła oczy w stronę

magazynów. Pociąg ruszał, a zdobywca Wilna żegnał nas, wymachując wysoko pepeszą i furazerką. Pociąg pędził na zachód. Po dwóch dniach jechaliśmy dalej. Mijaliśmy Grodno i rzekę Niemen. W Białymstoku nasz transport skierowano na Prusy Wschodnie. Olsztyn miał być stacją docelową. Wielu z repatriantów a także i kierownik transportu nie chcieli pozostać w Olsztynie. Zorganizowano więc składkę dla maszynisty. Na drugi dzień nasz transport pędził w kierunku Poznania. Jadąc tym odcinkiem drogi, oglądaliśmy makabryczne sceny po świeżo zakończonej wojnie. Wzdłuż torów, na nasypach i w rowach, piętrzyły się zestawy wykołejonych transportów, wyposażonych w sprzęt wojenny. Wywrócone wagony na wagonach, na czołgach wagony, czołgi do góry gasienicami, a niektóre zaryte lufami w ziemię. Różny sprzęt wojenny porozrzucany w promieniu kilkudziesięciu metry. Te widoki świadczyły jakie było tu piekło. Jakie tragedie przeżyli żołnierze. W pewnym momencie obok tego pobojuwiska, pociąg zatrzymał się w lesie. Powiadomiono podróżnych, że pociąg będzie stał przez kilkanaście minut. Wszyscy repatrianci byli świadomi, że zapas drewna na ogniska był wyczerpany. Z każdego wagonu jak do szturm wyruszyli do lasu. Ja także, miałem na naręczy kilka gałęzi i zagłębiałem się dalej w las. Zatrzymałem się, gdy nagle zobaczyłem leżące zwłoki niemieckiego żołnierza. Twarz miał skierowaną ku ziemi, a u jego nóg leżał hełm. Dno jego było wypełnione wodą i igliwem. Ten żołnierz widocznie chciał uciec jak najdalej od straszliwego piekła. Ten widok wstrząsnął mną. Ze strachu porzuciłem gałęzie i jak najszybciej pędziłem do pociągu. Prócz mnie wszyscy wracali zaopatrzeni w zapas opału dla ognisk. Wnet usłyszeliśmy sygnał odjazdu. Nie mieliśmy czasu na spenetrowanie wojennych wraków. Jechaliśmy dalej w nieznane. Po tych wojennych, makabrycznych scenach wszyscy myśleliśmy z trwogą, dokąd jedziemy? Gdzie będziemy mieszkać? Gdzie będziemy pracować? Jaki spotka nas los w nieznanym świecie? W Wielkopolsce, a najbardziej w Poznaniu panował na stacji wielki ruch. Cała stacja była zatłoczona eszalonami Czerwonej Armii wracającej z frontu do swojej Ojczyzny. Wszystkie pociągi były załadowane różnym zdobycznym sprzętem. Można było podziwiać: meble, fortepiany, rowery, różne urządzenia zdemontowane z niemieckich fabryk. Żołnierze śpiewali, grali na akordeonach i guzikowych harmoszkach. Panował nastrój radości ze zwycięstwa wojaków powracających z frontu. Puszczali się w tańce hopaka i kozaka. Przy czym handlowali czym się dało. Kto miał pół litra wódki czy bimbru mógł dobrze się obłowić. Między żołnierzami szwendało się sporo chłopaków po cywilnemu. Byli to moi rówieśnicy w wieku 13 do 16 lat. Rosyjska, powojenna bieda i głód, zmusiła ich, by podążać za frontem. Penetrowali niemieckie miasta. Zabierali co się dało i z łupem wracali do domu. Oni wyróżniali się w tłumie, gdyż nowa odzież zdobyczna nie pasowała na ich wzrost i figury. Wyglądali na szczęśliwych. Byli za pan brat z weteranami wojny. Za Poznaniem znowu powojenny obrazek. Obok torów na wschód, pędzono ogromne stada białe -czarnych krów. Pastuchami byli frontowcy z pepeszami na ramionach, którzy byli odpowiedzialni za bydło. Na postojach rozmawialiśmy z tymi pastuchami. Mówili nam, że to bydło pędzą dla wynędzniałej wojną Rosji. Nie umieli określić w jakim procencie stada dotrą do celu. Pytali nas, czy ktoś posiada podobnej maści krowę. Wymieniliby ją na lepszą za paczkę machorki czy ćwiartkę jakiejś gorzałki. Niestety, w całym transporcie nie było podobnej krowy, z czego pastuchy nie byli zadowoleni. Dojechaliśmy wreszcie na tereny przedwojennych Niemiec. Tu także stacje były zapakowane czerwonoarmistami, którzy jak wszędzie grali i śpiewali. Dojeżdżając do następnej stacji, odczytaliśmy na tablicy „Schwiebus”. Tu pociąg zatrzymał się. Kierownik transportu repatriant z Postaw zakomunikował:

- Dalej nie jedziemy.

Wy tłumaczył gdzie jesteśmy i że każdy na swoją rękę, ma poszukać w okolicy siebie domu. Dobytek swój wyładowaliśmy na peronie, który był strasznie zagracony sprzętem wojennym. Byliśmy w dzisiejszym Świebodzinie. Nam młokosom najbardziej spodobały się działka przeciwlotnicze zenitki. Stało ich kilka. Właziliśmy na ich siedzenia i kręciliśmy korbką. Była dobra zabawa. Prawdziwa karuzela ze sprzętem optycznym. Repatrianci pochodzący z miast szybko poszukali dla siebie odpowiednie mieszkania. Znajomi z Postaw szybko się



zagospodarowali. Repatriantów ze wsi miasto nie interesowało. Tak samo i moich rodziców. Mieli przecież swojego konia, krowę i parę owiec. Uparcie szukali jakiegoś gospodarstwa. Pięć znajomych rodzin na punkt wypadowy w poszukiwaniu gospodarstw, wybrali ogromną stodołę. Znajdowała się ona na najwyższym wzniesieniu, około 60 m. od drogi w kierunku wsi Chociule. Na dziś znajduje się tam Zakład Sadowniczy. Wokoło jak okiem sięgnąć, oglądaliśmy dojrzewające łany zbóż. Nieznana ziemia była dobrze zagospodarowana. Piątka gospodarzy wyruszyła w teren na poszukiwanie odpowiednich zagród. Wracali wieczorami. My zaś podrostki, zwiedzaliśmy okoliczne tereny Schwiebus. Interesowały nas pociski i sprzęt wojenny. Znaleźliśmy kupę amunicji artyleryjskiej dużego kalibru. Uderzaliśmy o miedzę połączeniem pocisku z gilzą. Miejsce połączenia rozluźniało się. Pocisk wysuwał się z gilzy. Wysypywaliśmy z gilz długi proch. Paliliśmy go i ekscytowaliśmy się. Proch podczas palenia syczał. Rozpryskiwał się przy przyduszeniu butem. Wyskakiwał spod buta na wysokość kilku metry. Dalej za stodołą był kawałek sadu. Znaleźliśmy w nim beczkę po paliwie. Beczkę załadowaliśmy artyleryjskim prochem. By proch podpalić, wysypaliśmy kilka metry ścieżkę z tego prochu i podpaliśmy. Odlecieliśmy kilkadziesiąt metry i położyliśmy się w życie. Kiedy ogień dotarł do beczki, od razu przez otwór wlewowy wydawał groźny ryk. Wkrótce nastąpił ogromny wybuch i kłęby ognia jak po bombie atomowej. Ze stodoły cała strwożona farajna wybiegła. Palił się sad i dojrzewające żyto. Gasiliśmy razem z rodzinami ze stodoły. Wieczorem po powrocie ojców, dwoje z nas dostało w skórę, a reszta otrzymała ogromną burę. Po tej groźnej przygodzie, zostawiliśmy niebezpieczną zabawę. W poszukiwaniu przygód wyruszaliśmy na miasto. W Schwiebus panował wielki bałagan. Po ulicach stały wraki różnych samochodów i wozów na drewnianych kołach. Wszędzie leżały porozrzucane różne skrzynie, różne przedmioty. Wiatr podrywał różne papiery i szmaty. Kamienice w większości były puste, opuszczone przez byłych mieszkańców. Tylko z nielicznych okien można było dostrzec ich lękliwe twarze. Wielu przesiedleńców, rabusiów i repatriantów krzątało się po ulicach i w zajętych domach. Po ulicach ciągnęto załadowane bądź puste czterokołowe wózki. Szabrownicy nie próżnowali. Zabierali z domów co było możliwe do zabrania. Łupy gromadzili w wybranych domach. Kiedy na jakiś czas opuszczali te domy, drzwi wejściowe zabijali deskami na krzyż i pisali na nich kredą: „Zajęte przez Polaków”. Zauważyłem jak jeden z szabrowników, z okna parterowego mieszkania wyrzucał na chodnik książki. Podniosłem jedną z nich w ładnej oprawie. Była to książka ze znaczkami pocztowymi. W tym momencie z okna dostrzegłem groźny wąż i jak nie wrześnie: -Zostaw, to nie twoje! Rzuciłem ją na pozostałą kupę tomów przy stojącym wózku. /Lata osiemdziesiąte i dziewięćdziesiąte byłem zaangażowanym filatelistą. Domyślałem się, jaką miała wartość tamta kupa tomów/. Do stodoły z miasta zawsze wracałem z kilkoma niecennymi drobiazgami.

Po paru tygodniach opuszczaliśmy gościnną stodołę. Przybyliśmy do wsi Skampe. Po kilku dniach ojciec upatrzył odpowiednie gospodarstwo w pobliskim Mittwalde. Gdy zbliżaliśmy się do rzeczki Muhlbocke, rzucił mi się w oczy widok żółtych kopuł panzerwerków /bunkrów/. Jeden tuż za rzeczką po prawej stronie, a drugi het dalej po lewej stronie. Na każdym z bunkrów było po dwie kopuły, jedna duża a druga mała. Wyglądały przy lesie jak wyładowane, latające talerze z kosmosu.



*Tak wyglądały panzerwerki /bunkry/ po zakończeniu budowy na umocnieniu MRU*

Podróż z Ojczyzny zakończyliśmy pod koniec lipca 1945r. We wsi Mittwalde. Zastaliśmy tu wiele przedwojennych, niemieckich mieszkańców. Wjechaliśmy na podwórko pod nr.15. W mieszkaniu była jeszcze rodzina niemiecka. Dobytek swój rozładowaliśmy w stodole. Przespaliśmy się jak intruzi w tymże budynku. Nazajutrz rano, zarządzono zbiórkę dla byłych mieszkańców do opuszczenia Mittwalde. Z jakim także smutkiem opuszczali oni swoją Ojczyznę jako wygnańcy. Opuszczali Mittwalde jedynie z dorobkiem co mogli zabrać na ręczny, czterokołowy wózek.

Nikt z repatriantów nie przywidywał, że na obcych ziemiach będziemy długo gospodarzyć i przyswajać je.

## DAWNE DZIEJE NAD STRUMYKIEM

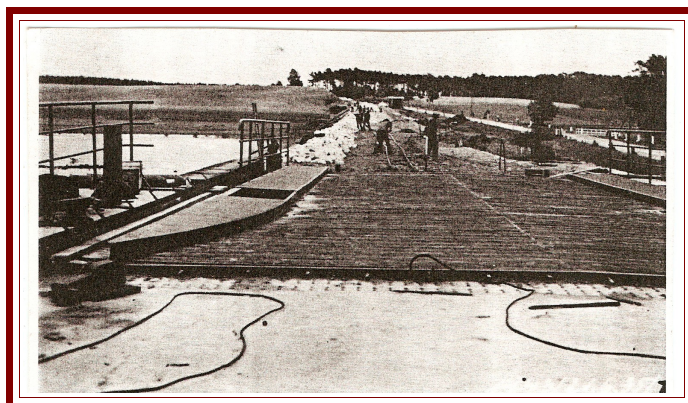
Płynie strumyk płynie,  
po leśnej krainie,  
od jeziora Niesłysz.  
W rzece Odrze ginie.  
Tu o dawnych dziejach  
dużo zapomniano,  
ile łez i potu,  
ile krwi wylano.

Od wielu wieków cichutko, swobodnie płynął sobie strumyk przez leśną krainę. Gdzieniedzie ocierał się o fragmenty pól i łąk. Po obu stronach otaczał go bajeczny, szumiący las. Królowała w nim rozrukana zwierzyna. Ptasi świergot i śpiew, rozczulał i pobudzał pobliskich mieszkańców do życia. Od wieków nad strumykiem zmieniały się państwa, ustroje i nowe pokolenia ludzi. Tylko strumyk się nie zmieniał. Wypływał z jeziora Nischlitz /Niesłysz/ a rzeka Odra jak matka zabierała jego wody i płynęła hen do morza. Na wiosnę po roztopach było wiele rozlewisk. Gdy zasoby wód malały, rozlewiska wracały do swego koryta. Gospodarze z pobliskich wsi jak: Muhlbock/Ołobok/, Schonfeld/Rokitnica/, Skampe/Skape/, Mittwalde/Międzyłesie/, Hammer/Przetocznica/, Blumberg/Bródki/, użytkowali rozlewiska dla celów gospodarczych, zbierali siano. Na większych i głębszych rozlewiskach łowili ryby. W strumyku było wyjątkowo dużo ryb. Dopływały do niego jeszcze mniejsze strumyki, które wypływały z jezior jak: Ołobockie, Chociulskie, jeziora Łąkie duże i małe, jezioro Cibórz, pozostałe małe zbiorniki, no i główne jezioro Niesłysz. Z jeziora Niesłysz i tymi strumykami do rzeczki Ołobockiej wiosną z jezior na tarło wyruszała masa ryb. Odra też nie skąpiła swoich ryb, by w tej rzeczce odbywały tarło.

Od dawnych czasów, pobliscy mieszkańcy wykorzystywali rzeczki potencjał wodny. Budowali młyny. Na wysokości Łąkie do Przetocznicy, na odcinku 8 km. było 5 młynów wodnych, co można stwierdzić po fundamentach i wałach spiętrzających wodę. Swobodę strumyka i spokój mieszkańców zostały zakłócone po dojściu Hitlera do władzy 1933r. Już 1934 roku strumyk przygotowywano dla celów strategicznych. W nieco późniejszym terminie pod Międzyrzeczem w okolicach wsi Hochwalde/Wysoka/ rozpoczęto budowę nad rzeczką środkowego odcinka umocnień. Budowę umocnień na cieku wodnym, od wsi Mostki do rzeki Odry nazwano południowym odcinkiem MRU. Mieszkańcy tych okolic myśleli różnie. Jedni się cieszyli, że o ich losy władza dba i zabezpiecza swoim obywatelom spokojne życie obronną, strategiczną budowlą. Ludzie mądrzejsi byli zaniepokojeni, że ta budowla jest zaplanowana na rozpoczęcie przyszłej wojny. Ale chyba prócz władzy nikt nie przypuszczał, że grabieżcy nie zadowolą się tylko łupem Polski. Hitler ze swoim sztabem nie zastanawiali się i nie przywidywali, że zaprojektowali dla siebie zagładę, a dla własnego narodu dramaty i tragedie. Pewni siebie agresorzy nie brali w rachubę, że wola podbitych narodów jest silniejsza niż ich uzbrojenie. Nad strumykiem, na całej jego długości zaroilo się od ludzi i ciężkiego, mechanicznego sprzętu. W/g projektów

inżynierskich służb cywilno-wojskowych z każdym dniem teren nad rzeczką ołobocką zamieniał się w strategiczny kształt.

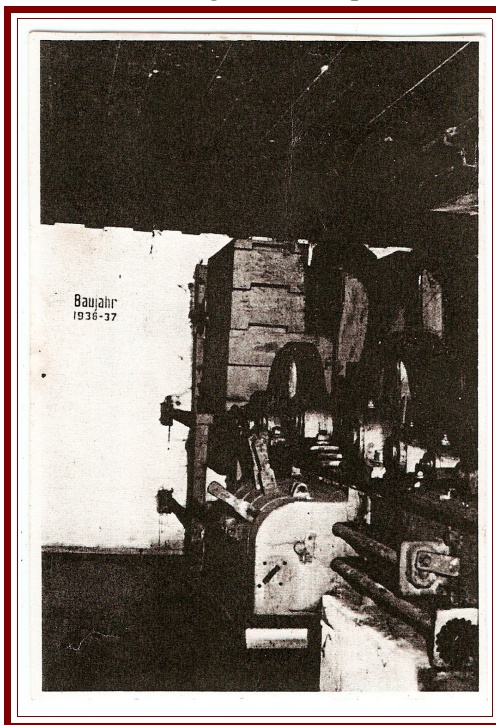
W pierwszej połowie roku 1935 trwały prace wykończeniowe drogi strategicznej i zwodzonego mostu na odcinku Skape – Międzyzlesie. Przy każdym moście zwodzonym ustawiono zapory przeciwpancerne dla pojazdów pancernych.



*Roboty wykończeniowe przy budowie mostu zwodzonego Międzyzlesie-Skape. Układanie kostki brukowej na odcinku drogi strategicznej. Po prawej widoczna pierwotna droga. Zdjęcie z 1934 roku*

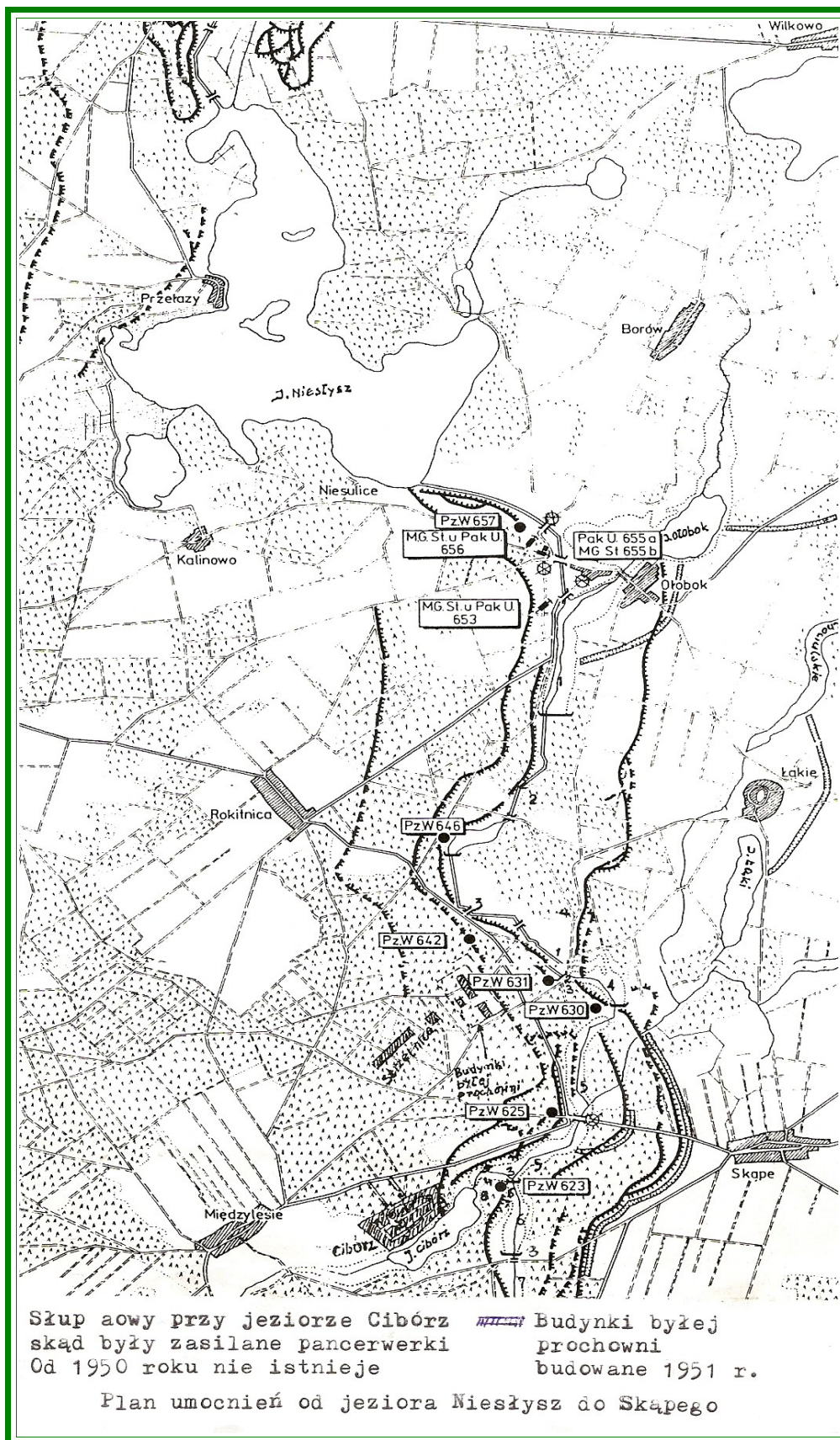


*Ten sam odcinek drogi z mostem po 73 latach*



*W pomieszczeniu pod mostem mechanizm zwodzony*









Mapki Roberta Jurgi

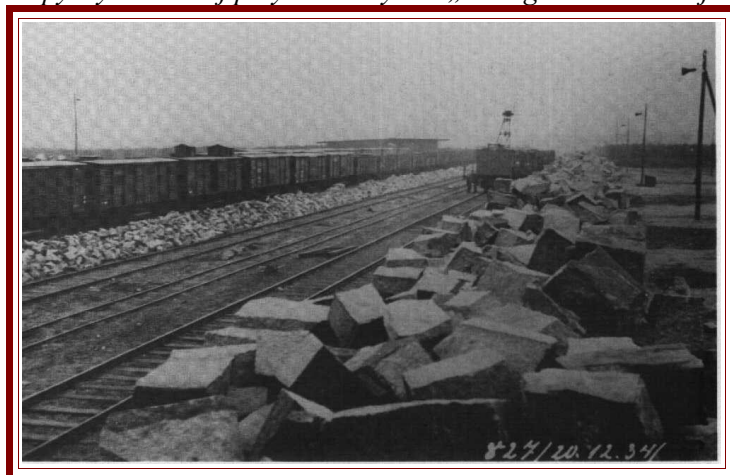




*Budowa stacji Radoszyn. Rok 1934*



*Budowa rampy wyladowczej przy bocznicy dla „Tellagu” blisko stacji Radoszyn*



*Stacja Radoszyn. Wyladowane bloki granitowe po obu stronach torów*

Z głębi Niemiec na stacje Radoszyn i Mazów przywożono wszelkie materiały i wyposażenia dla fortyfikacyjnych umocnień. W grudniu 1934 roku sprowadzono tu granitowe bloki aż z Norwegii. Kilkaset metrów po obu stronach torów, piętrzyły się pryzmy tego budulca. Te bloki granitowe były przeznaczone na rozległe wały spiętrzające wodę na poszczególnych odcinkach rzeczki. Bloki układano w wały. Zbrojono je grubymi prętami i zalewano betonem. Żadna bomba takiego wału nie mogła uszkodzić. Tymi blokami wykładano także tunele jazów przy każdej tamie

W latach budowy MRU nie daleko stacji Rentschen budowano także Tellag. Na początek wybudowano tu kilkadziesiąt baraków dwuizbowych dla skazanych wyrokami, którzy tu pracowali. Ogrzewane były piecami kaflowymi. W każdym baraku zainstalowano kuchnię tzw „westwalkę”. Dużą powierzchnię pokryto betonem, na której zbudowano wiele magazynów. Szczyty po nich na zaprawie betonowej przetrwały do dziś.

Dachy magazynów były pokryte blachą. Konstrukcje i ściany z drewna. Podpiwniczona kuchnia ze stołówką były także wybudowane z drewna. Jedynie hale produkcyjne były murowane. Fabryka ta także była zaprojektowana i wybudowana na potrzeby /Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego/, a także na potrzeby frontu. Produkowano w niej kable i polowe aparaty telefoniczne

Późną jesienią 1945 roku jechałem rowerem ze Świebodzina. Zainteresował mnie w byłej fabryce duży ruch. Ludzie furmankami bądź na plecach szabrowali co się dało. Wjechałem rowerem przez bramę, na której był jeszcze duży napis „Tellager”. Zwiedziłem fabryczny obóz od końca do końca. Jego powierzchnia ogrodzona wynosiła co najmniej cztery hektary. Płot był z płyt betonowych na wysokość 2,5 m. U góry nad płytami, na zagiętych betonowych słupach biegło kilka rzędów kolczastego drutu. W środku fabryki na bocznicę stało kilka wagonów załadowanych kablami na bębnach. Na placu różnych bębnów z kablami były stosy. W halach znajdowały się różne nie znane mnie urządzenia. Ludzie wszystko rozwalali. Z baraków i hal wynosili różne przedmioty i ładowali na wozy. Na rampie przy hali produkcyjnej leżał stos telefonicznych aparatów polowych. Jeden z nich zabrałem. W barakach wymontowałem kilka wyłączników i wróciłem do domu. Pobliscy mieszkańcy wszystko rozebrali, wywieźli i wynieśli. Po drewnianych obiektach zostały tylko betonowe fundamenty. Rozebrali nawet bocznicę kolejową od stacji do fabryki.

Tutejsza powojenna władza nie interesowała się tymi obiektami, a zwłaszcza ich zabezpieczeniem przed rabunkiem. Przez wiele lat była tam pustka. Dopiero pod koniec lat sześćdziesiątych pozostałościami murowanych obiektów zainteresowała się Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska”. Powstała tam baza na potrzeby rolnictwa. Wybudowano też piekarnię. Dobudowano magazyny zbożowe i biuro. Wybetonowane place wykorzystano dla składowania koksu, węgla i niektórych nawozów mineralnych. Po upadku Gminnej Spółdzielni na początku lat dziewięćdziesiątych, na bazie powstała prywatna filia fabryki mebli. Wszystkie obiekty Gminnej Spółdzielni na terenie gminy Skąpe zostały sprzedane. Piekarnię też sprzedano. Ogromny majątek Gminnej Spółdzielni został zaprzepaszczony.





*Pozostałości po fabryce kabli i telefonów nie daleko stacji kolejowej w Radoszynie. Rok 1998.*

Dziś po „Tellagu” zostało tylko sporo szczytów po magazynach i wybetonowany teren wokół nich. Szczyty te budowano na mocnej zaprawie. Przez wiele jeszcze lat będą one przypominały koszmar minionej wojny.

Z dokumentów archiwalnych pana Roberta Jurgi zam. w Boryszynie gm. Lubrza wynika, że jednocześnie trwała budowa umocnień na północ od Międzyrzecza. Całość umocnień Niemcy nazwali: „Oder – Warthe – Bogen” w skrócie OWB. Południowy odcinek umocnień nazwano: „Międzyrzecki Rejon Umocniony” w skrócie MRU. Niemcy dla celów strategicznych budowy umocnień, na odcinku południowym zaprojektowali i wybudowali połączenie kolejowe Świebodzin – Sulechów. Połączenie to zostało wysunięte jak najdalej na zachód, w pobliże budowy MRU. Stacje kolejowe jak Radoszyn i Mazów, były ważnymi punktami dla realizowania celów tej budowy. Drogi szybkiego ruchu od tych stacji do umocnień utwardzono i pokryto nawierzchnią asfaltową. Tymi drogami transportowano najcięższe urządzenia do wyposażenia panzerwerków.

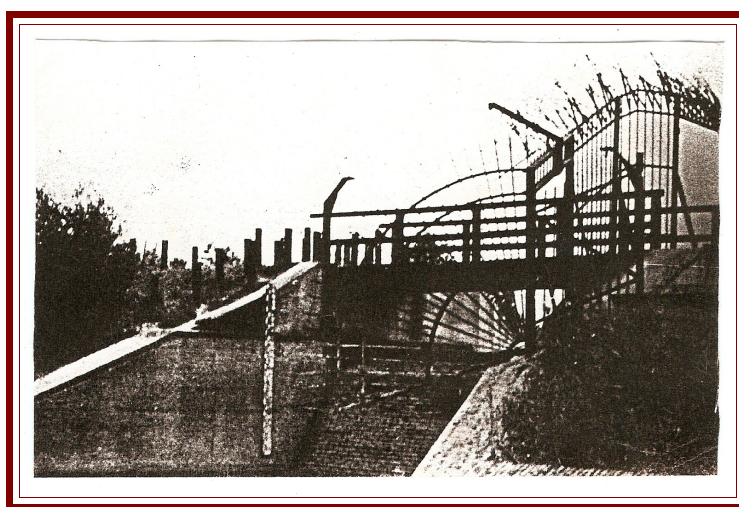


*Kompletna zapora przeciwpancerna przed mostem w Przetocznic. Rok 1994*

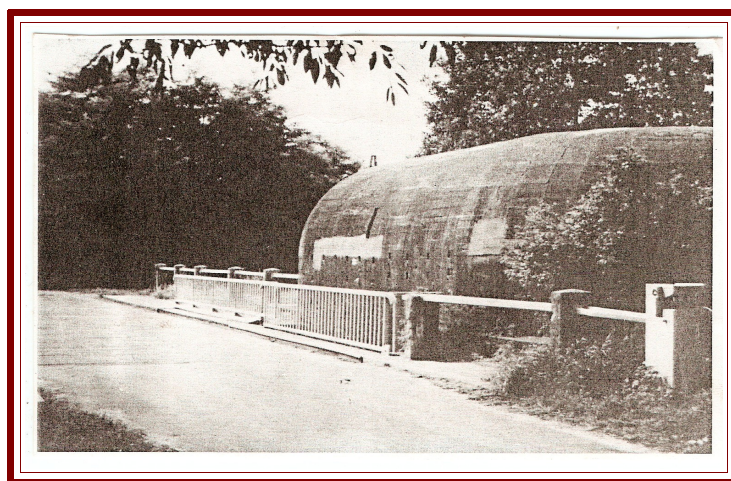
W 80% przy mostach zwodzonych zapory przeciwpancerne w kompletnym stanie przetrwały do dziś. Po wybudowaniu wałów i tam rozległy teren zalewano wodą. Od strony obronnej, brzegi rozlewisk chronione były zasiekami. Sięgały one kilka metry w wodę i tyle samo przed wodą. Każda tama była zabezpieczona w ochronę przeciwczołgową i przeciw piechocie. Kilka rzędów szyn w wale przed tamą było zabetonowanych. Zasięki od tamy sięgały kilkanaście metrów. Mocowane były do specjalnych, zaostzonych teowników zakotwiczonych głęboko w wałach. Na betonowych obrzeżach tam, zakotwiczone w betonie trzymetrowej wysokości stalowy płot z czworokątnego, zaostzonego pręta. U góry na szpicach prętów było kilka warstw drutu kolczastego. Zakończenia płotów wyglądały jak wachlarze. Po jednej i po drugiej stronie tamy, wachlarze te zanurzały się aż do wody. Bramki w tym płocie były wyposażone w odpowiednie, obrotowe zapory ryglujące. Uniemożliwiały one otwarcia bramki od strony wroga. Drewnianych



mostków na tamach nie likwidowano. Przed wrogiem chroniła ich pomysłowa i solidna konstrukcja płotu. Zbrojenie tam, ich konstrukcja, materiał i wykonanie przetrwa kilka wieków.



*Konstrukcje zabezpieczające tamy*



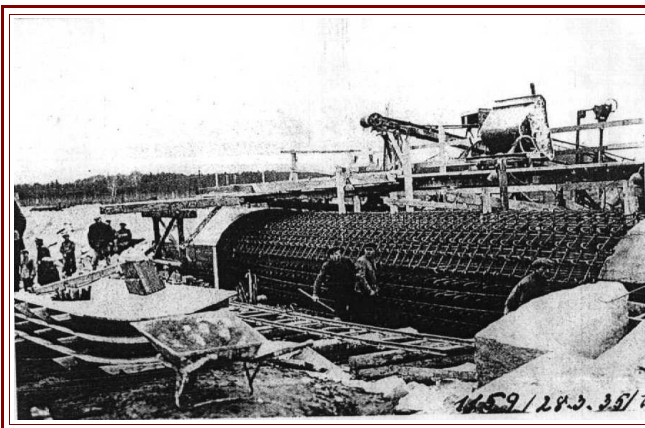
*Obudowa pancerna mechanizmu do regulacji poziomu wody w jeziorze Niesłysz. Miała także otwory strzelnicze do obrony mechanizmu i mostu nad tamą na trasie Ołobok – Borów. Po prawej widać element od zapory przeciwpancernej.*



*Ten sam obiekt i most po 70 latach*



*Barierka mostku w nad tamą w Cząbrach*





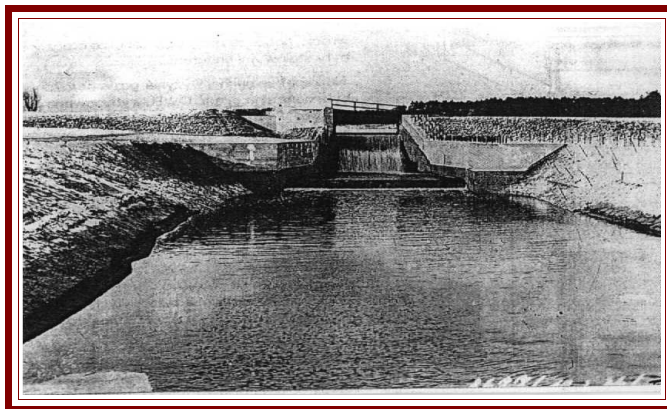
*Budowa tamy w Cząbrach*



*Tama w Cząbrach*



*Przed wojną tu mieszkał młynarz. Produkował mąkę dla frontu. Od 1958 roku rybakówka Cząbry.  
Na pierwszym planie mostek nad tamą.*



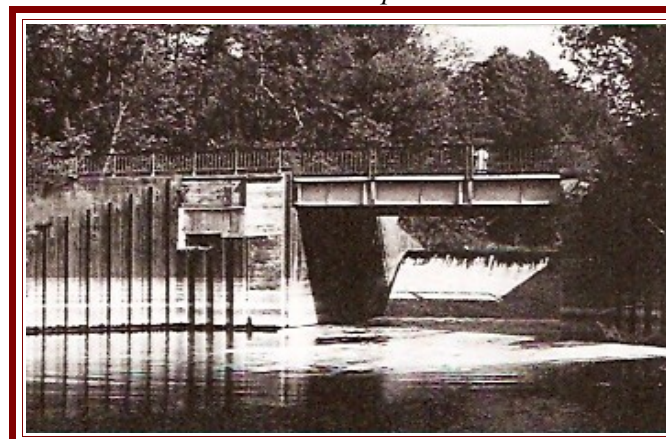
*Zakończenie budowy tamy w Przetoczniczy przy młynie*



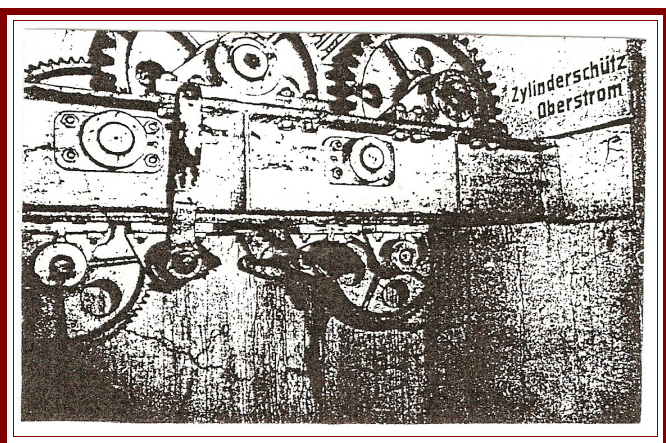
*Ta sama tama po 72 latach*



*Zdewastowana tama w pobliżu Ciborza*



*Most i tama na drodze Bródki – Nietkowiec Rok 1968.*



*Mechanizm ręczny do podnoszenia i opuszczania dzwonu tamy*

Każda tama w specjalnie zagłębionym pomieszczeniu posiadała zamontowany mechanizm do podnoszenia i opuszczania dzwonu, który regulował poziom wody na zalanym obszarze. Mosty zwodzone miały podobne mechanizmy ręczne. Niektóre dodatkowo były sterowane za pomocą urządzeń elektrycznych w bunkrach.

Na południowym odcinku umocnień, budowano przeważnie bunkry jednokondygnacyjne. W niektórych przypadkach jak przy moście Skape -Międzyzlesie wybudowano dwukondygnacyjny. Żelbetowe ściany tych obiektów dochodziły do grubości 2m. Z niemieckiej literatury wynika, że wykonawcami tych budowli i całości umocnień były niemieckie prywatne

firmy.

Z książki „Vox 50 Jahre als Flucht und Vertriebung in kreis Zulichau-Schwiebus bogannen” wydanej w 1995 roku wynika, że wykonawcami umocnień były firmy: Kuntze & Munchen – budowa tuneli, Polansky und Zolner – Driesen /Drezdenko/ - odwodnienie i bagrowanie terenów. W pobliżu Międzylesia znajdowały się obozy młodzieżowych hufców pracy, które zasilaly siłą roboczą prywatnych firm. Jadąc od strony Skąpego, za mostem w stronę Rokitnicy w odległości jednego kilometra po lewej stronie pozostały fundamenty. Potwierdzają one, że był tam obóz. Pod koniec roku 1945 oglądałem tam pozostałości zerdzewiałego, ręcznego sprzętu budowlanego. Kolejne fragmenty fundamentów znajdują się od strony mostu do Ciborza po lewej stronie w odległości od mostu 200m, a od drogi 30m. W roku 1946 kiedy wypasaliśmy krowy w pobliżu tych fundamentów, w pobliżu drogi widzieliśmy ludzkie kości na obsuwającej się skarpie. Był tam także zerdzewiały sprzęt budowlany.

W roku 1938 na południowym odcinku umocnień i koszar warownych w Tiborlager trwały prace wykończeniowe. Napowietrzna linia energetyczna wysokiego napięcia 15 kV zasilala koszary. Od strony Międzylesia przy koszarach ustawiono krańcowy słup metalowy (kratowiec). Kablem od niego odprowadzono zasilanie do transformatora koszarowego. Od tego kratowca odgałęziono linię napowietrzną wysokiego napięcia, która biegła wzdłuż ogrodzenia koszar, po ich północnej stronie. Na początku jeziora przy jego odpływie po drugiej stronie, na zboczu wzgórza ustawiono drewniany słup aowy z transformatorem. Od tego słupa biegła linia kablowa niskiego napięcia do bunkra nr. 623. Tam znajdowała się rozdzielnia, która zasilala odpowiednią ilość bunkrów umocnienia MRU. Od bunkra około 200m nad jeziorem biegła druga linia obronna rowem strzeleckim. Na najwyższym wzniesieniu przed jeziorem była obserwacyjna ziemianka szalowana żerdziami. W tej ziemiance znajdowało się stanowisko ogniowe. Obserwowano z niego bardzo ważny punkt dla umocnień. Był nim słup aowy z transformatorem. Bunkier nr.623 był bardzo ważnym obiektem strategicznym na południowym odcinku MRU. Od niego prowadziła telefoniczna linia kablowa od południowej strony jeziora, prawdopodobnie do Głównego Sztabu Wojny w Berlinie. Wzdłuż linii kablowej co kilometr były wybudowane betonowe studzienki kablowe z ukośną, żelazną zamykaną pokrywą. Z każdej studzienki telefonista mógł się połączyć ze Sztabem Wojny lub z centralą umocnień.. Bunkier ten był wyposażony w okrągły otwór w stropie w obramowaniu stalowym o średnicy około metra. Otwór ten służył dla miotaczy ognia z przetwornicy zainstalowanej w specjalnym pomieszczeniu w bunkrze. Przy wejściu do bunkra za głównymi drzwiami z grubej stali znajdowała się pułapka zagłębiona kilka metry ziemi. Ten bunkier posiadał kuźnię z ręcznym, nadmuchowym wentylatorem. Posiadał także hydrofor z własnej studni głębinowej. Każdy bunkier posiadał odpowiednie magazyny amunicji, własna kuchnię i odpowiednią klimatyzację, która zapewniała warunki, by przez dłuższy czas przetrwać oblężenie. Wszystkie bunkry dookoła były chronione zasiekami. Bunkier nr.623 miał wyjątkowe, wielorzędowe zasieki z drutu kolczastego na słupkach z teownika o różnej wysokości. Słupki były wykonane ze stali odpornej na korozję. Te słupki w ziemi były zakończone stopką z kwadratowej blachy. Na stopkach blachy była warstwa betonu zapewniająca mocne zakotwienie w ziemi.

Po wojnie przez wiele lat rolnicy rozbierali te zasieki. Słupki i drut kolczasty wykorzystywali na zagrody dla bydła. Rozbierali także wyposażenia bunkrów dla celów gospodarczych.. Pod koniec lat pięćdziesiątych skorzystałem także z wyższych słupków, które do dzisiaj służą mi w ogrodzie mojej posiadłości.





*Bunkier nr.623. Koło Ciborza. Była w nim rozdzielnia energetyczna. 10 lat po wojnie wkoło tu było pole.*

W większości bunkry były wyposażone w dwie kopuły przeciwpancerne. Mniejsza służyła do obserwacji, wyposażona w urządzenia pomiarowe i obserwacyjne. Urządzenia te służyły do kierowania ogniem artyleryjskim na tyłach. Druga duża kopuła z kilkoma otworami strzelniczymi, pełniła rolę wieży strzelniczej. We wnętrzu kopuły było obrotowe siedzenie wraz z ciężkim karabinem maszynowym.

. Przy każdym otworze strzelniczym był wmontowany peryskop o zbliżeniu 60-krotnym. Kopuły dla obserwatora i strzelca zapewniały bezpieczeństwo. Wszystkie kopuły były pomalowane na kolor żółty, by nie odróżniały się od piaszczystego terenu..



Abb. 84  
Beobachtungskuppel und Stahllüftungsschacht des Panzerwerks 716

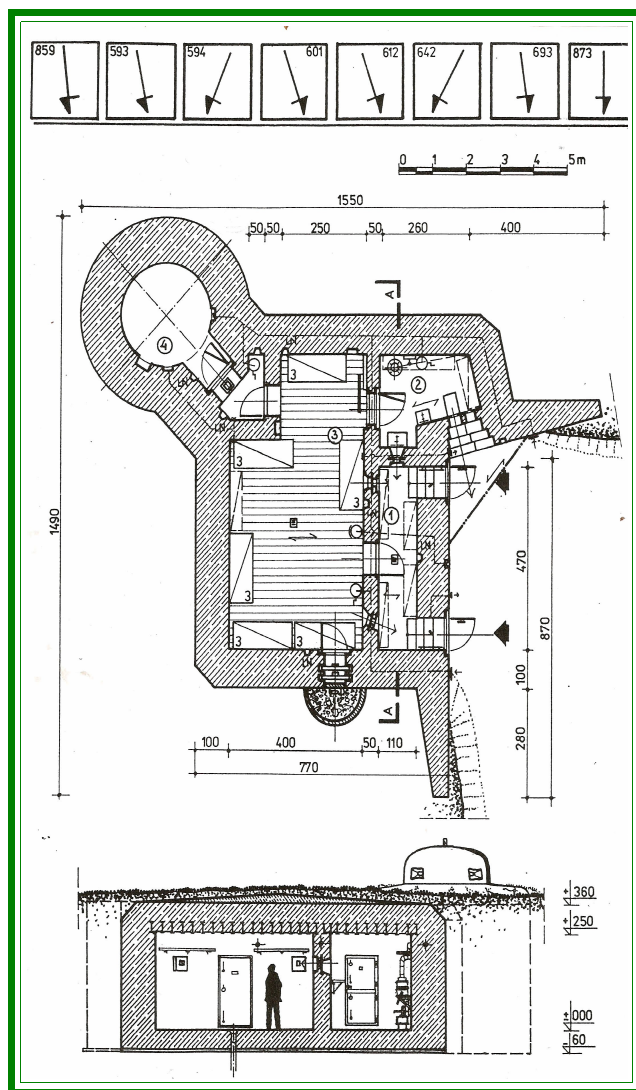
*Kopuły bunkra: obserwacyjna i strzelnicza.*



*Ćwiczenia bojowe załóg*

Na temat umocnień uzyskałem wiele wiadomości penetrując je na co dzień w pierwszych, powojennych latach. Resztę ciekawostek zaczerpnąłem z literatury i z opowiadań byłych, przedwojennych mieszkańców tych okolic, z którymi spotykałem się podczas wzajemnych odwiedzin.

Po przejściu frontu specjalne ekipy wojskowe wysadzały w powietrze bunkry, a przeważnie ich działy amunicyjne. Armia Czerwona musiała być pewna, by w razie czego znowu z nich nie skorzystano.



*Projekt jednego z bunkrów*

Resztę uroku strategicznego na południowym odcinku MRU został utracony w drugiej połowie lat pięćdziesiątych. W tych latach ze złomu umocnień Polska uzyskała wiele ton stali wysokiej klasy. W pierwszej kolejności wycięto ogrodzenia zabezpieczające tamy strategiczne. W niektórych przypadkach w specjalnych pomieszczeniach wymontowano urządzenia do opuszczenia dzwonu do regulacji poziomu wody zalanych terenów. Kilka takich urządzeń pozostało w zasypanych pomieszczeniach. W ostatniej kolejności pocięto kopuły obronne i obserwacyjne, oraz grube drzwi pancerne w bunkrach.

Zdewastowane, a częściowo wysadzone bunkry na umocnieniach pozostały widmem II Wojny Światowej na wiele wieków. Każdy zwiedzający te umocnienia pozna choćby odrobinę minionych, koszmarnych dziejów.



## TIBORLAGER I STRZELNICA



*Odznaka ukończenia szkoły pirotechnicznej*



BUDYNKI SZTABOWE PRZED RONDEM

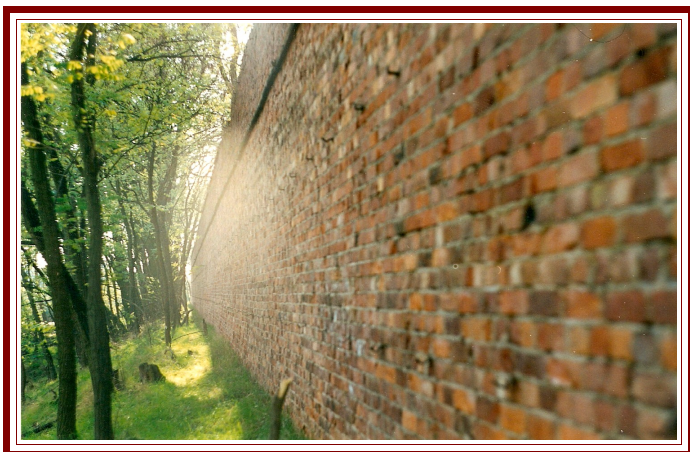
Budowa koszar Tiborlager była ściśle związana z budową południowego odcinka MRU. Trwała ona trzy lata. Przed budową zalesiony teren nad jeziorem, wykupił Wehrmacht od katolickiej parafii w Muhlbock /Ołobok/.

W latach osiemdziesiątych ukazał się artykuł w „Gazecie Lubuskiej”. Czytamy w nim: Gdy roboty przy budowie koszar były zaawansowane, wywiad polski był zainteresowany tą budową. Do zbierania informacji na jej temat wyznaczono agenta o kryptonimie „Nr.1225”.

Koszary budowały prywatne firmy budowlane. Jako pomoc do budowy zatrudniano wielu mieszkańców z Mittwalde /Międzyzlesie/ i okolicznych wsi. Na 200 hektarowym obszarze dwudziestoletniego sosnowego lasu zaroilo się od ekip budowlanych. W początkowej fazie budowy podczas prac ziemnych zatrudnionych było około 3.000 pracowników. Po wybudowaniu koszar okoliczni mieszkańcy Tiborlager nazywali w skrócie Tibor. Być może przez to powstała polska nazwa Cibórz. Jednocześnie z koszarami budowano strzelnicę w lesie, odległą około 1km. Teren strzelnicy nie był mniejszy od terenu koszar. Wybudowano tam z cegły stanowiska strzelnicze dla broni krótkiej. Kilka szerokich o długości 300m .stanowisk przedzielonych wysokimi wałami dla broni długiej. Nieco dalej wybudowano stanowiska dla broni zmechanizowanej. Tam tarcze były poruszane na wózkach, na kolejce wąskotorowej. W specjalnych budynkach były mechanizmy, które za pomocą lin stalowych poruszały o różnej szybkości wagoniki z tarczami. Był także wybudowany parterowy domek jednorodzinny i obok niego była ręczna pompa do wody. W pobliżu drewniany budynek jako magazyn na sprzęt strzelniczy. Nieco dalej od domku był magazyn na amunicję. Wyglądał jak bunkier zagłębiony na pochyłości wzgórza.



*Strzelnica dla broni krótkiej*



*Ściana bezpieczeństwa. .Strzelnica dla broni długiej*





*Ściana bezpieczeństwa po drugiej stronie*



*Betonowy kanał dla wystawiania tarcz i odczytywanie celu*



*Budynek z mechanizmem do poruszanie tarczami. Chroniony nasypem od przypadkowego strzału.*



*Podobny budynek po przeciwnej stronie pola tarczowego*



Należał do bardziej sprytnych i bystrych, najbardziej zapiekrzanych pod kryptonimem „1225” ludzi polskiego wywiadu działających na Pograniczu w latach poprzedzających agresję Hitlera na Polskę.

Jak się nazywał? Mieszkał zapewne po polskiej stronie powiatowej granicy. Ale gdzie dokładnie — tego nie wiem. Efekty jego penetracji znam tylko z pośredniego źródła. Jest nim sprawozdanie mieszczące się przed wojną w Bydgoszczy Ekspozytury 3 Oddziału II Sztabu Głównego Wojska Polskiego. Nie był jednak kadrowym pracownikiem wywiadu.

Z uwag umieszczonych na marginesie akt polskich przez Niemca, który je badał wiadomo, że w końcu 1939 r., po zakończeniu kampanii wrześniowej, akta te, podobnie jak całe Archiwum Ekspozytury 3, wskutek karygodnego niedbalstwa osób odpowiedzialnych za ochronę tak ważnych dokumentów znalazły się w ręku Abwehry. Ofiarą tego niedbalstwa padło — o tym dziś dobrze wiadomo — setki ofiarnych, bezinteresownie często współpracujących z polskim wywiadem, ludzi. Ale gdzie, że „1225” miał może szczęście, gdyż w odróżnieniu od innych przypadków podobnego rodzaju Niemcy prawdopodobnie nie potrafili zorientować się jak brzmiało jego nazwisko i gdzie mieszkał.

Z materiałów Ekspozytury 3 wynika, że „1225” umiał szukać i dzięki temu wyszperał niejedną hitlerowską tajemnicę. Operował na terenie ziem wchodzących w skład województwa zielonogórskiego.

Ze sprawozdania kwartalnego Ekspozytury 3 z 31 października 1937 r. dowiadujemy się np. o budowie koszar w Ciborzu, tam gdzie dziś mieści się szpital dla nerwowo i psychicznie chorych.

## Kim był agent „1225”?

Agent donosił w precyzyjnie sporządzonym i jak się teraz, po latach okazuje odpowiadającym prawdzie meldunku, że budowę rozpoczęto 6 czerwca 1937 r. Informował, że roboty ruszyły z miejsca pełną parą i trwać miały przez całą zimę. Początkowo zatrudniono tu ponad 3.000 osób. Po wykonaniu robót ziemnych liczba ta zmalała do 1.200. Jednakże również później praca odbywała się stale na trzy zmiany. „Koszary...” — pisał — zlokalizowano w lesie, na wschód od Międzyzlesia, na południe od szosy prowadzącej do miejscowości Skape”. Nie mógł „1225” oznaczyć miejscowości gdyż w owym czasie miejsce na którym budowano nowy obiekt nie nosiło jeszcze żadnej nazwy geograficznej. Stanowiło po prostu część rozległego kompleksu leśnego. Potem dopiero zaczęto w korespondencji wewnętrznej to miejsce nazywać „Tiborlager”. Po pewnym czasie nazwa weszła do powszechnego obiegu administracyjnego. Po 1945 r. w jej miejsce pojawiła się nawiązująca do starego nazewnictwa nazwa Ciborz.

Z załączonej przez „1225” i sporządzonej przezeń mapki wynikało, że pod koszary zajęto teren o długości blisko 1.000 metrów. „W przyszłości — zdaniem informatora — obszar ten miał być jeszcze powiększony w kierunku na Międzyzlesie”.

„Rejon zajęty pod koszary — czytamy — jest już częściowo obwieziony płotem. Południową granicę terenu zajętego przez wojsko stanowi jezioro Mittwaldersee (dziś jezioro Ciborz). Do tej pory ukończono budowę 25 budynków kszarowych i administracyjnych, 15 domów jest w budowie. Liczba ta w następnych latach rozrosła się. (Dziś na terenie zajętym przez szpital rozmieszczonych jest 116 obiektów murowanych — w tym pawilony szpitalne, budynki gospodarcze i administracyjne oraz budynki mieszkalne przeznaczone dla personelu obsługującego chorych).

„Zabudowania — pisał „1225” — są różnych rozmiarów. Budynki koszarowe długości około 200 metrów, jednopiętrowe... Wszystkie są masywnie wykonane, ale jednak bez użycia żelaza, murowane. Ściany piwnic betonowe”. (Tu Polak pomylił się trochę. Budynki nie były aż tak masywnie budowane. Inwestor liczył się wówczas z tym, że po rozszerzeniu granic Trzeciej Rzeszy, koszary w pobliżu granicy powiatowej nie będą już potrzebne. „Fundamenty są lekkie. — pisał — i nie zostały wykonane z betonu. Są zbyt płaskie”. (Dziś administracja szpitala ma z tego powodu kłopoty).

„Budynki rozmieszczono nieregularnie — czytamy w sprawozdaniu — w lesie. Las pozostawiono w stanie pierwotnym. Przerzedzono go tylko, w zależności od konieczności. Do koszar prowadzą dwie bramy od strony północnej. Brama zachodnia jest wjazdowa. Wschodnia jest bramą wjazdową. Od bram w głąb terenu w kierunku południowym prowadzą dwie szosy asfaltowe. W pewnym miejscu rozgałęziają się i biegną do poszczególnych budynków. Drogi wewnętrzne mają być również wyasfaltowane. Jednak są dopiero w robocie. Koszary skanalizowano”.

„1225” informował swoich i o tym, że już 6 października 1937 r. w kilku wykończonych budynkach zakwaterowano 122 batalion Piechoty Granicznej. „10 października dowiedziałem się od robotnika, które skrobały ziemniaki, że stan kotła wynosił 1.400 ludzi. Mogłoby to wskazywać, że na miejscu przebywają już dwa bataliony. Ale możliwe jest, że strawę gotowano również dla części robotników”.

„Bibliotek informacyjnych nie ma — czytamy — jedynie kasyno oficerskie jest uwidocznione... Strawę dla żołnierzy gotuje się tu w kuchniach polowych, gdyż stałe kuchnie nie są jeszcze gotowe... Według krzącących wieści stan oddziałów w tych koszarach wzrósł na do 6.000, z czego część przyjsz ma około Bożego Narodzenia, a reszta na wiosnę. Batalion 122 podlegał ma bezpośrednio dowództwu w Torzymiu. Dowództwo w Torzymiu... zakwaterowano w nowo wybudowanym bloku na zachodnim skraju tego miasteczka”.

„Materiały pochodzące od „1225” fachowcy z II Oddziału uznali za „wiarygodne” i jak się okazuje, mieli rację.

W tym samym sprawozdaniu Ekspozytury nr 3 z 31 października 1937 r. znajdujemy jeszcze jedną informację używaną od „1225”, również dokładną i ścisłą. Tym razem chodziło o budowę nowych koszar w jednym z miasteczek na dawnym pograniczu. Sprawozdanie brzmiało: „W ślad za tajemnym pismem z dnia 31 sierpnia br. melduję co następuje: Informator Wielkopolskiego Inspektoratu Straży Granicznej „1225” podaje, że jego bratanek, obywatel Rzeszy zatrudniony jest przy budowie koszar. Podczas pobytu w Niemczech w dniach 11 i 12 września r.b. „1225” starał się ustalić na jakim etapie znajduje się budowa pewnych koszar, o której wywiad polski już wiedział. W czasie wycieczki stwierdził, że nowe koszary były w tym czasie na ukończeniu. Na budowie zatrudnionych było 200 robotników. Praca odbywała się na trzy zmiany. Wszyscy robotnicy należeli do Arbeitsdienstu. Otrzymywali wyżywienie i minimalne wynagrodzenie. Koszary były dwupiętrowe o długości ok. 125 metrów i szerokości ok. 50 metrów”.

Dostęp do tego obiektu wcale nie był łatwy. „Na drogach wiodących z szosy do budowy — czytamy — stoi posterunek żandarmerii i pyta się każdego przechodnia skąd jest i w jakim celu idzie w tym kierunku. Niepowołane miejscowe osoby cofa, a obcych zabiera”.

Informator „1225” poszedł mimo to w kierunku koszar w towarzystwie bratanka. Stojący na drodze żandarm zagroził im drogę, chociaż krewniak ubrany był w mundur „Arbeitsdienstu”. Ale Polak uparty! Na teren budowy dostali się drogami okryznymi, które ów bratanek pochodzący z jednej z pobliskich miejscowości dobrze znał.

Kim był bratanek? Kim był jego krewniak przybyły do Polski? Nie wiemy tego. Czy Abwehra oraz Gestapo potrafili ustalić personalia śmiałków?

A może wśród czytelników znajdzie się ktoś, kto pomoże w rozwikłaniu tej tajemnicy?

WIKTOR LEMIEŚ

artykuł z lat osiemdziesiątych



W domku przy strzelnicy ze swoją rodziną mieszkał opiekun tego obiektu. Jego zadaniem było roznoszenie i zbieranie tarcz. Operowanie mechanizmem poruszającym tarcze. Utrzymywanie na strzelnicy ogólnego porządku.

Po opuszczeniu tych terenów przez wojsko polskie, na początku lat sześćdziesiątych w tym domku mieszkał przez kilka lat rybak Ignacy Bogusz ze swoją rodziną.

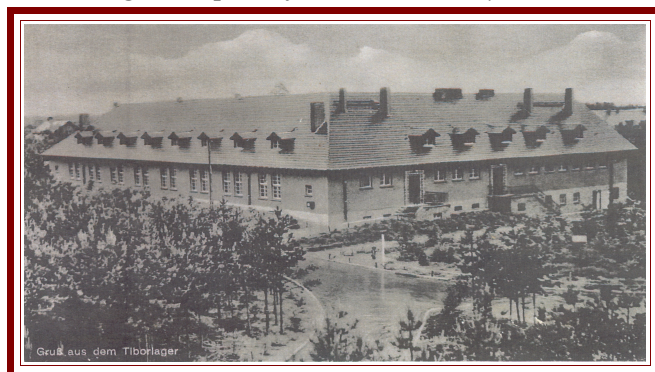
W 1997 roku, syn opiekuna strzelnicy przebywał w Leśnictwie w Międzylesiu w celu polowania. Leśniczy Leszek Tomczyk oprowadzał go po miejscach gęsto zarośniętych lasem samosiejką, gdzie gość polowania spędzał swe beztrioskie, dziecięce lata wśród częstych, monottonnych strzałów.

Obecnie teren strzelnicy wygląda dziko przypominający dawne, koszarne dzieje.

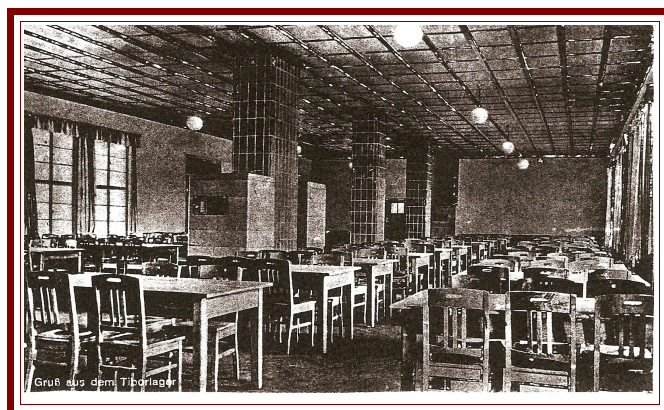
### TIBORLAGER GALERIA



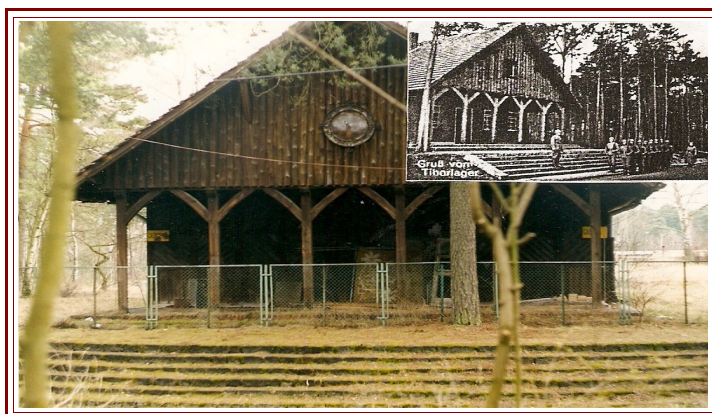
*Brama wjazdowa do Tiborlager. Po prawej widoczne schody i strażnica, która została spalona*



*Kuchnie dla żołnierzy*



*Wnętrze stolówki*



*U góry po prawej spalona strażnica przez Rosjan. Była podobnej budowy co budynek magazynowy po drugiej stronie drogi blisko portierni z tarczą zegara dla strażników.*



*Budynek sztabowy od strony ronda*



*Budynek sztabowy w stronę ronda*





*Rondo przed wojną. Po lewej widoczna pompownia, po prawej łaźnia.*



*Kuchnia – stołówka dla batalionu pancernego*



*Kasyno oficerskie od strony południowej*



*Przed wojną garaże motocyklowe. Po prawej stajnia.*





*Kasyno podoficerskie*



*Ciąg bloków nad jeziorem od nr. 1-6 batalionu pancernego*



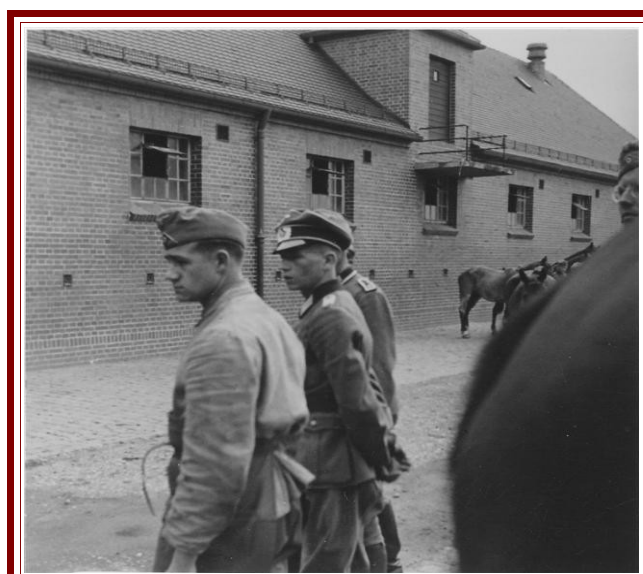
*Budynek sztabowy w stronę ronda, przed założeniem wieży strażniczej na dachu*



*Brzozowy mostek nad wąwozem między kasynem a blokiem oficerskim*

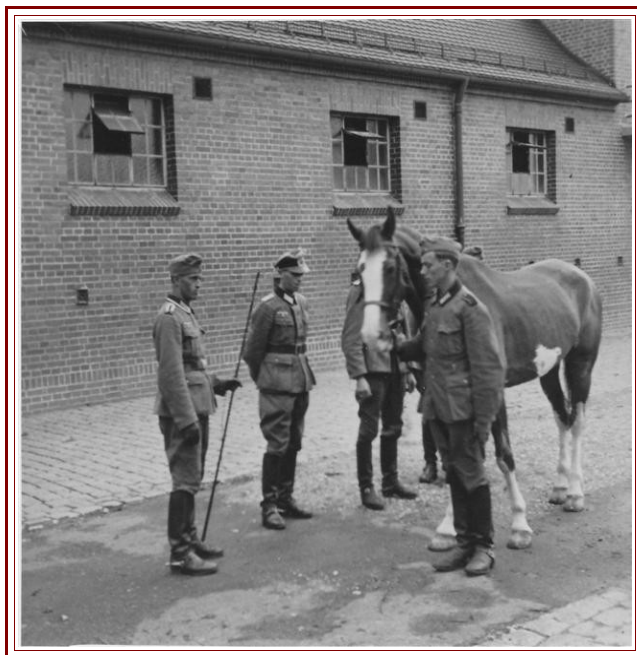


*Kajakarnia*



*Mieszkańcy Tiborlager przy stajni*





Po kolejnych wykończeniach budowy sektorów koszar już późną jesienią 1937 roku zajmowały pierwsze farmacje wojskowe. Do połowy listopada następnego roku koszary były uzupełnione wojskiem po brzegi. Zakwaterowanych zostało ponad 5.000 żołnierzy.

Do pracy w koszarach zatrudniono wielu cywilów dojeżdżających do pracy z okolicznych wsi. Wielu z nich miało mieszkania w Tiborlager i prywatne punkty handlowe. W koszarach toczyło się życie wojskowym rytmem. Podczas agresji na Polskę w jednym sektorze pozostały tylko szkoleniowe jednostki. Właściciele likwidowali swoje punkty handlowe i opuszczali Tiborlager. Nieznacznym zostali dla obsługi rodzin oficerskich. Resztę sektorów przygotowywano do przyjęcia jeńców wojennych.







Poczta Tiborlager

## CIBÓRZ TERAZ



*Brama wjazdowa. Rok 1998*



*Przed wojną budynek sztabowy. Obecnie administracja szpitala.*



*Kasyno oficerskie od strony północnej. Obecnie klub „ESKULAP”.*



*Przed wojną warsztaty remontowe ciężkich pojazdów. Obecnie kotłownia i warsztaty Rok 2007*





*Przed wojną garaże dla ciężkich pojazdów pancernych. Obecnie różni właściciele.*



*Przed wojną magazyn części zamiennych do pojazdów zmechanizowanych. Obecnie magazyn żywnościowy*



*Przed wojną lecznica koni. Obecnie warsztaty gospodarcze.*



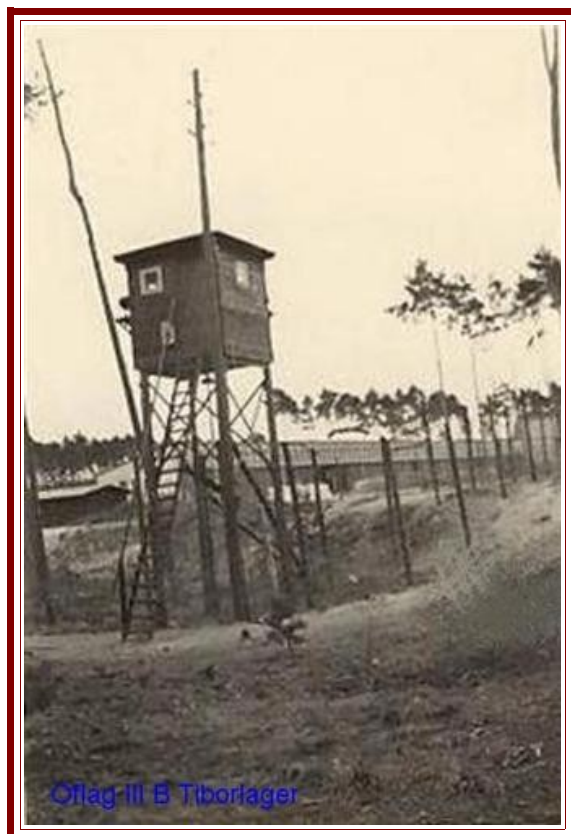
*Do końca lat sześćdziesiątych pralnia przebudowano na kaplicę*



## OFLAG TIBORLAGER

Przed rozpoczęciem wojny Tiborlager przygotowywano do przyjęcia jako jeńców oficerów polskich. Ogrodzono go podwójnym trzymetrowej wysokości płotem z drutu kolczastego. Co kilkadziesiąt metry były zadaszone wieżyczki obserwacyjne ze stanowiskami dla broni maszynowej. /To ogrodzenie po wojnie po likwidacji wieżyczek przez dwanaście lat służyło jeszcze koszarom dla rosyjskiego i polskiego wojska/.

Z nieznanych przyczyn zamiast polskich oficerów w dniu 21 czerwca Tiborlager stał się obozem jenieckim oficerów belgijskich. Nazwano go „OFLA III B TIBORLAGER”



*Wieżyczki strażnicze przy ogrodzeniu oflagu*



*Stemple oflagu*



*Poczta oflagu*



*Dwaj kapitanowie nie mogą trafić na budowę. Rok 1934*

*Źródło zdjęć Marek Fornalewski*



CIBÓRZ, w. w woj. zielonogórskim, na pól.-zach. od Świebodzina.  
 Oboz dla jeńców oficerów - Oflag III B Ciborlager.  
 założony 21 VI 1940, zlikwidowany 1 III 1941. Komenda obozu została  
 utworzona 10 X 1939, rozwiązana 7 II 1942. Oflag z przeznaczeniem  
 dla jeńców belgijskich w obiektach niemieckich koszar nad jeziorem  
 Cibórz. Wydzielony teren obozu został otoczony podwójnym płotem  
 z drutu kolczastego i systemem wież strażniczych z bronią maszynową.  
 Transport jeńców-oficerów belgijskich w ilości ok. 2 tys. przybył  
 do Ciborza 24 VII 1940. Znajdowali się wśród nich oficerowie zarówno  
 służby czynnej jak i rezerwy oraz kilka generałów, którzy brali  
 udział w obronie Liège i Brukseli. Belgijskim starszym obozu  
 został generał-porucznik Vandenberg. W oflagu działał teatr  
 jeńiecki pod kierunkiem por. Bévera i chór "La Chorale de Cibor"  
 prowadzony przez por. Anepacha a następnie Bisine. Odbываły się  
 również odczyty i ~~xxx~~ wykłady prowadzone przez kilku jeńców-  
 profesorów wyższych uczelni. Szczególnym powodzeniem cieszyły się  
 pogadanki kapelana Schaikrata, który jako element wyrotowy został  
 przez Niemców odesłany do Belgii. w styczniu 1940 roku z obozu  
 uciekło trzech belgijskich oficerów lotnictwa, którzy zostali  
 po kilku dniach ujęci z odmrożonymi stopami. 8 III 1941 Belgowie  
 zostali wywiezieni do Oflagu II A w ~~Pręszlau~~ a obiekty obozu  
 przeznaczono później na niemiecki szpital dla ~~rekowalescentów~~.

→ Pręszlau

OK G Ko 4/82

Jak wynika z dokumentu, w oflagu przebywało około 2000 oficerów. Między nimi było kilku generałów. Generał-lejtnant Georges Deffontaine zachorował. Leczony był w Żarach i tam zmarł 24 października 1940 roku. Pochowano go przed ogrodzeniem cmentarza w Mittwalde. Obok niego po paru miesiącach później pochowano zmarłego kapitana Eggnera lekarza towarzysza broni.



## POSZUKIWANIE GROBU GENERAŁA

66 lat po śmierci generała do gminy Skåpe zadzwoniła Ambasada Polska z Brukseli. Właśnie córka i wnuczka generała poszukiwały grobu swojego ojca i dziadka wiedząc, że jest pochowany na cmentarzu w Mittwalda, ale nie wiedziały gdzie ta miejscowość znajduje się. Niemcy przesłali wiadomość dla rodziny o śmierci generała z załączonym zdjęciem grobu bez większych wyjaśnień. Z mojej strony internetowej z „Lektury wspomnień” Ambasada Polska w Belgii dowiedziała się gdzie się znajduje Skåpe, Mittwalde i Tiborlager o którym opisałem. Wiosną 2008r skierowała pismo do wójta gminy Zbigniewa Wocha z załączonym zdjęciem grobu generała w celu odnalezienia miejsca Jego pochówku.



*Grob generała 24.10 1940r.*

*Zdjęcie zrobione parę miesięcy po pochówku*



*Groby: generała i kapitana lekarza listopad 2008r.*

W/g zdjęcia dla wójta odnalezienie grobu było utrudnione, gdyż na cmentarzu wszystkie nagrobki były zniszczone. Jedyna brzoza rosnąca na skraju cmentarza, która przeżyła ponad 100 lat była jedyną wskazówką w odszukaniu miejsca pochówku generała. Byłem ciekawy, czy to jest właściwy grób. Kiedy wójt mnie go wskazał byłem pewny i potwierdziłem, że to była właściwa mogiła. Od razu przypomniałem z powojennych lat dwa osamotnione groby z drewnianymi krzyżami. Dla całkowitej pewności odnalazłem czarny nagrobek widoczny na zdjęciu na linii brzoza – grób połamany na trzy części. Złożyłem go i zrobiłem zdjęcie, które umieściłem powyżej.

Można uzmysłowić jak generała żona, córka a później i wnuczka tęskniły przez tyle lat za swoim bohaterem .I i II Wojny Światowej. Jakże One przeżywały w ciągłej zadumie, że gdzieś daleko od Ojczyzny i jak spoczywa samotnie w nieznanej, leśnej głuszy ich ukochany „rycerz”. Ileż One poświęciły troski, by Jego szczątki pochować z honorami wojskowymi w rodzinnym grobowcu w Lege? Jest nadzieja, że w przyszłości przy osamotnionym grobie kapitana stanie tablica upamiętniająca losy bohaterów II Wojny Światowej. Być może odwiedzające, nowe pokolenia pochylą przed nią głowy.

Oflag przetrwał nie całe 8 miesięcy, to jest do 1-go marca 1941r. kiedy to został rozwiązany' Jeńców wywieziono w głąb Niemiec do Oflagu II A Prenzlau. Po likwidacji obozu Tiborlager został niemieckim, wojskowym szpitalem dla rekonwalescentów. W ostatniej fazie wojny w części Tiborlager przebywali także jeńcy Armii Czerwonej. Przed nadejściem frontu słyszałem o ewakuacji chorych , niemieckich żołnierzy. Nie wiadomo co się stało z rosyjskimi jeńcami. Wiele tajemnic w Tiborlager nie zostało ujawnionych. Czas po nich zatrze ślad.

## Belgijski generał lejtnant Georges Deffontaine

### Wydarzenia i materiały ze strony polskiej



Źródło zdjęcia: <http://www.ars-moriendi.be/deffontaine.htm>

1934 - 1935	Dowódca Pierwszego Pułku
1935 - 1938	Zastępca Szefa Sztabu Generalnego
1938	Dowódca V Dywizji
1938 - 1939	Dowódca Dywizji Strzelców Konnych Ardennais
1939 - 1940	Dowódca VII Korpusu
1940	Jeniec wojenny
1940	Zmarł w niewoli w obozie jenieckim

Urodzony w 1882 roku Georges-François-Auguste Deffontaine w czasie II wojny światowej był wysoko postawionym oficerem Armii Belgijskiej. W swojej karierze wojskowej miał nadane następujące stopnie wojskowe Generał Brygady, następnie Generał Dywizji, ostatecznie Generał Korpusu. W latach 1939-1940 pełnił funkcję pierwszego Zastępcy Szefa Sztabu Generalnego, a w

1940 roku został dowódcą VII Korpusu Armii Belgijskiej.

W maju 1940 roku Generał Deffontaine został wzięty do niewoli w czasie walk belgijsko – niemieckich na pozycjach ufortyfikowanych w mieście Namur (Belgia). Nie wiadomo dokładnie kiedy został przewieziony do Oflagu IIIB w Tiborlager (obecnie Cibórz) jednak z całą pewnością był jego jeńcem. Podczas pobytu w obozie stan zdrowia Generała uległ pogorszeniu i został on przewieziony do wojskowego szpitala w Żarach gdzie zmarł 24 września 1940 roku. Został pochowany na cmentarzu, w położonej niedaleko Tiborlager miejscowości Mittelwalde (obecnie Międzyzylesie) obok belgijskiego lekarza obozowego EGGNERa (lub HEGENERa) zmarłego w sierpniu tego samego roku.

### **Poszukiwania miejsca pochówku**

W dniu 5 września 2006 roku do Urzędu Gminy Skąpe zadzwonił Pierwszy Sekretarz Wydziału Ekonomicznego Ambasady RP w Brukseli Maciej Bittner i poprosił o rozmowę z Wójtem Gminy Skąpe Zbigniewem Wochem. W rozmowie Pierwszy Sekretarz wyjaśnił, że dzwoni w sprawie zaginionego miejsca pochówku gen. Georgesa Deffontaine. W Belgii z M. Bittnerem skontaktował się belgijski historyk Jacques Vandenbroucke, który m.in. jedną ze swoich prac poświęcił walkom na pozycjach ufortyfikowanych w Namur w latach 1914 i 1940. W czasie zbierania materiałów do pracy poznał on córkę i wnuka gen. Deffontaine, którzy zwrócili się do niego o pomoc w odnalezieniu grobu ich członka rodziny. Chcieli spełnić życzenie, zmarłej już żony generała, która pragnęła złożyć szczątki swojego męża w rodzinnym grobowcu w mieście Liège (Belgia). Po zakończeniu II wojny światowej wdowa po generale próbowała ustalić miejsce pochówku męża jednak na terenie Polski stacjonowały wojska sowieckie i podjęcie przez stronę belgijską jakichkolwiek działań mających na celu przewiezienie szczątków dowódcy VII korpusu do kraju nie było możliwe. Spotkanie rodziny z J. Vandenbrouckiem prawdopodobnie sprawiło, że odżyły wspomnienia córki o ojcu generale i jeszcze za życia chciała się dowiedzieć czy ten grób, o którym opowiadała jej matka nadal w Polsce istnieje. W rodzinnych pamiątkach znajdowała się poniższa fotografia.

Jacques Vandenbrouckiem nie zna języka polskiego zatem zwrócił się z prośbą o pomoc w odnalezieniu grobu generała do Pierwszego Sekretarza Wydziału Ekonomicznego Ambasady RP w Brukseli Macieja Bittnera. Pan Pierwszy Sekretarz poszukując w Internecie miejscowości Mitwalde (rodzina podała taką niemiecką nazwę miejscowości, w której pochowany miał być generał) znalazł, na stronie poświęconej twórczości Pana Sergiusza Jackowskiego, w opowiadaniu „Dzieje nad strumykiem” Mittelwalde (obecnie Międzyzylesie). Dzięki tym wspomnieniom mieszkańca Międzyzylesia o obozie dla jeńców belgijskich w Tiborlager odnalazł dzisiejszy Cibórz i Gminę Skąpe.

Dzięki przesłanej do Urzędu Gminy Skąpe fotografii Zbigniew Woch - Wójt Gminy Skąpe odnalazł miejsce pochówku Generała na dawnym cmentarzu w Międzyzylesiu, a informacja o tym została przekazana stronie Belgijskiej.



# Enterré en Pologne

**La famille du lieutenant-général Deffontaine ne croit plus au retour de son corps**

**NAMUR** Le lieutenant-général Georges Deffontaine, qui était n°2 de l'armée belge au début de la Seconde Guerre mondiale, repose en Pologne à Skape depuis maintenant 69 ans. Sa fille, âgée de 92 ans, désespère de voir un jour revenir dans son caveau familial les restes de son père.

**GEORGES DEFFONTAINE**, qui commandait le VII<sup>e</sup> corps d'armée à Namur en mai 1940, a été fait prisonnier le 28 du même mois au côté du roi Léopold III. Il fut envoyé en Allemagne dans le camp de Tibor (actuellement Skape en Pologne).

"Une maladie contractée en 14-18 s'y aggrava. Il s'éteignit le 24 septembre 1940. Il avait exprimé le désir d'être inhumé à proximité du camp, non loin de ses camarades de captivité", explique Jacques Vandenbroucke, historien qui a repris le flambeau de la famille du général qui ne souhaite plus entamer de nouvelles démarches. Après 69 ans d'attente, il y a effectivement de quoi être usé.

"Dès 1946, la veuve du général et sa famille entamèrent des démarches officielles pour rapatrier le corps. Malheureusement, toutes les tentatives échouèrent par le fait que la commune se trouvait en Pologne, de l'autre côté du rideau de fer. Depuis la chute de ce dernier et l'adhésion de la Pologne à l'UE, la famille espérait que les choses allaient changer. Les mois passèrent et puis... rien."

En 2009, Georges Deffontaine est toujours en Pologne. La commune de Skape, qui est prête à collaborer, a retrouvé le cimetière, aujourd'hui désaffecté. La tombe du lieutenant-général a



La tombe du lieutenant-général Deffontaine, enterré à Skape, en Pologne, telle qu'elle était en 1940.

même été identifiée. Sur le site Internet de la commune, il est fait référence à ce problème.

**C'EST PRESQUE** surréaliste. Aujourd'hui, l'historien Jacques Vandenbroucke et son ami André Scaillet tentent une dernière fois de faire revenir le général dans son pays.

"Nous ne pouvions nous résigner sans lancer un dernier appel. Nous pensons qu'il s'agit pour la Belgique et pour la défense nationale d'une question d'honneur. Cette famille a été doublement éprouvée durant la Seconde Guerre mondiale. Le fils du général, Christian Deffontaine, a disparu le 27 février 1942 en Méditerranée. Son avion a été abattu au-dessus de Malte. S'il avait été simple soldat, nous en aurions fait de même." À suivre !

Stéphane Tassin

## Des centaines de soldats

**NAMUR** Actuellement, on recense plusieurs centaines de soldats belges enterrés dans d'autres pays. C'est en France, d'ailleurs, qu'ils sont le plus nombreux, puisqu'on en dénombre plus de 1.000 rien que pour la Première Guerre mondiale. Ils reposent en général dans des carrés dédiés aux soldats morts pour la patrie.

On en compte 85 en Suisse dans les cantons de Berne, Vaud, Fribourg, Genève, Neuchâtel et dans le Valais. Ils sont 15 en Lituanie, 6 au Grand-Duché de Luxembourg, 161 aux Pays-Bas et 5 en Angleterre. Tous sont morts lors de la Première Guerre mondiale.

Il est, semble-t-il, plus difficile d'établir un nombre exact pour ceux de la Seconde Guerre mondiale. Manifestement, d'autres cas similaires à celui du général Deffontaine posent encore problème. "J'ai reçu, hier, un mail du webmaster du site de la Fraternité des Chasseurs ardennais, sensible à nos efforts. Il évoque les recherches d'un habitant de Marche dont le père est enterré à Kalinigrad (ex-Koenigsberg)", explique Jacques Vandenbroucke.

Il existe un service des sépultures de guerre au sein de la Défense. Nous n'avons pas obtenu de réponse de leur part, les services étant fermés vendredi.

S. Ta.

*Belgijska prasa pisala o losach generala Deffontaine*



*Wspomnienia sprzed wojny. Spotkanie generała Deffontaine z królem Belgii.*

*Źródło zdjęć Marek Fornalewski*

Po zbliżeniu się Armii Czerwonej do umocnień Tiborlager zakończył spełniać swoją rolę. Przegrana wojna wymiotła z niego wszystkich Niemców – cywilów. Po wkroczeniu tych wojsk do Tiborlager była tam całkowita pustka. Spłonęło kilka budynków. W Mittwalde też spalono trzy domy. Rosyjska armia paliła budynki z zemsty, które były dekorowane symbolami nazizmu. Nie ma co się dziwić. Pod tymi symbolami zniszczono ich Ojczyznę. Pod tymi symbolami zginęło miliony rodaków i najbliższych członków ich rodzin. Pod tymi symbolami ginęli miliony ich kolegów na froncie i w partyzantce.. Pod tymi symbolami palono ich rodaków w Auschwitz-Birkenau.

### **EKSHUMACJA ZWŁOK GENERAŁA**

Cmentarz ewangelicki w Mittwalde był ogrodzony kraciastym, drewnianym płotem. Od strony wsi była brama murowana. Była także bramka boczna od Tiborlager. Służyła ona dla pochówku zmarłych cywilów tej miejscowości. Jako zmarłych obcokrajowców generała i kapitana pochowano przed bramką ogrodzenia cmentarza przy zagajniku sosnowym. Nikt się nie interesował tymi grobami i nie wiedział kto w nich pochowany. Krzyże z napisami na ramionach w obcym języku nikogo nie interesowały. Po odnalezieniu grobu w listopadzie 2009 to znalezisko filmowała ekipa telewizji z Belgii.

Ósmego grudnia rano pod Gminę Skąpe podjechało kilkanaście samochodów osobowych. Między nimi było dyplomatyczne BMW z ambasadorem belgijskim w Polsce panem Janem Luykxem. „Gazetę Lubuską” reprezentował redaktor Mariusz Kapała z kamerą. W gminie załatwiano ostatnie formalności dotyczące ekshumacji generała. Po skromnym poczęstunku ciastem i kawą delegacja udała się na cmentarz w Międzyzlesiu, gdzie już pracowała ekipa Zakładu Pogrzebowego z Radoszyna.





*W gabinecie wójt pokazuje legendarną brzozę,*



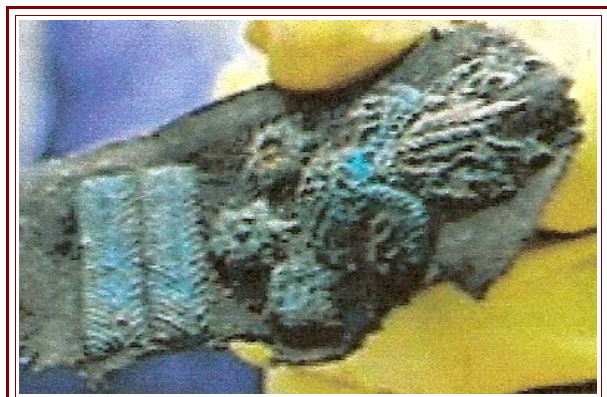
*Ambasador belgijski w Polsce Jan Luyckx*



*Stary cmentarz w Międzyzlesiu*



*Nad odkopanyym grobem.*



*Szlify generalskie*



*Szczątki generała na grobie kapitana*

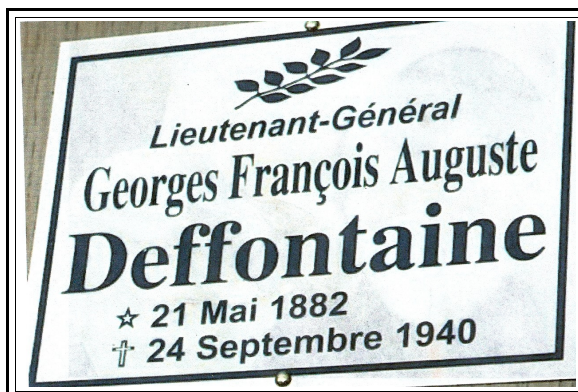


*Zalutowanie trumny ze szczątkami*





Zakrywanie trumny wiekiem z tablicą zmarłego.



Zdjęcia: Mariusz Kapala /Gazeta Lubuska

Data...08. grudnia 2009r.

Protokół Nr. 1  
z ekshumacji zwłok znajdujących się  
na terenie miejscowości Miedzylesie gminy Skópe

Nazwisko i imię...Deffontaine Georges  
Wiek lub data urodzenia...21.05.1882r.  
Imiona rodziców...brak danych  
Ostatnie miejsce zamieszkania...obóz jeńców oflag. IV B Tarnobrzeg.  
Miejsce skąd zebrano zwłoki...cmentarz państwowy  
w miejscowości Miedzylesie

Ekshumowane zwłoki złożono do trumien wg poniższej numeracji i  
pochowano na cmentarzu

Nr zwłok / nr. znaczka PCK/	Nr. trumny
bez numeru	bez numeru

Miejsce gdzie pochowano zwłoki  
Szczegółowo: zwłoki pochowane w Belgii  
.....kwatera.....rząd.....nr grobu.....

Znaki  
szczególne...złota kasa uder  
zachowane iasygnia generalnie postawione  
rengg osoby pochowane  
Depozyty.....

Uwagi...Wzrost szóstki zwłok pochowanych  
w grobie rodzinnym Deffontaine na cmentarzu  
w Angleur (Liege) w Belgii

WÓJT  
Zbigniew Woch

S.O.S. AGENCJA FUNKCJONALNA

Piotr Górecki

PSSE Świdowa

MŁODSZY ASYSTENT

mgr inż. Michał Ostrowski

POLSKI CZERWONY KRZYŻ  
Lubuski Zarząd Okręgowy w Zielonej Górze  
65-013 Zielona Góra, ul. Jedności 22p  
tel. 12 66 11 11 11

KIEROWNIK  
Wydziału Organizacyjno-Programowego

Ryszard Marczewski



AMBASSADE  
DE  
BELGIQUE

Warszawa, dnia 10 grudnia 2009

W PŁYNEŁO  
SEKRETARIAT  
Urzędu Gminy w Skąpcu

18. 12. 2009

Łość załączników .....  
podpis .....

Nr 1028/2009


Szanowny Panie Wójcie,

Pragnę niniejszym uprzejmie podziękować za okazane przyjęcie w dniu 8 grudnia bieżącego roku oraz za wszelkie starania i prace podjęte dla odnalezienia grobu belgijskiego Generała Georges Deffontaine.

Podejmując sugestię Dyrektora Biura Wojewody Lubuskiego, byłoby istotnie interesujące zbadanie możliwości umiejscowienia tablicy poświęconej pamięci jeńców wojennych, oficerów wojska belgijskiego, w miejscu ich odosobnienia. Dla podjęcia tego dossier, potrzebowalibyśmy poznać możliwie jak najwięcej elementów faktograficznych dotyczących obozu jeńców wojennych.

Rad jestem z osobistego poznania Pana Wójta i mam nadzieję, że w przyszłości będziemy również mieli okazję podjęcia współpracy.

Z poważaniem.

  
Jan Luykx  
Ambasador Belgii

Pan  
Zbigniew Woch  
Wójt Gminy Skąpe  
66-213 Skąpe 65





## **OPIS PLANU CIBORZA**

*BY – drewniana strażnica, a przy niej budynek administracyjny spalone przez wojska rosyjskie*  
*22, 23 – przedwojenne stajnie – obecnie budynki gospodarcze*  
*24 – kuźnia do podkuwania koni – obecnie warsztaty*  
*25 - ambulatorium dla koni – budynek warsztatowo-biurowy*  
*26, 27 – współczesne bloki mieszkalne*  
*79 – w latach pięćdziesiątych wybudowane jako magazyny wojskowe*  
*77 – blok dla rodzin oficerskich, wybudowany na początku lat pięćdziesiątych*  
*37 – kasyno oficerskie – obecnie klub „ESKULAP”*  
*41 – przed wojną blok oficerski. Wojska rosyjskie spaliły. W latach pięćdziesiątych odbudowany.*  
*4 – kasyno podoficerskie – obecnie budynek mieszkalny dla rodzin*  
*1 – hotel pielęgniarek, wybudowany w latach sześćdziesiątych*  
*9 – magazyn, wybudowano w latach siedemdziesiątych*  
*3, 6 – budynki sztabowe – obecnie administracyjne*  
*7 – przed wojną szwalnia – obecnie przychodnia*  
*TA – magazyn mundurowy spalony przez wojska rosyjskie*  
*BA – amfiteatr, spalony przez wojska rosyjskie*  
*14, 10, 63 – przed wojną wojskowe kuchnie-stołówki*  
*62 – do lat sześćdziesiątych pralnia. W latach siedemdziesiątych przebudowana na kaplicę*  
*67 – przed wojną warsztaty naprawcze ciężkich pojazdów – obecnie warsztaty i kotłownia*  
*68 - = = magazyn części zamiennych do pojazdów – obecnie magazyn żywnościowy.*  
*69, 70, 71 - = garaże dla ciężkich pojazdów*  
*28A – F – domki rodzinne wybudowane w latach siedemdziesiątych*  
*Pozostałe budynki bez zmian. Służyły one dla celów wojskowych, a obecnie szpitalnych.*  
*69 – Obecnie pralnia*

Pisząc wspomnienia miałem zezwolenie od władz gminy na udostępnienie do wszelkich dokumentów w archiwach. W archiwum w Wilkowie znajdują się wszystkie dokumenty powojennej współpracy przebywającej na tych terenach Armii Czerwonej z władzami świebodzińskiego powiatu. Sprawdziłem nie pomijając każdego. Nie natrafiłem na żaden, który by potwierdzał o poważnych czynionych krzywdach tej armii na polskiej ludności naszego powiatu. Zdarzyło się tylko jedno wydarzenie gwałtu i zabójstwa, którego byłem świadkiem słuchając podczas przesłuchania jęków sprawcy gwałtu i zbrodni. Podczas tej krótkiej rozprawy sądowej obok naszego pokoju, Sąd Wojenny skazał zabójcę na karę śmierci. Ta armia nie była bez wad, niczego nie naprawiała a niszczyła co tylko popadło. Z tą armią na co dzień za swojej młodości przez 30 miesięcy doznałem wiele pozytywnych a mniej negatywnych jej czynów.

## MASAKRA W RADOSZYNIE

*„Przybyłem do Radoszyna latem 1945 roku – opowiada repatriant Józef **Paszkiewicz** – Soltysem był **pan Michalski**. Wielkopolanin, który osiedlił się tu przed wojną wraz ze swoją rodziną. Podczas spotkań ze współmieszkańcami opowiadał o masakrze, której był świadkiem. Było to w ostatnich dniach stycznia 1945 roku. Podczas posuwania się na zachód sił zbrojnych Armii Czerwonej, niemiecka jednostka pancerna z kilkoma czołgami z niewiadomych przyczyn, nie zdążyła wycofać się za linię umocnień MRU”.*

Być może dowództwo wydało rozkaz dla tej jednostki, by na jakiś czas powstrzymać front. W tym czasie trwała wzmożona ewakuacja rannych niemieckich żołnierzy z Tiborlager.

Dowództwo niemieckie musiało wiedzieć z jaką siłą podąża front Armii Czerwonej. Dlaczego tą jednostkę zostawiło na nieuniknioną zagładę?

*„Gdy we wsi pojawiły się pierwsze czołgi, otworzyli do nich ogień. Rozpoczęła się bitwa pancerna w środku wsi. Po wymianie ognia po obu stronach walczących były straty w ludziach i sprzęcie. W wyniku walk płonęło kilka budynków. Niemcy zdali sobie sprawę z przewagi przeciwnika i wkrótce poddali się. Za rozpoczęcie działań zbrojnych i w zemście za poległych kolegów, wszystkich niemieckich pancerniaków ustawiono na wzniesieniu drogi naprzeciw kościoła i rozstrzelano. Po tej egzekucji po zabitych ponoć przejechali czołgami. Na skrzyżowaniu w kierunku wsi Łąkie krew ciekła strumieniem. W pobliżu miejsc, gdzie Niemcy stawiali opór, z domów wyprowadzano cywilów i rozstrzeliwano na podwórkach. We wsi powstał straszny popłoch mieszkańców. Ludzie z przerażenia same dokonywali samobójstwa. Skutkiem artyleryjskiego ognia we wsi paliło się kilka budynków. W czasie masakry palił się budynek przy plebani. **Proboszcz Szoltysik** pochodzenia polskiego ratował swoją plebanię przed pożarem. W czasie tłumienia ognia został także zastrzelony. Po zakończeniu zemsty żołnierze Armii Czerwonej w pobliżu żwirowni pochowali swoich kolegów w jednym grobie. Mogiłę ogrodzili i ustawili na niej drewniany cokół z symboliczną, czerwoną gwiazdą. Po opuszczeniu Radoszyna przez mścicieli, przez władze wojenne zarządzono wywózkę zamrożonych trupów furmankami po za wieś. Pochowano je na skarpach w żwirowni po około trzydziestu w trzech grobach masowych. Parafianie księdza pochowali przy drodze między Radoszynem a Łąkie. Na początku lat siedemdziesiątych, prochy jego ekshumowano i pochowano na cmentarzu w Skąpem. Parafianie ze Skąpego ufundowali jemu nagrobek w latach osiemdziesiątych. Wcześniej ekshumowano szczątki żołnierzy Armii Czerwonej i pochowano je na wojennym cmentarzu w Międzyrzeczu”.*

**Jan Samulski**, który od maja 1945 roku mieszka w Radoszynie potwierdził także relacje pana **Paszkiewicza**. Dodał jeszcze swój fragment masakry:

*„Zginęła w niej także 21 letnia dziewczyna. Była ona obywatelką Norwegii. Syn bauera **Richarda Hartmana** z Radoszyna jako żołnierz okupant przebywał w czasie wojny w Norwegii. W tym czasie werbowano młodzież do prac przymusowych w Niemczech. Poznał tam dziewczynę **Sylveig House**, w której bardzo się zakochał. Ona także odwdzięczała się dla narzeczonego swoją miłością. Z uwagi na wielką miłość zakochanych, rodzice **Sylveig** zgodzili się na wyjazd córki. Narieczony skierował ją w 1942r. niby do pracy do swoich rodziców. Przybyła ona do Rentschen /Radoszyn/ z własnoręcznym listem syna. W liście tym syn rodziców zastrzegł, by była traktowana jak własna córka. Oznajmił także, że kiedy wróci z wojny to weźmie z nią ślub.*

*W czasie wojny syn bauera jako oficer otrzymał krótki urlop. Odwiedził rodziców i swoją narzeczoną, która uczyła się krawiectwa dojeżdżając do Świebodzina pociągiem z Radoszyna.*

Po wojnie starszy od **Sylveig** brat **Zygmunt** dowiedział się o tragicznej śmierci siostry, która zginęła podczas rozstrzeliwania cywilów przez Armię Czerwoną. Na początku lat siedemdziesiątych przyjechał do Radoszyna, by odszukać grób swojej siostry. Trafił właśnie do mnie, by na ten temat uzyskać informacji. Zaprowadziłem go na żwirownię. Pokazałem miejsce gdzie jest pochowana w masowych grobach razem z mieszkańcami Radoszyna i niemieckimi żołnierzami byłej masakry.

Przed tą masakrą **Sylveig** już wiedziała, że jej narzeczony zginął na wojnie. Podczas rozstrzeliwania cywilów przez Armię Czerwoną popełniła samobójstwo jak również kilka młodych kobiet w obawie przed gwałtem. Ode mnie jej brat dowiedział się jaką śmiercią zginęła **Sylveig**. Był bardzo załamany. Gdy spojrzał na obsuniętą skarpe żwirowni ze śmieciami pod którą znajduje się ciało jego siostry, z żalu polały mu się łzy, że jest pochowana jak zwierzę razem z wieloma ofiarami byłej masakry. **Pan House** prawie każdego roku odwiedzał miejsce gdzie spoczywają szczątki jego siostry. Podczas każdych odwiedzin nie godnego miejsca pochówku **Sylveig** odwiedzał moją rodzinę. Przywiózł ze sobą także krzyż. Wspólnie z nim urządziliśmy symboliczny grób, nad którym w spokoju mógł się pomodlić nad nieszczęśliwą, zakochaną ofiarą wojny, która tak bliską była jego sercu. **Pan House** prosił mnie, bym nie zaniedbywał tego miejsca i dbał o świeże kwiaty, zapalał znicze w święta zmarłych i 22 października w rocznice urodzin na symbolicznym grobie **Sylveig**. Zwierzał mi się, że przyjeżdża tu, by pobyć blisko jej prochów, w głębokiej zadumie i nostalgii powspominać o wspólnym dzieciństwie i młodości w rodzinnym kraju, o swojej, drugiej siostrze w rodzeństwie. Ogromna więź i miłość do siostry zmuszała go przez dziesiątki lat odwiedzać radoszyńską żwirownię i opiekunów symbolicznego grobu **Sylveig**”.

Oglądałem z panem **Samulskim** ten grób i drugi taki grób zrobiony z kamieni odwiedzających Niemców. Zrobiłem zdjęcie tych grobów. Pan Jan pokazywał mi miejsca gdzie spoczywają prochy ofiar z radoszyńskiej masakry.



Grób symboliczny Sylweig. W głębi grób symboliczny z kamieni odwiedzających Niemców.





*Nagrobek ks. Szoltysika na cmentarzu w Skąpe*

### **EKSHUMACJA OFIAR MASAKRY**

Wiosną 2009r. moimi „wspomnieniami” Na mojej stronie internetowej zainteresował się pan prezes „Pomostu” Tomasz Czabański z Poznania. Przez cały rok byłem z Nim w kontakcie, jak również z poznanym kierownikiem wydawnictwa „Pomost” panem Maciejem Karalusem.

28 mają 2010r. od pana prezesa otrzymałem maila:

Drogi Panie Sergiuszu,  
 chcę powiadomić, że we wtorek o 9.30 rozpoczniemy ekshumację w Radoszynie. Mamy już zlokalizowane dwa groby. Szukamy jeszcze trzeciego.  
 Proszę napisać czy Pan dojedzie, czy też przyjechać po Pana.  
 Pozdrawiam  
 Tomasz Czabański

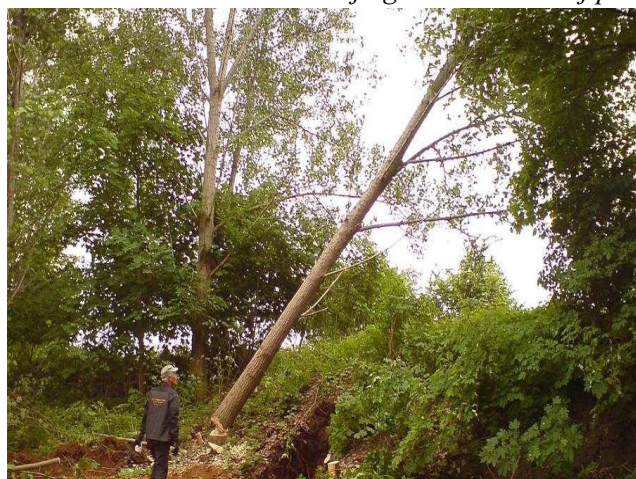
Po mojej odpowiedzi otrzymałem następnego maila ze zdjęciami:

Drogi Panie Sergiuszu,  
 cieszę się że Pan będzie. Może Pan śmiało przyjechać. Jedna mogiła jest już gotowa do ekshumacji drugą musimy jeszcze tylko odkryć z ziemi. Mamy już jedną złotą obrączkę ślubną znaną przy pochowanych ludziach.  
 Pozdrawiam Tomasz Czabański  
 KiedyP/S. w osobnej poczcie przesyłam Panu parę zdjęć z naszej pracy w Radoszynie.





*Lokalizacja grobów. Po lewej prawego zdjęcia wójt Zbigniew Woch*



*Wycinka drzew przy grobach. Po lewej prawego zdjęcia prezes Tomasz Czabański przy pracy*



*Pierwsza, grawerowana, ślubna obrączka.*



*Zaciekawieni mieszkańcy Radoszyna*

Po odkryciu pierwszego, masowego grobu gmina Skąpe zawiadomiła wojewódzkie media, że 1 czerwca dwie ekipy pracowników polskich i niemieckich przystępują do ekshumacji. Kiedy pojawiłem się na żwirowni ekipy ekshumacyjne już były. W oczekiwaniu na media pan prezes Tomasz Czabański zapoznał mnie z ekipą rezerwy niemieckich żołnierzy z Bundeswehry, którą kierował kapitan Arnold Bauman. Po przybyciu pierwszych ekip z mediów rozpoczęto ekshumację. Między nimi byli: TVP z Gorzowa, Gazeta Lubuska, Radio Zachód i inni zainteresowani fotografowie. Obydwie ekipy podczas pracy okazywały towarzyską przyjaźń. Z poświęceniem także angażowali się do pracy jak: pan kapitan Arnold Bauman, prezes 'Pomostu' pan Tomasz Czabański, kierownik wydawnictwa Pomost pan Maciej Karalus. Kartonowe trumienki



zapełniały się kośćmi. Wkrótce znaleziono drugą, złotą obrączkę, hełm, fragment damskiego buta. Pojawiła się pierwsza niekompletna czaszka młodocianej osoby, żołnierskie identyfikatory, następne fragmenty butów, drobne rzeczy osobiste ofiar zniszczone w ziemi przez 65 lat.

Podczas prac ekshumacyjnych z zaangażowaniem pracowała ekipa redakcyjna „Gazety Lubuskiej”. 29 maja ukazał się artykuł tej gazety o rozpoczętej ekshumacji. Na wstępie artykułu napisali:

*„Wszystko zaczęło się od Sergiusza Jackowskiego, który tropiąc ślady historii okolic Skąpego napisał o zbiorowych mogiłach w Radoszynie. Gdy Tomasz Czabański, z zajmującego się poszukiwaniem wojennych mogił Stowarzyszenia "Pomost", przyjechał do Radoszyna, ludzie zaczęli snuć opowieści zasłyszane od rodziców i dziadków. Na dodatek w dawnej żwirowni znajdowały się dwa symboliczne groby otoczone romansową, ale tragiczną historią (Magazyn "GL" z 29 maja)”.*

*- Ta okolica obfituje w zbiorowe mogiły, kilka już przeszukaliśmy, mam pozwolenie na prace w kolejnych sześciu, siedmiu punktach - dodaje Czabański. - Z jednej strony tutaj na początku 1945 organizowano tzw. kotły, z drugiej tu także została stoczona bitwa pancerna.*

Zdjęcia z ekshumacji fotoreportera z „Gazety Lubuskiej” Mariusza Kapały:



*Kapitan Bauman z z pierwszą czaszką*



*Prezes Tomasz Czabański przy pracy z prawej*



*Wydawca Maciej Karalus z kapitanem Baumanem przy pracy*





*Uczestnicy ekshumacji*



*... Mieszkańcy Radoszyna z autorem książki z prawej*

*Zdjęcia z ekshumacji fotoreportera z n" Gazety Lubuskiej Mariusza Kapuły*



*Wywiad 'Gazety Lubuskiej' z autorem książki*



*Wywiad TVP z prezesem „Pomostu”*

*Zdjęcia Cezarego Wocha*

## **TAJEMNICA MASOWYCH GROBÓW W PODŁEJ GÓRZE**

Odnaleziono je pod koniec roku 2008 podczas wykopów pod sieć wodociagową.. Wiele o nich pisano w prasie. Redaktorzy pisząc artykuły opierali się na wywiadach starszych mieszkańców tej wsi. Moim zdaniem ich opowiadania były dla sensacji i obciążły za tą zbrodnię Armię Czerwoną. Przecież ci ludzie, którzy udzielali wywiadów nie byli świadkami tej zbrodni. Najstarsi pojawili się w tej miejscowości w kilka miesięcy po przejściu frontu. Fragment grobu odkryli 20 parę lat po wojnie podczas kopania w swoich ogrodach. Od tego więc czasu zaczęły się różne spekulacje na temat wojennych pochówków. Więc teza wywiadów mieszkańców nie może być potwierdzona. Pan sołtys Sycowicz Cezary Woch był przy ekshumacji. Na stronie internetowej <sycowice.net> napisał obszernie wywiady z niemieckimi mieszkańcami ze wsi Będów odległej o 9 km. od Podłej Góry, którzy do dziś tam mieszkają. Z wywiadów wynika, że tymi ofiarami wojny byli niemieccy uciekinierzy, którzy w panice całymi rodzinami opuszczali swoje domy przed zbliżającym się frontem. Między uciekinierami były także niemieckie rodziny z Rosji aż znad morza Czarnego. Podczas dalekiej drogi i srogiej zimy ludzie umierali od chłodu, głodu i chorób. Reszta żyjących kiedy już byli za umocnieniem zatrzymali się w majątku Steinbach (Podła Góra). Wiozących ze sobą zmarłych tu ponoć pochowali w masowym, tymczasowym grobie. Ciała były



starannie poukładane rzędami w kilku warstwach. Przy każdej ofierze wojny był gwóźdź co oznaczało, że nim była przypięta do ciała jakaś kartka z danymi zmarłego.

Zdjęcia Tomasz Czabański



*Ekshumacja grobu masowego w Podleś Górze*

Na tej stronie internetowej prezes „Pomostu” Tomasz Czabański i sołtys Sycowice Cezary Woch na temat tych grobów napisali komentarze. Ich poglądy były zbieżne. Pan prezes Czabański jako profesjonalista w tym zakresie stwierdził, że te ofiary nie były rozstrzelane lecz zmarły naturalną śmiercią.

### **Dołączyłem swój komentarz**

Sergiusz

Maj 26th, 2009 at 17:37

*Witam serdecznie zainteresowanych “tajemniczymi grobami w Podleś Górze”. Jestem jedynym z dwóch pozostałych repatriantów w Międzyzlesiu. Ja interesowałem się nie co historią tych okolic. Dwadzieścia kilka lat po wojnie słyszałem, że w Podleś Górze w ogrodzie odkopano parę ludzkich szkieletów. Po latach te odkrycie poszło w niepamięć. Teraz, kiedy ponownie te groby odkryto zainteresowały się nimi media. Przeglądając strony internetu przeczytałem profesjonalne komentarze na temat tych grobów pana Tomasza Czabańskiego i pana Cezarego Wocha. Myślę, że nikt nie przedstawi innego dowodu tym jednomyślnym tezom. Dołączam się także do nich ze swoim komentarzem.*

*Dlaczego ten grób masowy był tajemniczy?*

*Otóż, Niemcy byli bardzo pracowitym narodem. Bardzo kochali swoją Ojczyznę. Poświęcili dla niej wielki trud na tak wielkie uzbrojenie. Bardzo szanowali i wierzyli swojej władzy, że ich trud będzie owocny i zabezpieczony. Przeliczyli się jednak wybierając nie odpowiedniego “wodza”. Kiedy podbój Europy upadał, chcąc ratować swoją ojczyznę i swojego dorobku ofiarowywali na cele wojenne cenne wyroby z mosiądzu, miedzi a nawet ze szlachetnego metalu. Pomimo cierpień, zubożenia i tragedii nie skłonni byli potępiać swoją władzę, by się nie narażać na jej surowy rygor a być wiernymi dla swojej Ojczyzny. Dlatego ten grób w Podleś Górze pozostał tajemniczy. Z pewnością w nim zostali pochowani niemieccy uciekinierzy, o których w swoich artykułach opisał z profesją pan Cezary Woch. Dla zagrożonych rodzin przed Armią Czerwoną władze niemieckie wydawały zezwolenia na ucieczkę. Potwierdzali to także tutejsi mieszkańcy podczas odwiedzin “Heimatu”. Ci, co uciekali bez zezwolenia byli surowo karani. Jak już wspomniałem, byli mieszkańcy Podleś Góry nie kwapili się wskazać tego grobu, gdyż tą okrutną tragedię spowodowała niemiecka władza. Z pewnością ten tragiczny pochówek miał wiele świadków. Wiele świadków tej tragedii żyło w roku 1970, kiedy została otwarta granica dla odwiedzających. Na wszystkich cmentarzach nie brakowało Niemców odwiedzających groby swoich bliskich. Tajemniczego grobu*

*nikt nie odwiedzał. Świadkowie tych wydarzeń nie chcieli zdradzić i obciążać winą władzy własnego państwa. Wątpię, czy któryś jeszcze z żyjących świadków odważy się to uczynić?*

*Armii Czerwonej za tą zbrodnię nie można obwiniać skoro na to nie ma jasnych dowodów. Przez okres okupacji sowieckiej moja rodzina doznawała od tych władz krzywdy. Podczas wojny zdarzały się wypadki o zabijaniu niewinnych ludzi, ale nigdzie i od nikogo nie słyszałem o zabijaniu dzieci.*

*W lipcu 1945 roku osiedliłem się z rodzicami w Międzylesiu. Po przejściu frontu były jeszcze świeże ślady co się działo w Międzylesiu po zdobyciu umocnień. Polscy świadkowie, którzy byli przymusowymi pracownikami podczas wojny u gospodarzy w Międzylesiu. Byli to bracia Kleprowie z Wielkopolski. Opowiadali dla wszystkich o wszystkich wydarzeniach. Zaraz po zdobyciu umocnień Armia Czerwona pojawiła się w Międzylesiu. Była bardzo rozwścieczona na niemieckich mieszkańców za poległych kolegów przy zdobywaniu umocnień i za ogromne tragedie, które ich synowie dokonali w Rosji. Z relacji tych świadków wiem, że swojej zemsty dokonali tylko na dwóch osobach. Zastrzelili właściciela gospody, którą często odwiedzali oficerowie z Tiborlager. Spalili ją dlatego, że w niej na całą ścianę był namalowany wódz nazizmu. Drugą ofiarą była nauczycielka starsza kobieta. Znaleziono ją zastrzeloną w byłej szkole bogato udekorowanej w symbole nazizmu. Pod urząd burmistrza /sołtysa/ Bartholda Kittla podlegali mieszkańcy Międzylesia i cywile z Tiborlager. Jego urząd był także bogato udekorowany tymi symbolami. Przez to jego dom spalili, a jemu darowali życie ze względu na starczy wiek. Prócz tego Rosjanie spalili jeszcze dwa domy z rażącymi ich symbolami. Pochówek swoich żołnierzy około dziesięciu każdego z osobna odbywał się na głównym placu wsi. Z opowiadań pana Klepra wynikało, że Armia Czerwona po zdobyciu umocnień przez noc odpoczywała w Międzylesiu. Wielu z jej żołnierzy przez całą noc polowali na kobiety. Kiedy wojacy na drugi dzień po obiedzie wyruszyli na zachód, przez Podlę Górę byli tylko przejazdem. Tam ani jeden dom nie spłonął. Stamtąd nie było żadnych sygnałów o jakiegokolwiek krzywdzie mieszkańców. Przez przeszło 30 lat wiele razy spotykałem się z byłymi mieszkańcami tych okolic. Odwiedzając swoje strony rodzinne zabierali ze sobą tłumaczy. Pisząc wspomnienia wiele od nich uzyskałem wojennych ciekawostek. Żaden z nich nigdy nie wspominał o jakiegokolwiek masowej tragedii w Podłej Górze.*

*Sergiusz Jackowski*

## **FRONT NAD STRUMYKIEM**

Niemcy w odwrocie z rozpaczy zasypywali front Armii Czerwonej ulotkami. Chcieli, by Rosjanie nie walczyli i szli do niewoli. W ulotkach obiecywano jeńcom godne warunki. A jakie warunki czynili jeńcom gdy szli na przód?





*Niemiecka frontowa ulotka*

**Слушайте, что говорят вам ваши товарищи!**

Военнопленный А. С. Л., взятый в плен 21.III.43 г., рассказывает:

„В начале этого года я работал еще в военном предприятии на Урале и по собственному опыту знаю тамошние условия. Большинство наших рабочих было эвакуировано из Москвы в 1941 году. Они живут в страшном холоде, в 100 человек в совсем маленьком помещении и только отопление топливом создает зимой известную теплоту, топлива почти совершенно отсутствует. Рабочий день продолжается для всех 14 часов, даже для женщин и подростков. Непрерывное опоздание и незначительные ошибки во время работы, даже без особой вины, приводят к тому, что приходится работать на голодный желудок. Продукты можно было получить иногда из под палы, но по очень высоким ценам и никто из нас не мог их покупать. Благодаря своему питанию и слишком долгому рабочему дню, работоспособность понизилась. Мои товарищи на фронте не имели выбора, в каком положении находится военные предприятия. Наоборот, на основании газетных сведений, они были уверены, что в тылу все в порядке“.

Фотографии и имена военнопленных публикуются только по их особому желанию.

Переходите к нам! Мы хорошо относимся к пленным и особенно к перешедшим на нашу сторону добровольно!

**ПРОПУСК — Passierschein**

Пропуск действителен для неограниченного числа командиров, бойцов и политработников РККА, переходящих на сторону Германских Вооруженных Сил, их союзников, Русской Освободительной Армии и украинских, кавказских, казацких, туркестанских и татарских освободительных рядов.

Переходить можно и без пропуска: достаточно подлить обе руки и сказать: «С-а-ли-н капут» или **«ШТЫКИ В ЗЕМЛЮ!»**.

Офиц. Разведка  
Визит, Разведка  
Кампфштурм-Батальон

-6317V 43

*Odwrotna strona ulotki*

W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych miałem wiele okazji gościć u siebie przedwojennych mieszkańców Mittwalde. Wiele z nimi rozmawiałem na tematy minionej wojny.

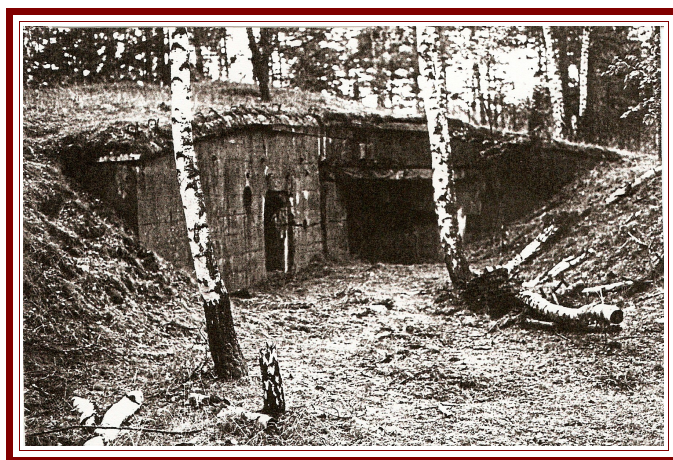
Pani Ella Ziebert mieszkająca w Moers była świadkiem, kiedy do umocnień dotarł front. Miała wówczas 17 lat. W odwiedzinach u mnie była dwa razy ze swoją młodszą siostrą Erną i kierowcą, który nieco znał język polski. Z jej relacji zapamiętałem:

- „Pod koniec stycznia 1945 roku front zbliżał się do umocnień. Władze zakazały mieszkańcom opuszczać miejsca zamieszkania. Wielu mieszkańców wpadło w panikę. Nie zważając na zakaz wielu z nich uciekło. Część z nich odszukano i zmuszono do powrotu, a potem szykanowano. M. in. Zmuszano ich do ciężkich prac przygotowawczych do wojny. A także i na umocnieniach. Tylko oficerskim rodzinom zezwolono opuścić teren zagrożony zajęciem przez Armię Czerwoną. Wiele takich rodzin opuściło Tiborlager i Mittwalde. Opuśczone domy po oficerskich rodzinach spenetrowała miejscowa ludność. Rosjanie pokonali tak słynną naszą armię pod Stalingradem, więc byliśmy pewni, że te umocnienia także pokonają. Każdy czekał w niepewności na przeznaczenie swojego losu. 30-go stycznia na umocnieniach usłyszeliśmy kilka seryjnych strzałów i kilka wybuchów. 31-go stycznia od rana Armia Czerwona rozpoczęła natarcie na umocnienia. Przez kilka godzin bez przerwy huczało od strzałów od strony Skampe i Hammer. Niemiecka armia zrezygnowała z dalszej obrony. Po południu z wielkim hukiem ciężkich pojazdów uciekała przez naszą wieś na zachód. Pod wieczór rosyjskie wojska pojawiły się w Mittwalde.

Dalsze losy mieszkańców po wkroczeniu Armii Czerwonej do Mittwalde opisałem w książce „ODWIEDZINY”.

”Przy zdobywaniu bunkra kanał musiał być sforsowany w okolicach młyna – opowiada **Wawrzyniec Szymczak**, który wraz z rodziną zaraz po wojnie przybył do Przetocznic – Począwszy od tamy aż do bunkra na odległości około 600 m. Znajdowało się wiele trupów niemieckich żołnierzy, a także dużo wojennego sprzętu i porozrzucane umundurowania. Rosyjscy żołnierze nad rozlewiskiem musieli podążać do bunkra rowami strzeleckimi. W nich musiało dochodzić do walk wręcz. Na niemieckich trupach można było dostrzec wiele ran klutych i porozbijane głowy. Niedaleko bunkra w grobie masowym pochowanych jest 20 żołnierzy, którzy zginęli podczas forsowania kanału i zdobywania bunkru. Grób był oznakowany z podaniem ilości poległych żołnierzy. Mój ojciec w latach sześćdziesiątych pokazywał ten grób harcerzom, którzy zwiedzali szlak walki. Grób ten nie jest ekshumowany”.

Jesienią 1945 roku wraz z kuzynem **Bolesławem Jackowskim** penetrowaliśmy bunkry nad strumykiem. Przy bunkrze nr. 612 zobaczyliśmy 12 trupów żołnierzy niemieckich wraz z oficerem. Leżeli w bezładzie. Koło nich było rozrzuconych kilka „mauzerów” z odłamanymi kolbami i bez zamków. Wszystko wyglądało jak wielkie pobojuwisko. Trupy leżały w niewielkiej odległości jeden od drugiego. Wskazywało na to, że załoga bunkra została rozstrzelana. Byliśmy wystraszeni po obejrzeniu tak makabrycznej sceny. Z niczym wróciliśmy do domu.



*Bunkier nr. 612 gdzie została rozstrzelana niemiecka załoga*

Warto wspomnieć, że najbardziej był umocniony środkowy odcinek MRU w pobliżu



Międzyrzecz. Z rosyjskiej literatury wiemy, że do zdobycia tego odcinka najbardziej przyczyniła się 44 Brygada Pancerna pod dowództwem płk. I. I. Gusakowskiego. We wsi Hochwalde /Wysoka/ poległ dowódca 3-go batalionu czołgów 44-ej B Panc. Gwardii major A. A. Karabanow. Podczas obserwacji terenu walki z wieżyczki czołgu dopadła go kula snajpera. We wsi Wysoka bohaterowi ufundowano kamień upamiętniający.

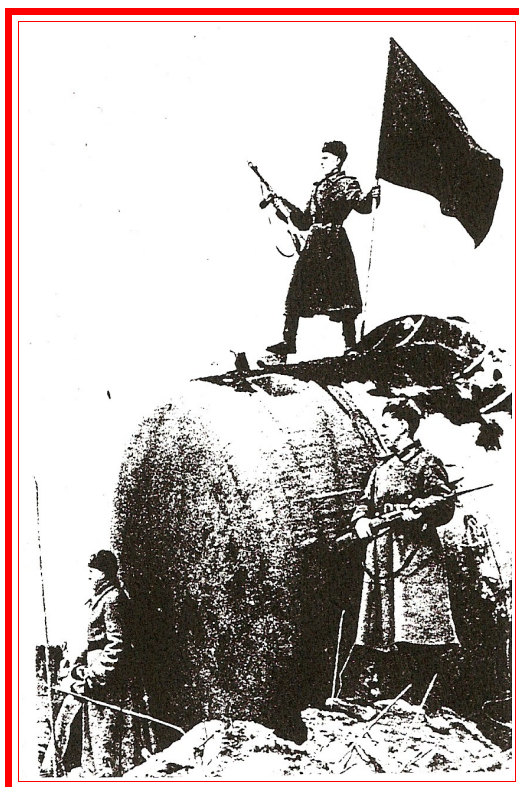
Co roku na tym terenie odbywają się pokazy historycznych dziejów z II Wojny Światowej organizowane przez pana Roberta Jurgę.



*Dowódca Brygady Pancernej płk. Gusakowski*



*Dowódca Batalionu Czołgów mjr. Boritko*



*Zdobycie umocnień przez żołnierzy Armii Czerwonej na Środkowym odcinku MRU.*



*Cmentarz żołnierzy Armii Czerwonej w Międzyrzeczu i poległy dowódca Batalionu Czołgów major Karabanow.  
Na zdjęciu jest w mundurze kapitana.*

## POFRONTOWE WYDARZENIA

W książce „Vor 50 Jahre”, **Karl Heinrich Kamman** z Hamburga, opowiada o zdarzeniach, które miały miejsce w obozie Tiborlager i we wsi Mittwalde, a także o losach mieszkańców tych okolic:

*„W ostatnim dniu stycznia 1945 roku Tiborlager i Mittwalde były już okupowane przez żołnierzy Armii Czerwonej. Dalsza próba obrony na tych terenach upadła, kiedy zginął adiutant i przywódca batalionu zastępczego „37”. Adiutant ten miał protezę u nogi.*

*Lud walczący „Vollxsturm”, który ukrywał się w bunkrach, został osaczony. W konwoju pod Muhlbock (Ołobok), ludzie ci zostali w większości rozstrzelani przez żołnierzy Armii Czerwonej. Wśród nich byli także: gospodarz kantyny w Tiborlager Radabold, rolnik z Mittwalde Paul Wachner. Przed nadejściem Armii Czerwonej, obóz w Tiborlager został oczyszczony z wojsk niemieckich oraz belgijskich i rosyjskich więźniów wojennych. Przed Rosjanami uciekli najważniejsi mieszkańcy tych terenów jak: komendant obozu pułkownik Tendring, intendent sztabu Neye, szef wydziału finansowego Helchmen, rodzina Buckert - gospodarze kantyny, rodzina Zimerman – także gospodarze kantyny, starszy sierżant – pani Plageman. Winiarski i Hartwich*

*opuścili obóz wraz ze zbiegłą brygadą komendanta. Gdy do Tiborlager wkroczyli Rosjanie, spalili zaraz wartownię oraz leżący z tyłu za nią budynek administracji. Zniszczyli halę kino -amfiteatr i magazyn mundurowy. W Mittwalde została zniszczona kuchnia letnia rolnika Kurta Weisa. Zniszczono dom Ziesa, który rozwoził mleko. Spalono mieszkanie burmistrza Kittla, który mimo starych lat sprawował nadal ten urząd. Spalono także gospodę Herkta a jego rozstrzelano. Budynki mieszkalne i ćwiczeniowe w Tiborlager zostały zdemolowane. Pierwsi Przybysze z Wielkopolski dokończyli zniszczeń podczas penetracji. Tylko niewielu mieszkańców z Mittwalde uciekło ze strachu przed okupantem”.*

Opowiadania Karla Kammana na temat ucieczki komendanta Tiborlager nie bardzo pokrywają się z opowiadania jego syna. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych pan Zbigniew Woch z Ciborza pisał pracę magisterską na temat historii Ciborza. W tym czasie pojawił się u niego syn pułkownika Tendringa. Przybył do Ciborza w celu odszukania grobu swojego ojca. Na ten temat nie uzyskał żadnych informacji. Syn pułkownika wiedział tylko, że przed nadejściem frontu jego ojciec zginął podczas podróży między Sulechowem a Ciborzem.

Z niemieckiej literatury i z opowiadań byłych mieszkańców Mittwalde wynika, że po kilku dniach zdobycia umocnień mieszkańcy Mittwalde i okolicznych wsi przeżywali tragiczną wiadomość. Specjalnej ekipie rosyjskich żołnierzy polecono wysadzenie w powietrze bunkrów na umocnieniu. Przeważnie były wysadzane działy amunicyjne, w których zapasy miały wystarczyć na długotrwałe oblężenie. Przed wysadzeniem ekipa sprawdzała wszystkie zakamarki pancerwerków. W dwupoziomowym bunkrze przy moście Skape – Międzylesie znaleźli ukrywającą się grupę ludzi z Vollxsturmu z okolicznych wsi. Byli to chłopaki w wieku nie dojrzałym, oraz mężczyźni w średnim i starszym wieku, jedyne żywicieli rodzin. Z opowiadań byłych mieszkańców Mittwalde podczas odwiedzin wynika, że eskorta rosyjskich żołnierzy pędziła ich z furmanką przez Muhlbock /Ołobok/. Później za wsią w prawo leśną drogą. Tylko tyle rodziny wiedziały o ostatniej drodze swoich bliskich. Wiedziały także, że zostali rozstrzelani i pochowani w masowym grobie. Nie wiedziały więc gdzie ten grób się znajduje. Prawdopodobnie, że w Beatenfeld /Niedźwiady/ koło Świebodzina w tym czasie na tyłach frontu stacjonował jeszcze sztab wojenny. Tam żołnierze z VOLLXSTURMU musiały być przesłuchane i rozstrzelane.

Dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych to wydarzenie potwierdziło się. Mój znajomy z Międzylesia **Jan Hundert** obecnie mieszka na osiedlu Słonecznym w Świebodzinie. Opowiadał mi, że w pobliżu wsi Niedźwiady podczas prac ziemnych natrafili na masowy grób ze szczątkami ludzkimi a razem z nimi były szczątki konia. Grób ten znajduje się blisko wsi przy polnej drodze w kierunku Ołobok w pobliżu jeziora.

## Wyjaśnienie pojęcia VOLLXSTURM

Po klęsce pod Stalingradem, armia niemiecka cofała się w szybkim tempie na zachód. Kiedy już zagrażała klęska o przegranej wojnie, władze niemieckie zarządziły pospolite ruszenie, przed zagrożeniem upadku III Rzeszy. Jesienią 1944 roku utworzyli „Vollxsturm”. Dekret o jego powołaniu został podpisany 25 września 1944 roku. Do Vollxsturmu powołano mężczyzn w wieku od 16 do 60 lat, a nawet i starszych. Między nimi byli ludzie w sile wieku najbardziej potrzebni gospodarce narodowej. Między nimi była także ucząca się młodzież. Zbliżająca się sytuacja o przegranej wojnie władza zmusiła wszystkich do stawienia się pod broń. Z uwagi na braki w uzbrojeniu dla tak dużej ilości ludzi werbowanie odbywało się w kilku rzutach. Szybkie ponaglenie źle oddziaływało na uzbrojenie i przeszkolenie tych ludzi. Mężczyzn z Mittwalde i okolicznych wsi a także z Tiborlager, też nie ominął ten pobór. Vollxsturm przygotowywano tylko do obrony swoich najbliższych okolic. Szkolono ich w najbliższych bunkrach. Tworzyli oni obronną załogę mieszaną z regularnym wojskiem. Mimo to Vollxsturm nie sprostał zadaniom.



## NA KOŃCU ŚWIATA

WIR KAMEN UNS VOR WIE AMENDE DER WELT

Swoje przeżycia i przygody opisał były żołnierz niemiecki **Konrad Hanrisch**.  
(Dokument z archiwum pana Roberta Jurgi z Boryszyna).

*„Zdarzyło się to 9-go listopada 1938 roku. Druga kompania 23-go batalionu pionierów przybyła pociągiem ze Spandau (dzielnica Berlina) do Skampe (Skape) i dalej do Tiborlager. Po pięciu kilometrach dotarliśmy do nowo wybudowanych koszar, usytuowanych w środku lasu nad jeziorem. Mielśmy tu spędzić 12 miesięcy. Wkrótce za nami przybyli tu jeszcze pionierzy 12-go batalionu ze Szczecina. Tworzyli oni pierwszą kompanię 71-go granicznego batalionu. My tworzyliśmy drugą kompanię. Nowy batalion pionierów został zakwalifikowany w północnej części koszar. Część ta składała się z masywnych dwupiętrowych bloków. Druga kompania zajęła bloki od nr. 38 do 41. W pobliżu znajdował się niższy budynek, w którym była kuchnia, kasyno i stołówka dla szeregowych. Obóz był ogrodzony drewnianym wysokim płotem. Miał dobrze urządzonej sieć dróg o asfaltowej nawierzchni. Wszędzie panował ład i porządek. Znaleźliśmy się w samym środku natury. Wydawało nam się, że jesteśmy na końcu świata. Późną wiosną 1939 roku, po ukończeniu podstawowego szkolenia, większość żołnierzy służących w wojsku dwa lata, otrzymała tzw. Wiejski urlop. W czasie tego urlopu pomagaliśmy w okolicznych wsiach przy przy wiosennych pracach polowych, tam gdzie brakowało męskiej siły. Spędziłem dwa tygodnie w Ulbersdorf /Węgrzynice/ na gospodarstwie wdowy Wahlack. W późniejszym okresie byłem u różnych gospodarzy i w różnych miejscowościach. 12-go listopada 1939 roku jechałem na urlop do Weloer nad Hawelą, aby odwiedzić moich rodziców. 20-go listopada wróciłem z urlopu. W batalionie 71-ym dokonano zmian personalnych. Zmieniłem kwaterę i zamieszkałem w zagrodzie gospodarza Beckera w Świebodzinie. W grudniu 1939 roku byłem w konwoju samochodów ciężarowych. Zabieraliśmy od rolników zboże i woziliśmy do magazynów zbożowych do Odereck. W roku 1940 byłem zakwaterowany w Poznaniu. Byłem także w konwoju przewożącym amunicję. Przed wojną cały czas stacjonował graniczny batalion pionierów w Tiborlager. Graniczny, zwiadowczy 71-y batalion przez pewien czas stacjonował we Frankfurcie n/Odrą. Kiedy wybuchła wojna jednostki te wraz z innymi, przekształcone zostały w 50-ą dywizję. Żołnierze tej dywizji pochodzili głównie ze wschodniego regionu Brandenburgii. W maju 1944 roku dywizja ta padła na Krymie.*

*Na umocnieniach podczas wojny na obszarze Birgholz /Borów/ do Grosblumberg /Brody/ stacjonowało ponad 80 dział pancernych. W południowym tymże odcinku było dużo zapór przeciwpancernych i mostów zwodzonych. Niektóre mosty zwodzone i zapory przeciwpancerne były sterowane z bunkrów. Fortyfikacja ta nie spełniła jednak swojego zadania. Ponownie przejeżdżałem przez Świebodzin kiedy wracałem z rosyjskiej niewoli w 1946 roku. Oglądałem zniszczenia po działaniach wojny. Czego nie zniszczyła ręka ludzka, reszta została rozwiana przez brandenburski wiatr. W pamięci pozostał piękny, pagórkowaty krajobraz z sosnowym lasem, z małymi i większymi jeziorami. Drogi polne, które prowadziły do spokojnych, okolicznych wsi gdzie mieszkali zapracowani ludzie, wśród których czułem się bardzo dobrze”.*

## PAUL GALKE I JEGO PASIERB

W 1956 roku zamieszkałem w domu, gdzie mieszkał niemiecki kowal Paul Galke. Byłem drugim właścicielem po majorze -prokuratorze Czerwonej Armii, który kwaterował w nim po wojnie przez 26 miesięcy. Władze polskie w 1945 roku powstrzymały wysiedlenie kowala ze swoją żoną ze względu na potrzebę fachowca tej branży. Po zajęciu jego mieszkania przez prokuratora i jego ordynansa sierżanta Wanię, fachowiec musiał zamieszkać wraz z żoną w swoim

pierwotnym domu pod strzechą, wybudowany w dawnych latach z gliny, słomy i drewna. Wykonywał on usługi często za darmo dla polskich rolników i dla stacjonujących wojsk Armii Czerwonej. Fachowiec wykonując usługi dla Armii Czerwonej w krótkim czasie opanował język rosyjski. W tym właśnie języku można było z nim się porozumieć. Ze względu na jego dobroduszość rolnicy lubili przebywać u niego w kuźni. Z chęcią i dokładną fachowością naprawiał maszyny i sprzęt rolniczy. Ja także pewnego dnia zgłosiłem się do niego ze swoim kłopotem. W jednej z niemieckich zagród znalazłem niesprawny rower i bez ogumienia. Fachowiec obejrzał pojazd i przystąpił do naprawy. Wymienił zepsute części razem z kołami na których już było ogumienie. Byłem bardzo szczęśliwy i wdzięczny dla tak życzliwego kowala, że posiadam prawdziwy i sprawny rower. Przy spotkaniach z Polakami w kuźni wiele opowiadał o wydarzeniach, które miały miejsce na tych terenach przed wojną, w czasie wojny i po jej zakończeniu. Przy każdej okazji przychodziłem do kuźni, by posłuchać razem z mieszkańcami opowiadań kowala o historii tych terenów. Przez około 16 miesięcy mieszkańcy Międzyzlesia bardzo się zżyli z bardzo dobrym i życzliwym fachowcem. Po żniwach 1946 roku, Paul Galke otrzymał od władz polskich nakaz na opuszczenie swoich, rodzinnych stron. Ze smutkiem musieliśmy pożegnać kowala jako dobrego fachowca i przyjaciela. W Międzyzlesiu widywano go tylko ze żoną. Ale w tym dniu, gdy opuszczał swoją wieś z żoną, obok nich pojawiła się piękna dorastająca córka. Do granicy Niemiec, rodzinę odwozła ciężarówka Armii Czerwonej. Jak się później okazało, córka małżeństwa Galke była ukrywana przez 16 miesięcy w dużym piecu chlebowym. Piec był wybudowany na zapleczu kuźni. Drzwiczki od paleniska znajdowały się od strony hali roboczej. Można sobie wyobrazić, jak kowal musiał ukrywać te drzwiczki i zastawiać je rupieciami. W kuźni prawie codziennie przebywali rosyjscy żołnierze i często w niej popijali alkohol. Kiedy Międzyzlesie opuściła Armia Czerwona, po niemieckim kowalu zagospodarował dom i kuźnię mój teść Jan Twarogal. Z pieca w kuźni wyciągnął pierzynę i wiele kobiecych drobiazgów. Można wyobrazić, jak się natrudził kowal ukrywając przez długi okres czasu swoją córkę przed rosyjskimi żołnierzami.

W połowie lat osiemdziesiątych podczas odwiedzania rodzinnego Heimatu, moja żona przy drodze w naszym ogródku zauważyła dwóch Niemców. Jeden z nich starszy nabierał ziemię do woreczka foliowego. Żona mnie zawołała. Zrozumiałem o co im chodziło. Zaprosiliśmy nieznanych gości do domu. Podczas przewitania przedstawił się, że nazywa się Gerhard Pietsch i jest pasierbem kowala Paula Galke. Potem przedstawił swojego syna Marcina. W domu przy kawie zwierzył się, że ma pięciu synów i żonę Gertrud i mieszka w Sulzdorfie koło Schwabis-Hall. Porozumiewaliśmy się w trzech językach: polskim, rosyjskim i niemieckim. Żaden z nich nie był odpowiednio zrozumiałym. Wygadał się, że rosyjski język poznał nieco w niewoli. A polski poznał mieszkając po sąsiedzku z polakiem ze Śląska. Po jego odwiedzinach nawiązaliśmy korespondencję. Po dwóch latach odwiedził nas znowu z dwoma synami. W roku 1996 odwiedziłem Sulzdorf ze swoją córką i szwagrem ze swoim synem. Bogate przyjęcie odbyło się w serdecznej i miłej atmosferze. Kiedy podczas gościny zanuciłem rosyjską, sentymentalną piosenkę o miłości, chwycił harmonię i pięknie akompaniował dla solisty. Byłem bardzo rozczulony. Zauważył w moich oczach łzy. Zapamiętał to. Na przyjęciu był także sąsiad Polak. Wspólnie rozmawialiśmy o wielu ciekawych, wojennych wydarzeniach i o przedwojennym życiu Mittwalde. Korespondowałem z Gerhardem i jego sąsiadem polakiem aż do chwili Ich śmierci, do 2001 roku. Podczas rozmów telefonicznych z Gerhardem, raz zagrał mi na swojej harmonii do słuchawki moją, ulubioną rosyjską melodię do tekstu: „Kuda bieżysz trapinka miłaja”. Dobrze poznał tę melodię w rosyjskiej niewoli na Krymie. Kiedy się dowiedział o swojej, nieuleczalnej chorobie, zadzwonił do mnie. Na pożegnanie znowu zagrał do słuchawki tę melodię. Po trzech miesiącach od jego miłej żony Gertrud otrzymałem list w czarnym obramowaniu. Od razu zorientowałem się, że mój przyjaciel Niemiec nie żyje.



## PIERWSZE POCZĄTKI

Uporządkowaliśmy zajęte, ponemieckie zagrody po swojemu. Zaczynaliśmy nowe życie w niesprzyjających warunkach ze względu na stacjonujące rosyjskie wojska we wsi i zajętych przez dowództwo domów mieszkalnych. Czekala nas pierwsza najważniejsza praca, czyli żniwa. Pierwszym sołtysiem w Międzylesiu został pan Płędzer, który jako pierwszy przesiedleńca ze swoją rodziną przybył z Wielkopolski. To właśnie on zdecydował, by niemiecki kowal pozostał w Międzylesiu. Bez fachowego kowala zostawione niemieckie maszyny rolnicze byłyby nieprzydatne. Po niemieckich rolnikach zastaliśmy obsiane wszystkie pola. Nawet wśród lasów każdy kawałek lepszej ziemi był uprawiany. Repatrianci organizowali się w grupy i zbierali zboża aż do ostatniego zagonu. W ruch poszły kosy, odkładaczki, snopowiązałki a nawet przywiezione ze sobą sierpy. Na koniec sierpnia wszystkie zboża zostały zebrane. Od braci Kłęprów Polaków, którzy byli przymusowymi pracownikami u rolników w Mittwalde dowiedzieliśmy się, że za strzelnicą w lesie pozostało nie zebranych parę hektarów zboża. Mój ojciec Tomasz ze swoim dawnym sąsiadem z Białorusi Feliksem Chołodowskim wyruszyli rowerami na poszukiwanie zasianego pola. Po powrocie powiedzieli, że faktycznie jest tam około 1,5 ha żyta i 1 ha owsa. Opowiedzieli także co w tym lesie zobaczyli, że tam musiała być straszna wojna. Znaczna część lasu była zrąbana pociskami. Leżały tam trupy niemieckich żołnierzy i wiele zostawionego wojennego sprzętu. Nazajutrz rano ojciec zaprzął konia do wozu. Wkładał do niego kosę, szpadel, siekierę, piłę i gwoździe. Zapytałem ojca:

- Po co to wszystko zabieramy?
- Musimy pochować ofiary wojny.

Dojechaliśmy z rodzicami do miejsca wojennej tragedii. Kilkuhektarowy, 60 letni, sosnowy las wyglądał makabrycznie. Na sporym obszarze, niemal wszystkie drzewa były ścięte pociskami na różnych wysokościach. Część z nich zwisała koronami do ziemi, bądź ich korony spoczywały na sąsiednich pniach. Pnie sterczały jak kikuty, dłuższe i krótsze, a niektóre sięgały aż do korony. Robiły one wrażenia ponurego pobojuwiska, na którym piętrzyły się iglaste, pożółkłe korony. Tu musiały być zgrupowania niemieckich wojsk. Pogromu lasu prawdopodobnie dokonały pociski z „KACIUSZY”. Ojciec zatrzymał konia obok zabitego żołnierza. Wskazał na drugiego, leżącego kilka metry dalej. Wykopaliśmy płytki dół i pogrzebaliśmy oba ciała. Wyrąbaliśmy dwie cienkie brzoźki. Pocięliśmy je na kawałki i wykonaliśmy dwa krzyże. Krzyże wbiliśmy w grób i zawiesiliśmy na nich hełmy, których w tym lesie nie brakowało. Wokół tych ofiar i po całym lesie był porozrzucany sprzęt wojenny jak: mauserzy bez zamków z odłamanymi kolbami, puszki z maskami przeciwgazowymi, pochłaniacze od gaz - masek, menażki, niezbędniaki, ładownice z nabojami, żołnierskie plecaki, panzerfausty, skrzynki poste i z amunicją, oraz inny sprzęt wojenny. Po dokonaniu czynności pogrzebowych przystąpiliśmy do żniw. Po pierwszym dniu żniw po drodze do domu uzbieraliśmy sporo grzybów.

## GRZYBOBRANIE

Następnego dnia po paru godzinach zostałem przez rodziców zwolniony od dalszych żniw. Mając wolny czas, wyruszyłem w las, by go dokładniej spenetrować. Znalazłem dwie ładownice z nabojami. Zakopałem je w igliwiu przy zaznaczonej sośnie. Penetrując las zbierałem napotkane grzyby do znalezionej hełmu. Wszedłem do lasu gdzie nie było śladów wojny. Grzybów napotykałem coraz więcej. Szczególnie były żółte place od kurek. Hełm szybko się zapełniał. Do tego znalazłem kilka prawdziwków i pojemnik został wypełniony z czubkiem. Idąc dalej lasem grzyby aż się prosiły by ich zbierać. Co raz częściej znajdowałem prawdziwki. Zastanawiałem się, czy wracać do rodziców, czy dalej zbierać. Wreszcie zdecydowałem. Nie mogłem zrezygnować z przyjemności zbierania tak pięknych grzybów. Zdjąłem więc marynarkę i związałem rękawami kołnierz. Zapiąłem guziki i zbierałem grzyby jak do worka. Hełm opróżniłem

i zostawiłem w lesie. W niektórych miejscach grzybów było coraz mniej. Nadchodziła burza. Straciłem orientację gdzie jestem. Burza gwałtownie zbliżała się a pioruny uderzały coraz bliżej. Podążałem do rodziców w niepewnym kierunku. Do powrotu wybrałem linię między dużym lasem a młodym zagajnikiem. Chwilami biegłem. W pewnych momentach zatrzymywałem się. Rozglądałem się i zastanawiałem czy podążam we właściwym kierunku. Biegąc linią, w pierwszym rzędzie zagajnika rzuciły się w oczy dwa prawdziwki. Marynarka nie była jeszcze zapełniona. Zdecydowałem się by ich zerwać. Gdy się nachyliłem, w głębi zagajnika zauważyłem następnego prawdziwka. Coraz głębiej zagajnika było ich coraz więcej. Pojemnik z marynarki szybko się zapełniał. Gdy podchodziłem do następnego prawdziwka, natknąłem się na zwłoki. Mimo strachu przyjrzałem się ofierze lepiej. Stwierdziłem, że to był trup sanitariuszki. Prawdziwka przy niej nie zrywałem. Stał obok jej głowy jak strażnik. Przy niej leżała zielona torba z czerwonym krzyżem. Obok torby leżały porozrzucane medykamenty. Ofiara wojny leżała na boku. Jedną ręką kurczowo trzymała pieniek sosenki. W drugiej ręce trzymała zwitek szerniałego bandaża. . Wskazywało na to, że chciała sobie zrobić opatrunek. Śmiertelna rana nie pozwoliła tego uczynić. Skóra na jej twarzy i rękach była szerniała i popękana. Przez pęknięcia przeświecały białe kości. Czarne włosy były przy pruszone igliwem, przez które przeszywała się żółta, leśna trawka. Uniformy bardzo się różniły od niemieckich wojsk. Były bardziej podobne do koloru wojska polskiego.

Po latach rozmyślałem, jak ona konała samotnie w obcym, strasznym, skutym mrozem lesie, wśród rozrywających się śmiercionośnych pocisków. Na pewno pragnęła w rozpacz, by w tym momencie być przy swoich rodzicach.

Stałem nad ciałem sanitariuszki zamyślony i przerażony. W tym momencie pierwszy raz w życiu doznałem strasznego lęku. Zerwał się ogromny wiatr. Nagle ściemniało i zaczęło lać jak z cebra. Młodnik szumiał i huczał od wiatru i deszczu. Miotło nim na wszystkie strony. Lęk i przerażenie potęgowało we mnie. Z uzbieranymi grzybami pędziłem na oślep. Gałęzie z igliwem boleśnie smagały po twarzy. Pojemnik z marynarki pełen grzybów, obijał się o moje nogi i pnie sosenek. Wielokrotnie zaplątany w gęstwinie padałem. Wstawałem i pędziłem dalej w nieznanym kierunku. Kiedy się ukazał prześwit zakończenia młodnika, olśniewająca błyskawica oślepiła mnie. Tuż blisko mnie w dużym lesie strzelił piorun. Na skraju młodnika upadłem ze strachu. Myślałem, że nadszedł koniec świata i ja tu umrę. Gdy się podnosiłem, usłyszałem tętent. Zdawało mi się, że na koniach pędzi szarża uzbrojonych Niemców. Upadłem znowu twarzą do ziemi. Czułem jak moje serce łomocze. Tętent był tuż, tuż przy mnie. Ziemia od pędzących kopyt dygotała. Nie podnosiłem głowy od ziemi, czekając jakby na jakiś śmiertelny cios. Gdy poczułem, że tętent się oddala, uniosłem głowę. W smugach rzęsistego deszczu, zobaczyłem zady stada pędzących jeleni. Strach nadal mnie nie opuszczał. Wstałem i pędziłem linią w stronę pędzących jeleni. Ucieszyłem się gdy przede mną ukazał się znajomy, zniszczony pociskami las. Cały przemoknięty byłem wyczerpany z sił i strachu. Zatrzymałem się pod ocalałym drzewem na pobojuwisku, by odpocząć i zorientować się gdzie jestem. Marynarkę z potłuczonymi grzybami położyłem na ziemi. Wycierałem strugi deszczu spływające po twarzy. Zdjąłem koszulę i wykręciłem z niej wodę. Nachyliłem się, by wycisnąć wodę z nogawek spodni. Struchlałem. Przede mną znowu pojawił się trup. Zobaczyłem filcowe buty i dolną część ciała niemieckiego żołnierza. Reszta ciała była przykryta poźółką sosnową koroną zwisającą na pniu aż do ziemi. Chwyciłem za marynarkę z grzybami i pędziłem dalej z lasu założonego trupami. Biegąc wymijałem różne przeszkody ze zniszczonym sprzętem wojennym i ścięte korony drzew. Wreszcie z daleka dostrzegłem pole. Na rżysku pasł się nasz spętany koń. Dobiegłem do wozu i położyłem na nim dobytek z grzybobrania. Deszcz ustawał. Nad kalekim, strasznym lasem ukazała się urzekająca tęcza. Rodzice opuszczali kopę snopów, w której przetrzymali burzę. Podczas burzy w tej kopce rozmyślali i byli zaniepokojeni moją nieobecnością. Po burzy mieli wyruszyć na moje poszukiwanie. Ucieszyli się, gdy mnie zobaczyli. Nie obeszło się także bez nagany, którą od nich otrzymałem. Ojciec wysypał grzyby na wozie. Prawie wszystkie były połamane i pogniecione. Niewiele z nich nadawało się do spożycia. Ojciec rozumiał co ja



przeżywałem podczas burzy. Radził mi, bym więcej sam nie wybierał się na grzyby w nieznany las. Gorące słońce po burzy szybko wysuszyło mi ubranie. Zaprzęgliśmy konia do wozu i opuściliśmy ponury las. O pierwszym grzybobraniu po wojnie nie raz opowiadałem znajomym, którzy z zaciekawieniem słuchali moich przygód. Na miejscu wojennej tragedii rośnie piękny, półwieczny las. Jedynie tylko ja postarałem się, by po tej tragedii w lesie przy strzelnicy czas nie zatarł ślad.

## OMŁOTY

Po zakończonych żniwach, każda stodoła w Międzyzlesiu była zapełniona snopkami żyta i owsa. Pojawił się wielki problem, jak te snopki wymłócić. Istniejąca sieć elektryczna po wojnie była bez napięcia. Po stodołach stały nieużytecznie młocarki, kombajny omłotowe i silniki elektryczne o odpowiedniej mocy. Nikt się nimi nie interesował, a poza tym nikt na tych maszynach się nie znał. Niektórzy zaczęli młócić cepami. By tym sposobem wymłócić zasoby stodół, to nie starczyłoby jednej zimy. Na kresach u wielu gospodarstwach omłoty dokonywano młockarnią napędzaną konnym kieratem. Ojciec z sąsiadem znaleźli w jednej ze stodół młockarnię i kierat. Cenne znalezisko przywieźli do naszej stodoły. Między swoimi nie było specjała złożenia maszyny w całość. O pomoc zwrócili się do niemieckiego kowala Galke. Fachowiec natrudził się i uruchomił maszynę. Omłoty szły całą parą. Kierat wędrował od sąsiada do sąsiada. Dopiero w roku 1948 popłynął siecią prąd elektryczny. Powstało duże zainteresowanie elektrycznymi maszynami i silnikami. Dalsze omłoty odbywały się szeroko młócką napędzaną silnikiem elektrycznym. W rok później omłoty już odbywały się za pomocą kombajnów napędzanych dużymi silnikami elektrycznymi. Omłoty przy kombajnach były najcięższą i najweselszą pracą na wsi. Kombajn omłotowy wędrował od sąsiada do sąsiada. Do obsługi tej maszyny potrzebnych było od 10 do 14 osób. Wszyscy po kolei jeden drugiemu odrabiali pracę. Na zakończenie omłotów u każdego gospodarza było wesoło. Nie brakowało bimbru, a często i monopolki. Stoły ugiwały się od zakąsek. Rozlegał się śpiew na całą wieś. Było dużo żartów i zadowolenia z plonów po całorocznej, ciężkiej pracy.

## POWOJENNA WŁADZA

Na Kresach Wschodnich, od początku II Wojny Światowej prawie co roku zmieniał się państwo okupujące kraj, oraz zmieniał się ustrój i władza. Ludzie nie wiedzieli komu służyć i szli tam dokąd ich zmuszano. A z własnej woli szli tam, gdzie wygodniej. Kresowianie służyli Polsce, Niemcom i Rosji, w zależności od okresu panowania zaborców. Podczas okupacji niemieckiej, młodzież była w partyzantce polskiej, białoruskiej i rosyjskiej, a także służyła w niemieckiej policji. Zdarzały się wypadki, że w jednej rodzinie sympatie polityczne były zróżnicowane. W naszej wsi też był taki przypadek. Po sąsiedzku z nami zamieszkiwała rodzina o nazwisku Bałoszko. Było w niej dwóch braci. Starszy brat Mikołaj przed wojną służył w polskiej armii. Podczas okupacji niemieckiej, młodszy brat kawaler służył w niemieckiej policji. Kiedy front w odwróceniu dotarł na nasze tereny, Armia Czerwona zabrała Mikołaja na front. Młodszy brat uciekał z cofającą się armią niemiecką. Starszy brat gonił młodszego. Okoliczności wypadków zdarzały się, że brat musiał strzelać do brata. Ostatni rozpaczliwy list pożegnalny od Mikołaja otrzymała rodzina, kiedy jego jednostka wyruszyła na krwawą bitwę na niemieckie umocnienia. Prawdopodobnie zginął nad tym strumykiem, o którym na ten temat piszę. Młodszy brat uciekł z niemieckim wojskiem i zatrzymał się w Szczawnie koło Świebodzina.

Koło naszej wsi Dziatyle na Kresach był majątek, którego właściciel pełnił funkcję wójta. Sowieccy żołnierze prowadzili jego z rodziną pod bagnetami i wywieźli na Sybir. Podczas okupacji Niemcy wybrali na stanowisko zarządcy tego majątku zaufanego dla nich człowieka o nazwisku Pancilej. Dla rodaków nie był on ludzki: bił pracowników, poniewierał ich rodziny. Gdy partyzantka rozrastała się, poczuł zagrożenie i uciekł do miasteczka Miadzioł, które okupowało

niemieckie wojsko. Tam nasz nie życzliwy rodak został niemieckim policjantem. Uciekł przed odpowiedzialnością w taki samy sposób jak młodszy brat Bałoszko, a razem z nimi wielu innych. Zaraz po wojnie w Świebodzinie tworzyły się urzędy polskiej władzy. Pierwszym urzędem był Państwowy Urząd Repatriacyjny „PUR”. Dla utrwalenia władzy powstał Urząd Bezpieczeństwa „UB”. Pojawiła się także amerykańska organizacja pomocy dla repatriantów „UNRA”. Najbiedniejszym rolnikom za darmo przydzielano duże pociągowe konie. Wkrótce pojawiła się podziemna organizacja zbrojna Wolność i Niepodległość „WiN”. Pod jej płaszczem pojawili się rabusie, którzy nękali okoliczną ludność. Wszelką pomocą i radą służył dla repatriantów PUR. Parcelował i przydzielał ziemię chłopom, na podstawie dokumentów posiadanego areалу sprzed wojny. Zanim powstały Powiaty i Gromadzkie Rady Narodowe, wszelkie sprawy załatwiał PUR. Siedzibę swoją miał w Świebodzinie i Sulechowie.

Pewnego razu ojciec wybrał się do urzędu w Świebodzinie, w celu załatwienia pilnej sprawy. Gdy chodził od biurka do biurka, w pewnym momencie struchlał. Zza biurka patrzył na niego Bałoszko. Wstał z krzesła i podszedł do ojca. Po przywitaniu poprosił go do korytarza na rozmowę. Czasu mieli niewiele. Poprosił ojca, by nikomu nie rozgłaszał o tym spotkaniu. Bałoszko dla ojca był dalszym krewnym. Podczas dalszej rozmowy nalegał, by ojciec przyjechał do niego do Szczawnicy w odwiedziny. Wczesną wiosną 1946 roku ojciec furmanką udał się w odwiedziny do dalszego krewniaka. Krewniak razem z kobietą z którą mieszkał wydał sute przyjęcie. Bałoszko od ojca wyciągnął wiele informacji o znajomych jemu repatriantach i osadnikach wojskowych z rodzinnych stron. Wśród wymienionych osadników byli tacy, którym policjant wyrządził krzywdy w czasie niemieckiej okupacji. Przed pożegnaniem się, Bałoszko zaprowadził ojca do młyna. Tam oświadczył, że jest jego kierownikiem, a w PUR już nie pracuje. Ojciec od dalszego krewniaka otrzymał woreczek pszennej mąki i 12 płyt patefonowych. Była szarówka, gdy ojciec wracając z odwiedzin i zbliżał się do Międzyzylesia. Po przejechaniu mostu koło Skąpego, z lasu wyszło dwóch uzbrojonych ludzi. Zatrzymali konia, sprawdzili wóz i zabrali mąkę. Płyty patefonowe zostawili. Na odchodne zagrozili, by o tym spotkaniu nigdy nikomu się nie wygadał, bo w przeciwnym razie szybko mu się odpłacą. Ojciec zastosował się do gróźb rabusiów, nawet i wtedy, kiedy po dłuższym czasie ich rozpoznał. Dopiero po kilku latach, kiedy utrwaliła się władza, ojciec opowiedział mi o tym wydarzeniu, a także i o innych, które dokonali ci sami ludzie. UB rozpracowało rabusiów i przesłuchiwało ich na ul. Młyńskiej w Świebodzinie. Wyroki otrzymali po parę lat. Po powrocie z więzienia znowu byli przy władzy.

Ojciec odwiedzał także PUR w Sulechowie. W ratuszu na schodach spotkał się z Pancilejem. Były policjant niemiecki w rękach trzymał plik papierów. Poznali jeden drugiego. Wymienili nawzajem pozdrowienia i więcej się nigdy nie spotkali. Ojciec nigdy nie zgłaszał faktu spotkania się z niemieckim policjantem, ponieważ nie doznał od niego żadnej krzywdy. Po Bałoszce także ślad zaginął.

Tak jak zawsze, po dawnych dziejach czas zaciera ślad. Ja poświęciłem się, by przyszłym pokoleniom przedstawić odrobinę minionych, ciekawych dziejów, które być może doceni i współczuje losom swoich przodków.

## **CZAS Z CZERWONĄ ARMIA**

Podczas pierwszych powojennych omlotów w roku 1945 w Międzyzylesiu zahuczało od ciężkich, frontowych pojazdów Armii Czerwonej. Była to dywizja artylerii. Po ciężkich walkach frontowych na paroletni odpoczynek wybrali Cibórz i zagospodarowali kilka poniemieckich majątków na potrzeby dywizji. W Międzyzylesiu w lepszych domach zakwaterowali się wyżsi oficerowie sztabu dywizji i oficerowie składu Sądu Wojennego. W naszej wsi znajdował się także areszt pod nadzorem t/z kontrrazwiedki. Było także kilka samochodów kolumny transportowej, obsługa energetyczna z polowym agregatem prądotwórczym. Z wyższych oficerów w



najpiękniejszym domu kwaterował generał ze swym synem lejtnantem. We wsi kwaterowało także czterech pułkowników. W naszym domu zakwaterował się pułkownik Puryn ze swoim kierowcą Wańką. Wszystkie trzy pokoje w mieszkaniu, bez żadnego odwołania musieliśmy odstąpić wojskowemu. Nam wyznaczili pokój na odpoczynek i spanie pod innym numerem. W swoim domu mieliśmy tylko dostęp do kuchni, korytarza, skrytek, do piwnicy, na strych i budynków gospodarczych. Takie gospodarowanie było bardzo uciążliwe. Po kilku tygodniach zżyliśmy się jednak z wojakami. We wsi zaczęły odbywać się potańcówki przy tradycyjnych, wojskowych harmoszkach. Jedna z takich potańcówek zakończyła się tragicznie. Dwóch rywali, starszy sierżant dowódca kontrrazwiedki i lejtnant nadzorca gospodarstwa wojskowego w Międzyzlesiu, zakochali się w jednej rosyjskiej dziewczynie, która pracowała w tym gospodarstwie. Kłótnia o dziewczynę zaczęła się na sali tanecznej. Rywale, by zakończyć ostatecznie porachunki o swoją miłość, wyszli obaj na podwórko. Po wymianie kilku ostrych zdań, sierżant sięgnął po pistolet. Oddał strzał do rywala i oddalił się. Rana okazała się śmiertelną. Świadkiem tego tragicznego wydarzenia był kapitan małego wzrostu uzbeckiego pochodzenia był pod wpływem alkoholu. Wielce poruszony tym incydentem wpadł na salę taneczną. Po pijanemu w rozpacz zachowywał się komicznie. Wzywając Boga usiadł na krześle. Zdjął z nogi but i bosą stopą zęgnął się kilka razy. Po tragedii młodzież cywilna i wojskowi opuścili salę taneczną. W Międzyzlesiu odbył się sąd wojenny sierżanta. Nie wiem jaki wyrok otrzymał zakochany szaleniec. Od chwili tragedii już go więcej nie widziałem. Dowództwo kontrrazwiedki objął inny sierżant.

Po zajęciu Ciborza żołnierze Armii Czerwonej robili porządki. Czego nie zdążyli zniszczyć w Tiborlager podczas frontu, dokończyli tego po wojnie. Najbardziej ich denerwowało, gdzie się pojawiało dużo nazistowskich symboli. Jednego późnego wieczoru widziałem łunę ognia. To palił się blok niemieckich, oficerskich rodzin. Musiało w nim być dużo amunicji różnego kalibru. Przez kilka godzin trwały nieustannie o różnych decybelach wybuchy.

Po Niemcach za garażami, od wschodniej strony, pozostało wiele baraków. Kilka z nich było podpiwniczonych. Te baraki służyły pracownikom budującym koszary. Kilka baraków załadowanych było sprzętem budowlanym. Rosjanie przez kilka tygodni oczyszczali w Cibórze bloki, a także i baraki. Wszystko wwozili do lasu. Wielu z pobliskich mieszkańców skorzystało z bogatego śmietnika. Szkoda tylko, że te zabytki przez nieświadomych ludzi zostały zmarnowane.

Pierwszy sołtys pan Płędzer z Międzyzlesia otrzymał od władz rosyjskiego wojska nakaz, by z Międzyzlesia podstawiono kilka furmanek do Ciborza. Sołtys także wyznaczył naszą furmankę. Ojciec mnie wysłał na tą akcję. Gdy na szosie zrównałem się z bramą Ciborza, musiałem skręcić w prawo i jechać lasem. Odcinek drogi od szosy do bramy, był całkowicie nie przejezdny, do czego przyczynili się Niemcy opuszczając Tiborlager. Masa ściętych, grubych drzew leżących jedno na drugim sprawiała do niepokonania tego odcinka. Droga była ujeżdżona przez las. Rosjanie nie spieszyli się do oczyszczenia tego odcinka. Za bramą jeden z podoficerów wskazał mi gdzie mam jechać. Tam właśnie za garażami żołnierze rozebrali baraki, a ich elementy leżały na dużych stertach. Na jednej kupie leżały oszklone ramy okienne. Jeden z żołnierzy chwycił mojego konia za uzdę i doprowadził do tego składowiska. Inne wozy były już załadowane innymi elementami i czekały, by razem wyruszyć w drogę. Kiedy żołnierze załadowali moją furmankę, w drogę wyruszyłem ostatni. Mój wóz był bardzo przeładowany i po nierównościach chwiało się na boki. Trzymając lejce siedłem obok wozu. Gdy minąłem bramę, musiałem skręcić w lewo w leśną drogę. Krawężnik, który dzielił las z asfaltem był wysoki. Kiedy na niego wjechałem jednym kołem, wóz mocno się zachwiał. Jedna z oszklonych ram spadła z wozu i roztrzaskała się o krawężnik. Przy bramie stał kapitan. Był pijany. Zauważył ten wypadek i zareagował agresywnie i wykrzyknął:

- Ty polska morda. - Sięgnął do kabury po pistolet i zaczął do mnie celować. Incydent ten dostrzegł idący za nim starszy lejtnant. (Jak się później okazało, był to politruk). Oficer polityczny widząc nie przelewki, rzucił się z impetem na kapitana i uderzył mu w rękę z

wycelowanym pistoletem. Pistolet wypalił. Kula przeleciała obok mnie i roztrzaskała kilka szyb na wozie. Koń po wystrzale spłoszył się i raptownie szarpnął wozem. Powstrzymałem konia, lecz w wyniku szarpnięcia spadły następne dwie ramy rozpryskując szkło po asfalcie. Wybuchłem płaczem. Politrak wyrwał kapitanowi pistolet z ręki. Kazał mu zdjąć pas. W tym momencie podbiegło jeszcze dwóch żołnierzy. Jednemu z nich sierżantowi wręczył kapitana pistolet i rozkazał mu odprowadzić kapitana do aresztu. Potem politruk podszedł do mnie i powiedział: - No synok, wsio w paradkie. Możesz ujeżdżać. /No synku wszystko w porządku. Możesz odjeżdżać/. - Podniósł strzaskane ramy i wrzucił mi je na wóz. Na szosie popędzałem konia biegnąc przy wozie, by dopędzić swoją kolumnę furmanek. Jadąc na Skąpe skręciliśmy za mostem w lewo. Lasami i łąkami dotarliśmy do wsi Łąkie. Było tam gospodarstwo wojskowe, w którym żołnierze budowali dalsze pomieszczenia dla zwierząt hodowlanych. Wieczorem wróciłem do domu. Miałem żal do ojca, że wysłał mnie prawie na śmierć. Po opowiedzeniu dramatu jaki przeżyłem ojciec bardzo mi współczuł.

W czasie wojny Armia Czerwona założyła w Międzyzlesiu cmentarz poległych żołnierzy w czasie zdobywania umocnień nad strumykiem. Kiedy przybyliśmy do Międzyzlesia, na głównym placu wsi było około 10 grobów. W 1946 roku pochowano tu jeszcze trzech żołnierzy. Jeden z nich zginął w Ciborzu, podczas pompowania tylnego koła w ciągniku. Obręcz zabezpieczająca oponę wysmyknęła się z felgi i uderzyła żołnierza w głowę. Śmierć nastąpiła na miejscu. Pogrzeb tego żołnierza był uroczysty. Z Ciborza do Międzyzlesia kondukt pogrzebowy podążał z orkiestrą. Dwóch następnych, których tu pochowano, zginęli w Przetoczniczy. Jadąc gazikiem pijani, nie trafili na most. Rozbili barierę i wpadli do burzącej wody opadającej z tamy. Tym żołnierzom na pogrzebie nie grała orkiestra.

W Międzyzlesiu zapoznałem się z ekipą, obsługującą agregat prądowórczy. Agregat ten był o małej mocy. Żołnierze podłączyli go do istniejącej, nieczynnej sieci niskiego napięcia. Pomagałem żołnierzom nosić i ustawiać drabinę. Przy domach mniej ważnych żołnierze ci odłączali mostki na szczytach. Zostawiali mostki tylko tam, gdzie kwatrowali ważniejsi oficerowie. Zaprzyjaźniłem się z żołnierzami obsługi agregatu. Nabyłem u nich trochę praktyki, jak podłączyć i sprawdzić napięcie. W domu, w którym nocowaliśmy był odłączony od prądu zasilanego z polowego, wojskowego agregatu. Przekonałem się, że Cibórz ma napięcie z sieci biegnącej przez międzyzleskie pola. Nasza tymczasowa kwatera była najbliżej transformatora. Pewnego razu z kuzynem Bolesławem wybraliśmy się do kratowca, w celu sprawdzenia napięcia na tej linii i podłączenia mostków obciętych w kierunku Międzyzlesia. Zrobiłem kontrolkę podobną do tej, jaką posługiwali się żołnierze. Wszedłem na kratowiec. Blisko biegnącego przewodu pod napięciem mocno się usadowiłem, by nie spaść. Kuzyn stał pod kratowcem. Byłem o kilkadziesiąt centymetry od przewodu wysokiego napięcia. Nałożyłem gumowe rękawice. Prócz tego obwinałem rękę połą od marynarki. Nie zdążyłem kabelkiem dotknąć przewodu, kiedy powstał ogromny huk i błysk. Kontrolka spadła na głowę kuzyna, a ja po porażeniu straciłem przytomność. Dzięki solidnemu zabezpieczeniu wplątania się w kratowca nie spadłem. Po kilku minutach ocknąłem się. Ręka, którą dotykałem przewodu była bezwładna. Trzęsąc się po porażeniu zszedłem z kratowca podtrzymując się jedną ręką. Stwierdziłem, że marynarka i gumowa rękawica są przepalone, a dłoń także została przypieczona. Uratowało mnie jedynie to, że przy kontrolce był bardzo cienki kabelek, który w ułamku sekundy przepalił się. Przyszedłem do domu nie czując ręki. Bałem się przyznać ojcu o swoim nierozsądnym wybryku. Dłuższy czas siedziałem na ławce przed domem. Dopiero dłużej jak po godzinie zacząłem odczuwać, że mam rękę. Trwało jeszcze kilka godzin, nim ręka wróciła do życia. W ten sam sposób po wojnie z nieświadomości zginęli dwaj chłopcy od napięcia 15.000 V. Jeden ze wsi Pałck a drugi ze wsi Łąkie. Taka moja była pierwsza przygoda i praktyka z elektrycznością. Przez cały wiek produkcyjny pracowałem w tym zawodzie.

## GWALT, ZBRODNIA I KARA

Między żołnierzami Armii Czerwonej a polskimi cywilami zdarzały się sporadycznie tragiczne wypadki. Słyszałem tylko o jednym którego częściowo byłem świadkiem. Chciałem go potwierdzić wywiadem ze znajomym

-”Było późną jesienią 1945 roku – opowiada **Bolesław Sowiński** ze wsi Pałck – wybrałem się pieszo z Pałcka do znajomych w Lubrzy. Jako młody chłopak postanowiłem, by po drodze przy okazji odwiedzić swoje koleżanki. Były one już zatrudnione w szpitalu w Świebodzinie. Mieszkały we wspólnym pokoju przy ul. Skrajnej. Władysława Serafin miała rodziców w Pałcku, a Janina Ziara miała rodziców w Świebodzinie. Władysława zataeskniała za rodzicami i namówiła koleżankę, by ich odwiedzić. Podczas wolnego dnia od pracy zaplanowały wyruszyć do nich na pieszo. Będąc u nich w odwiedzinach zaproponowałem, że jak będę wracał z Lubrzy, to wstąpię po nich. Razem w drodze ze mną będzie im weselej i bezpieczniej. Odmówiły, gdyż za dużo straciłyby wolnego czasu. W drogę wybrały się same na pieszo pokonując odległość 17km.. Komunikacji autobusowej w tym czasie jeszcze nie było. Ruch na drodze prawie żaden. Od czasu do czasu przejeżdżał tylko samochód Armii Czerwonej. Na drodze ze Świebodzina do Skąpego nikogo nie spotkały. Gdy mijaly Skąpe, robiła się szarówka. Na drodze przez las między Skąpem a Pałckiem nadjechał ciężarowy samochód. Gdy się zatrzymał przy nich, było już prawie ciemno. Czerwonoarmista z pepeszą wyskoczył z szoferki. Kiedy dziewczyny zbliżyły się do niego, nawiązał z nimi rozmowę. Prosto z mostu zaproponował im wspólny spacer do lasu. Dziewczyny zaskoczone taką propozycją przestraszyły się. Zdecydowały się na ucieczkę do lasu. Biegły z całych sił na oślep. Żołdak nie chciał przepuścić takiej okazji i pognął za nimi. Dopędził i złapał Janinę. Władysława uciekła, gdyż była szczuplejsza i zwinniejsza. Biegła dalej co sił padając na leśnych przeszkodach. Gdy się upewniła, że ją już nikt nie goni, zatrzymała się. Słuchała, jak koleżanka rozpaczliwie wzywała ratunku. Wkrótce zapanowała cisza. Władysława siedząc w lesie skulona i bezradna płakała. Zrobiło się całkiem ciemno. Jej przerażenie przerwał seryjny strzał. Domyśliła się co się stało z Janką. Zerwała się i dalej biegła w nieznanym kierunku. Zapanowała ciemna, jesienna noc. Szła dalej po omacku. Lasu nie było końca. Była zmęczona i wyczerpana z sił. Beznadziejność i strach zmusiły ją, by pod krzakiem przeczekać resztę nocy. Siedząc rozmyślała i bardzo żałowała, że nie skorzystała z propozycji kolegi. Z zimna i ze strachu zaczęła dygotać. By z przeziębienia nie zachorować, rozcierała ręce, nogi i piersi. Noc w strachu trwała w nieskończoność. Kilka metry od niej przeszła wataha chrząkających dzików. Z zimna i ze strachu myślała, że w tym lesie umrze. Wreszcie dostrzegła, że w pewnym kierunku pojawiła się jasność. Odczekała trochę i ruszyła w kierunku jasności. Gdy uszła kilkadziesiąt metry, las się skończył. Poznała znajome pole. Była blisko Pałcka. Gdy dotarła do domu rodziców, wszyscy jeszcze spali. Zastukała do drzwi. Otwierali je obojga rodziców. Byli przerażeni, kiedy zobaczyli córkę o tak nietypowej porze dygocącą i zapłakaną. Uspokoiwszy się nieco opowiedziała rodzicom o tragicznym wydarzeniu swojej koleżanki. Ja natomiast – mówił dalej Bolesław Sowiński – W Lubrzy po gościnie u znajomych przespąłem się i na obiad wróciłem do domu. Kiedy usłyszałem o tragedii, nie chciałem w to uwierzyć. Po obiedzie znowu pieszo wyruszyłem do Świebodzina. W kostnicy obejrzałem ciało młodej koleżanki. Tam się popłakałem i czułem się winnym, że pozwoliłem im samym iść w odwiedzinę. Na drugi dzień Władka szczegółowo opowiedziała o tragedii koleżanki. Po tragicznej śmierci Janki, jej rodzice przyjechali do Międzyzlesia, by przedstawić władzom wojskowym gwałt i zabójstwo ich córki. Słyszałem, że był sąd gwałciciela i mordercy, ale nie wiedziałem jaki otrzymał wyrok. Obecnie koleżanka zmarłej Janki Władysława, po zamążpójściu nazywa się Kućko i mieszka w Elblągu”.

### **Dalszy los gwałciciela i mordercy**

Rodziców Janki skierowano do Wojennego Zespołu Sędziowskiego pod kierownictwem kapitana Kudrawcewa. W sąsiednim pokoju gdzie żeśmy spali, kapitan przesłuchiwał państwa Ziarów.



Na drugi dzień rano widziałem jak wojskowym gazikiem przywieźli koleżankę Janki Władysławę, w celu rozpoznania sprawcy gwałtu i mordu. W sąsiednim gospodarstwie kwaterowali kierowcy z kolumny samochodowej i kontrrazwiedka. W piwnicy znajdował się areszt. Na dużym podwórku zarządzono zbiórkę kierowców. Władka w asyście oficerów dokonała rozpoznania sprawcy. Bez namysłu wskazała gwałciciela i mordercę, którego natychmiast odprowadzono do aresztu. Tego wieczoru leżałem już w łóżku. Nagle usłyszałem nie ludzkie jęki. Wiedziałem o co chodzi. W pokoju przedzielającym korytarzem kwaterował starszy lejtnant, śledczy wojennego sądu. Nazywali go Kostia. To właśnie on z kapitanem Kudrawcewem przesłuchiwali gwałciciela i mordercę. Ciarki mnie przechodziły od przeraźliwego wycia aresztanta. By tego nie słuchać, musiałem głowę nakryć pierzyną. Rano ubrałem się i wracałem na swoje gospodarstwo. Z podwórza, gdzie był areszt wyjeżdżał gazik. Na tylnym siedzeniu siedział aresztant z opuszczoną głową. Po obu jego stronach siedziało dwóch żołnierzy. Jeden z nich to sierżant, dowódca kontrrazwiedki. Z przodu obok kierowcy siedział nieznajomy oficer. Gazik skręcił w stronę Skąpego. Po kilku dniach spotkałem sierżanta i przy okazji spytałem go: - Co się stało z aresztantem? - sierżant uśmiechnął się i powiedział: - Dlaczego jesteś taki ciekawy? Wojenny sąd nie żartuje. Gwałciciel i morderca został zakopany w rowie strzeleckim nad strumykiem.



*Śledczy sądu wojennego starszy lejtnant Kostia*

## **NIE WYKRYTA ZBRODNIA**

Nie wiele minęło dni po tragedii Janki. Znowu w tym samym miejscu rozegrała się następna tragedia. Pałac w Pałcku był zajęty przez żołnierzy Armii Czerwonej. Przebywało ich tam około dwudziestu. Trudnili się gospodarstwem na potrzeby dywizji. W budynkach gospodarczych chowali owce i świny na ubój. Mieli swojego zaopatrzeniowca, który jeździł bryczką i dostarczał najrozmaitsze towary potrzebne dla ekipy hodowlanej. M/i dla załogi hodowców codziennie na potrzeby kuchni przywoził mleko ze wsi Łąkie, gdzie była wojskowa hodowla krów. Pewnego dnia wyjechał po mleko raniutko i już nie wrócił. Po dwóch dniach poszukiwań zwłoki zaopatrzeniowca znaleziono, gdzie została zamordowana Janka. Po koniu i bryczce ślad zaginął. Padło podejrzenie na uzbrojoną bandę po cywilnemu, która napadała na bezbronną ludność w celu rabunku o której już wspominałem. Nie słyszałem, czy tych sprawców zabójstwa żołnierza odnaleziono. Pochowano go w Sapem przy ogrodzeniu kościoła od wschodniej strony. Przy jego grobie wybudowano przystanek autobusowy. W latach siedemdziesiątych jego szczątki zostały ekshumowane.

## **SYN PUŁKU**

Po frontowych działaniach i zajęciu Międzyzlesia przez Armię Czerwoną, tuż przy naszym domu po drugiej stronie ulicy zakwaterował się także pułkownik. Był zapalonym myśliwym. Urodził się i wychował w syberyjskiej tajdze. Przez kilka lat wojny nie wyzbył się

myśliwskiego nawyku. Polował w okolicach Międzyzlesia, a także często wyjeżdżał na dalsze tereny łowne. Po wojnie w okolicznych lasach było bardzo dużo dziczyzny. Na polowanie zawsze wyjeżdżał gazikiem. Jako pomoc do polowania miał kierowcę i syna pułku. Syn pułku nazywał pułkownika „papa Tulijan”. Bardzo zaprzyjaźniłem się z Tolką. Miał tyle lat co ja. Pochodził z Bobrujska. Opowiadał mi wiele o tragedii swoich rodziców. Podczas działań wojennych Bobrujsk bardzo się bronił przed okupantem. Razem z matką przeżyli wojenne piekło. Ojciec jako żołnierz brał udział w walce o Bobrujsk. Niestety, cały jego pułk trafił do niewoli. Podczas konwoju jako jeńców, znaczna część pułku ruszyła do ucieczki w ruiny miasta. Wielu jeńców zostało zabitych i wielu uciekło. Ojcu też się poszczęściło. Udało mu się także uciec z Bobrujska i zaciągnąć się do partyzantki. Udało mu się pierwszy raz zaryzykować i odwiedzić żonę i syna na peryferiach Bobrujska. Podczas drugich odwiedzin został przez Niemców schwytany. Po przesłuchaniu i torturach został na oczach żony, syna i mieszkańców tej ulicy przed własnym domem rozstrzelany. Matka Tolki po tej tragedii raptownie zachorowała i umarła na oczach syna. Tolka został sam. Przez długie miesiące wojny, przymierając głodem tułał się po ubogich wioskach i zbombardowanym Bobrujsku wyszukując w gruzach pożywienia.. Wreszcie doczekał się wyzwolenia. Wynędzniałego chłopaka, przygarnął wówczas podpułkownik Tulijan. Przeszedł z nim front od Bobrujska do Berlina. Na froncie przy sztabie pułku w najrozmaitszy sposób pomagał żołnierzom. Miał wiele odznaczeń i medali.

Pierwszy raz z Tolką wybraliśmy się do Ciborza do kina. Dał mi swoją zapasową czapkę. Pouczał mnie co miałem mówić przy kontroli. Gdy weszliśmy do kasyna, podoficer sprawdzał Tolki dokumenty. Potem zwrócił się do mnie.

- Dokumenty masz?
- Nie, jestem z gospodarstwa wojskowego.
- A jakie masz nazwisko?
- Bykow.
- No to wejdź.

Obejrzelśmy film „O szóstej po wojnie”. Następny razem oglądaliśmy „Timur i jego drużyna”. Za trzecim razem obejrzelśmy „Piętnastoletni kapitan”. Za każdym razem po seansie zwiedzaliśmy Cibórz. Przy kajakarni schodami w dół zeszliśmy do jeziora. Po niżej kajakarni po lewej stronie, znajdował się wysadzony jakiś mały obiekt z betonowych płyt. Żołnierze mówili, że to był jakiś zagadkowy obiekt i że go wysadzili Niemcy. Wyciągali z ruin jakieś stalowe liny.

Tolka w dzień jeździł z myśliwymi na polowania do lasu. Nocą terenowym gazikiem na pola. Jesienią w nocy zwierzyna wychodziła na pola na żer. Myśliwi gazikiem mknęli polem, a zauważoną zwierzynę oślepiali reflektorami i tratowali. A do uciekającej obok strzelali. Takie polowanie było zawsze udane. Specjalna ciężarówka, zabierała zwierzynę z pola. Zawożono ją do Ciborza, gdzie trafiała do kuchni wojskowej. Pewnej nocy po polowaniu myśliwi wrócili do domu. Tolka z załadowaną strzelbą wyskakiwał z gazika. Ręką chwycił za koniec lufy, by bronią oprzeć się o ziemię. Przy uderzeniu kolbą o twardy grunt, broń wypaliła. Takim to sposobem syn pułku przeszedł szczęśliwie front, a po zakończeniu wojny przez nieuwagę został inwalidą. Przestrzelona dłoń prawej ręki na zawsze pozostała ze sztywnymi palcami. Pułkownik bardzo przeżywał wypadek swojego, przybranego syna. Na polowania wyruszał już bez niego. Ja także wielce mu spółczałem w kalectwie. Na wiosnę 1948 roku żegnaliśmy się z Tolką jako dorośli mężczyźni. Do końca życia będę wspominał miłe przygody z synem pułku.



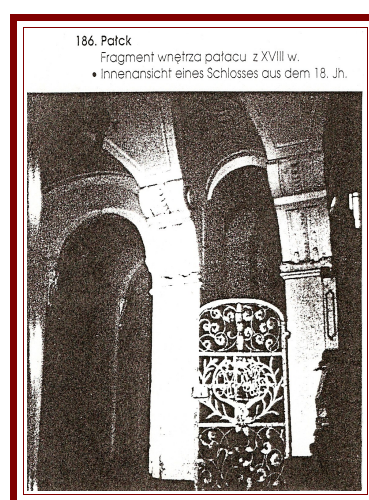
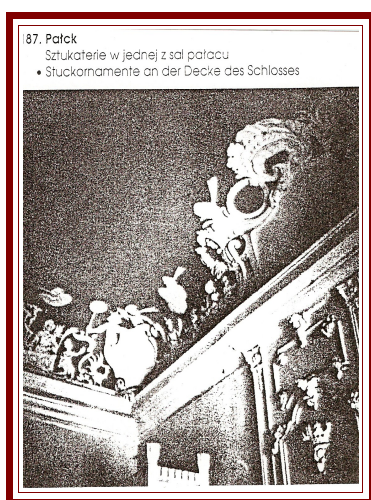
*Syn pułku Tolek.*

## ZABYTKI

„Po wojnie jesienią – opowiada **Jan Czerwiński z Palcka** – 1945 roku, żołnierze Armii Czerwonej pozajmowali pałace w Palcku i Przetoczniczy. Tak jak w każdym majątku mieli zadania hodowli zwierząt rzeźnych na utrzymanie wojska. Przez trzy lata piękne pałace z bogatym wyposażeniem wewnątrz niszczały. Czerwonoarmiści nie dbali o ich wygląd, a nawet wręcz celowo niszczyli drogie, zabytkowe obiekty. Gdy w roku 1948 opuszczali te tereny, czego nie zabrali, to celowo demolowali. Pałace po ich opuszczeniu wyglądały jak widma. Po pustych komnatach hulał wiatr, wybijając resztę szyb w oknach. Niszczyjącymi pałacami zainteresował się Komitet Powiatowy Partii Robotniczej w Świebodzinie. Mieszkaniec Palcka **Henryk Urbanowicz**, w tym czasie uczył się w Szkole Zawodowej w Świebodzinie. Komitet partii zlecił Szkole Zawodowej demontaż z pałaców urządzeń centralnego ogrzewania. Z odzyskanego materiału wykonali remont centralnego ogrzewania w gmachu komitetu partii w Świebodzinie.

Po dalszej dewastacji pałacami zainteresował się Urząd Ochrony Zabytków w Zielonej Górze, który powstrzymał dalszą dewastację i na remont przeznaczył odpowiednią pulę pieniędzy. Zakupiono duże ilości materiału, w tym nowy gont na pokrycie dachu. Rozpoczął się wielki remont. Mieszkańców z Palcka zatrudniono do pracy. Gdy remont był w pełni zaangażowany okazało się, że brakuje pieniędzy na zakończenie remontu. Kontrole stwierdziły ogromne nadużycia, bowiem kierownictwo budowy fałszowało rachunki. Urząd Ochrony Zabytków zrezygnował z ratowania pałaców i udzielania dalszych funduszy na remonty. Pozostawione bez opieki bezpańskie pałace rozebrała miejscowa ludność”.

W Podłej Górze tak samo, pałac rozebrano w końcu lat sześćdziesiątych. Zostały tylko po nich zdjęcia, które można oglądać w Muzeum Regionalnym w Świebodzini. Pałace przetrwały: w Niekarzynie, w Radoszynie, w Nisulicach, w Błoniach i Zawiszu.

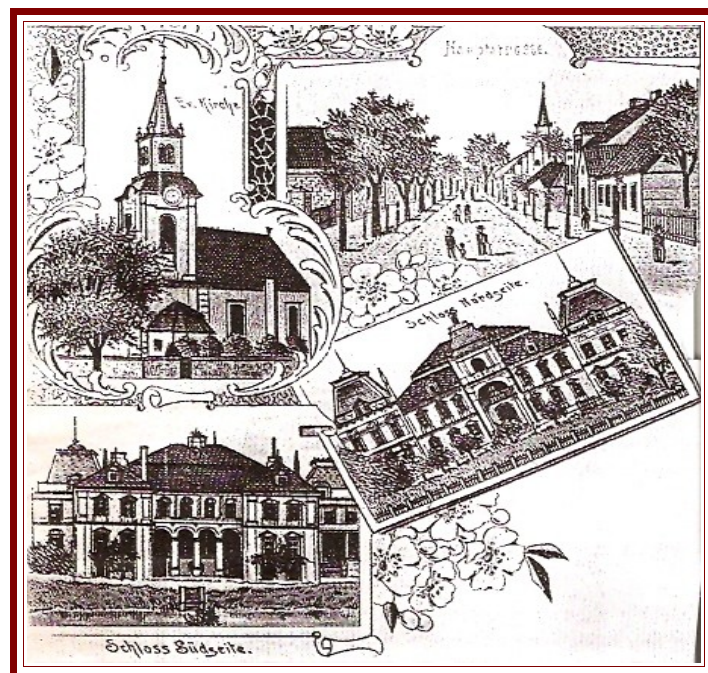


Wnętrze pałacu w Palcku

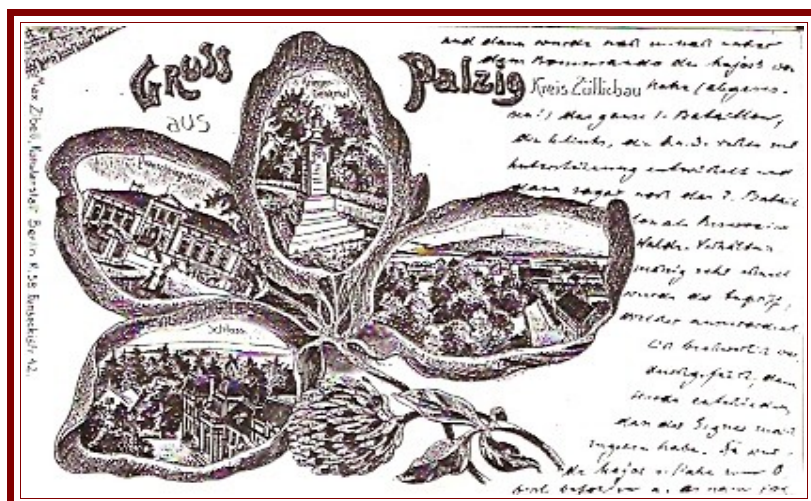


Budynek na zakręcie do Sulechowa

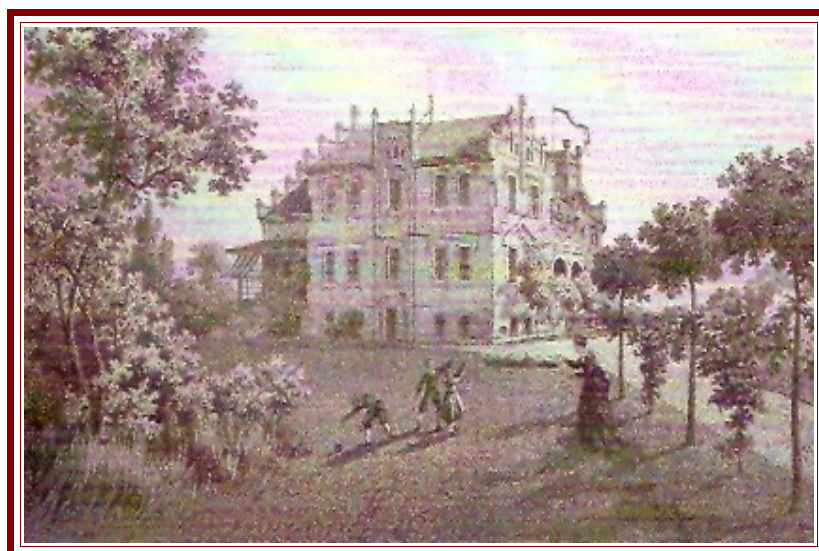




*Pałac, kościół i wieś Pałcki*

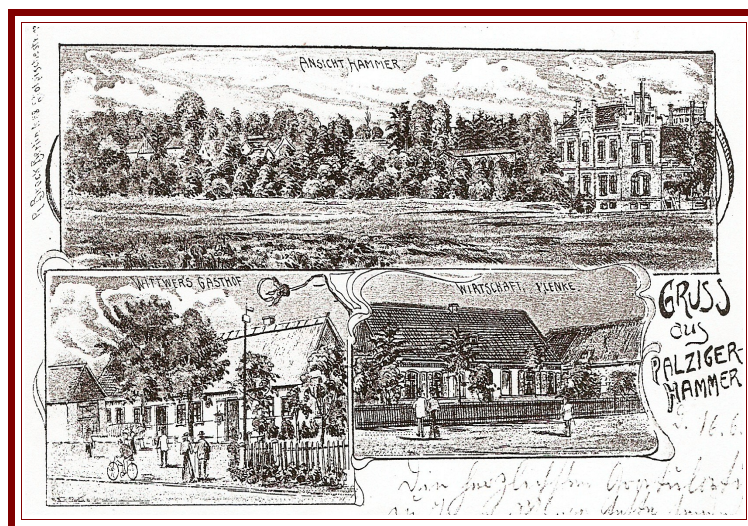


*Pozdrowienie z Pałcka*



*Były pałac w Przetoczniczy*





*U góry Przetocznica z pałacem. U dołu Palck*



*Pozdrowienie ze Skapego*

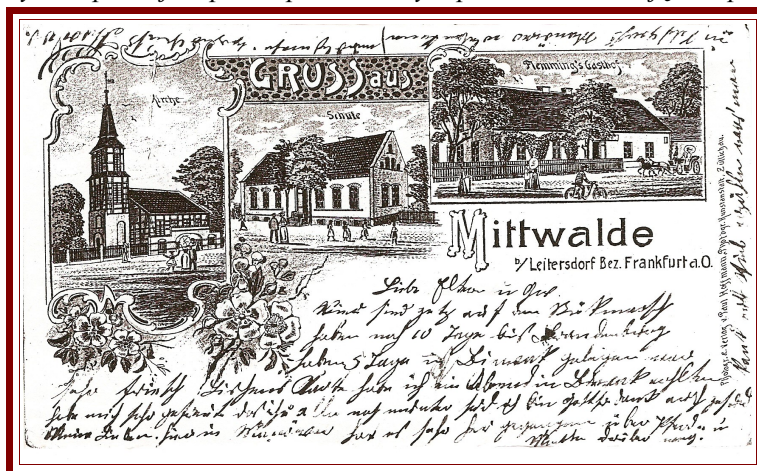


*Dawne Skape*





*W tym budynku w Międzyzlesiu po wojnie ponad pół wieku była polska szkoła. Zdjęcie z początku lat trzydziestych.*



*Pozdrowienia z Międzyzlesia*



*Międzyzlesie z lat dwudziestych*

## **PASTERSKA MŁODOŚĆ**

Po wojnie 1945 roku, jako młodzi chłopcy, penetrowaliśmy umocnienia MRU. Nad urządzeniami przy tamach, tylko my mieliśmy pełną kontrolę. Pozdejmovaliśmy ze wszystkich mechanizmów korby, by nikt prócz nas nie manipulował tamami. Zostawiliśmy tylko jedną, która pasowała do wszystkich mechanizmów. Zbyteczne powrzucałismy do wody. Tylko akwen nr. 7 nie był spuszczaany. Pomieszczenie mechanizmu było zamknięte przez młynarza. W pozostałych



akwenach woda była tylko w korytach strumyka. Po obu stronach koryta powstały rozległe łąki. Po lewej stronie koryta łąki były uprawiane przez gospodarzy ze Skąpego. Prawa strona należała do rolników z Międzyzlesia. Większość tych łąk i przyległe do nich pola nieuprawiane przeznaczono na pastwiska. Sezon pasterski trwał od początku maja do późnej jesieni. W roku 1946-47 jako dorastająca młodzież chłopcy i dziewczęta zawsze po obiedzie wypasaliśmy krowy i owce. We wolne dni od szkoły i we święta. Ta powinność trwała od wczesnego ranka w dni wolne od zajęć szkolnych.. Stado krów liczyło około 80 szt. Nie mniej także było owiec. Najbardziej atrakcyjnym miejscem dla pasterzy było przy tamie w Cząbrach. Za strumykiem od strony Skąpego był opuszczony młyn z domem i budynkami gospodarczymi. . Przy strumyku w pobliżu tamy od strony Międzyzlesia było także opuszczone kompletne gospodarstwo rolne. Pola i łąki były porośnięte bujną trawą. Bydło pasło się samo, a my mieliśmy wiele rozrywek. Każdego dnia po obiedzie przyjeżdżał rosyjski oficer. Poznałem go. Był to ten sam kapitan, który pod wpływem alkoholu usiłował mnie zastrzelić przy portierni w Ciburzu w czasie, kiedy z wozu spadła oszklona, okienna rama. Przy tamie zostawiał motocykl. Za tamą szedł zawsze przez zasieki zygzakowatą ścieżką. Przy opuszczonym młynie brał łódkę i wypływał do zastawionych węciarzy. Wracał tą samą drogą i odjeżdżał z rybami. On mnie nie poznał. Nigdy nam nie okazywał życzliwości. Często pod wieczór wykorzystywaliśmy jego łódkę i podkradaliśmy ryby. Na złość dla nie życzliwego oficera załatwialiśmy się na wąskiej, zygzakowatej ścieżce w zasiekach. Kiedy następny raz wracał za rybami dostrzegł mnie i jak nie krzyknie

- :Pan u szlapie, kto zdzieś panasir...! Ustrelu was kak sobak! - Wyciągnął z kabury pistolet i strzelił dwa razy w górę. Od tego czasu nie do żartów nam było z groźnym oficerem. Zrezygnowaliśmy z dalszej, wszelkiej zemsty. Uciekaliśmy od tamy kiedy usłyszeliśmy warkot motocykla.

Po spuszczeniu zalanego terenu na akwencie nr.5 od mostu do Ciburza rolnicy użytkowali łąki na zbiór siana. Pozostałe tereny nad strumykiem służyły jako pastwiska.

Po dużym terenie umocnionym zbieraliśmy różną broń, amunicję, pancerfausty, rakiety, różnego typu granaty, pociski artyleryjskie i moździerzowe. Pasąc krowy byliśmy uzbrojeni po zęby. Codziennie strzelaliśmy do wybranych celów. Musieliśmy dojść do tego jak odpalać pancerfausty. Pierwszego przywiązaliśmy polowym kablem telefonicznym do stalowego ogrodzenia tamy. Głowicę skierowaliśmy do wody. Po odbezpieczeniu, od przycisku na rękojeści odprowadziliśmy kablem PTF poza wał. Po naciągnięciu kabla pancerfaust odpalił. Podczas wybuchu mieliśmy niesamowite wrażenia. Gdy znajdowaliśmy tylko ich głowice, wierciliśmy z boku otwór, do którego wkładaliśmy zapalnik z lontem. Podpalaliśmy go i wrzucaliśmy do wody. Wybuch wznosił słup wody ponad 10 metry. Mieliśmy z tego wielki ubaw i dużo ryb. Przy wartkim jazie w tamie też skupiało się dużo ryb. Głuszyliśmy je strzelając z mauserów do wody. Na pastwisko braliśmy ze sobą patelnię i słoninę. Na ogniskach smażyliśmy ryby. Zapijaliśmy je mlekiem wydojonym przez dziewczyny od zdobycznych, wojskowych krów z gospodarstwa Armii Czerwonej. Były one także dołączone do wiejskiego stada. Zarządziłem, by każda dziewczyna wydoiła odrobinę mleka, by przypadkiem nie chciało się którejś zdradzić o podkradaniu mleka. Pasterze wybrali mnie na przywódcę i nadali pseudonim „Kudrawcew”. Dowodziłem całą pasterską armią. Każdego z nich wiele uczyłem. Najbardziej straszyłem, by z czubkiem każdego pocisku obchodzili się jak z jajkiem. Gdy znajdowaliśmy granaty nieznanego typu, zarządzałem ciągnięcie losów. Na którego trafiła złamana zapalka, ten musiał wrzucić granat do wody, by tam wybuchnął. Każdy zęgnął się przed wyciągnięciem zawlecarki. Reszta chroniła się w rowach strzeleckich. Gdy granat nie wybuchał, ten co rzucał, podejmował dalsze próby aż do skutku. Poznaliśmy wiele tajemnic uzbrojenia. W uzbrojeniu niemieckim były granaty, których gałki do szarpnięcia były ukryte. Trzeba było po czymś uderzyć, by odpadła plastikowa zasłonka gałki. Te granaty wybuchwały ze zwłoką 45 sekund. Gdy wieczorem z bydłem wracaliśmy do domu, broń chowaliśmy w umówionych miejscach w gęstych młodnikach. Zapasy broni i amunicji przechowywaliśmy w

bunkrach, zabezpieczając arsenał gruzami. W lasach przy pastwiskach napotykalismy pojedyncze trupy niemieckich żołnierzy. Jednego z nich przysypalismy piaskiem przy bunkrze, z którego obserwowano słup aowy z transformatorem. Innych przysypywalismy w rowach strzeleckich. Dwóch z nich nie dało się zidentyfikować, do jakiej należeli armii. Mieli na sobie płaszcze koloru polskich mundurów, ale były zapinane na haczyki. Buty mieli filcowe niemieckie. Obok nich leżały załadowane mauserzy. Przysypalismy ich ziemią w rowach strzeleckich a broń zabralismy. Te ofiary wojny były po przeciwnej stronie umocnień nad strumykiem.

Najbardziej nas interesowały bunkry. Wiele w nich było ciekawych dla nas rzeczy. Mieliśmy ze sobą świece. Nie raz po wyjściu z bunkra nie mogliśmy odszukać krów. Było wielkim szczęściem, kiedy w jednym bunkrze zastałem jedyny nie uszkodzony peryskop. Pisało na nim, że ma 60-krotne zbliżenie. Z nie świadomości rozebrałem go i podzieliłem się soczewkami z kolegami. Korzystalismy z soczewek podczas słonecznych dni. Przypalalalismy nimi papierosy i rozpalalismy ogniska. Każdy bunkier był częściowo wysadzony. Siła wybuchu przy wysadzaniu musiała być potężna. Wielotonowe płyty pancerne i odłamy żelbetonu znajdowały się od bunkrów w promieniu 300 metry. Pewnego dnia paśliśmy krowy blisko bunkra nr. 630. Ogromny odłam żelbetonu leżał blisko tamy. Był pochylony i wygodny do opalania się. Słońce przyjemnie przygrzewało. Usiadłem na nim i chciałem przypalić papierosa. Sięgnąłem do kieszeni po soczewkę. Podczas tej czynności wypadła mi z ręki. Potoczyła się pod nachylony odłam. Zacząłem ją szukać. Na głowie miałem sfatygowany, słomiany kapelusz. Gdy się nachyliłem pod bryłę odłamu, kapelusz zawadził o coś i spadł mi z głowy, a wraz z nim spadł jakiś kawałek kości. Spojrzałem w górę i zobaczyłem, że w betonie tkwiło jeszcze kilka kostek, otoczonych czarną skórą. Potarłem to ręką i jeszcze kilka kostek spadło. Kiedy się przypatrzyłem, domyśliłem się, że te kosteczki pochodzą z ręki człowieka. Przypatrzyłem się ścianie bryły. Było w niej duże, ciemne, podłużne zagłębienie. Wokół zagłębienia był jasny beton. Wywnioskowałem, że w tym miejscu musiał być zabetonowany człowiek

Nie raz dla rozweselenia pasterzy brałem ze sobą harmonię. Przygrywałem dziewczynom do pięknego śpiewu piosenek o wielkiej, frontowej miłości. Nauczyliśmy się ich w czasie wojny na Białorusi podczas towarzyskich spotkań z partyzantami, oraz od stacjonujących, rosyjskich wojaków w Międzylesiu. Często także śpiewalismy polskie piosenki. Podczas pasterskiej młodości w czasie zakwitania rodził się jakiś bajecznie miły, tajemniczy urok pierwszej miłości. Towarzyszył mu polot: nieśmiałości, niezręczności, niewinności. Te zjawiska natury były niezwykle wrażliwe. Były one piękniejsze od balów światowej, bogatej młodzieży, którym towarzyszyły dźwięki muzyki najslynniejszych kompozytorów świata. To piękno pozostało na zawsze w mojej pamięci, na łonie natury wśród pięknych lasów, pól, łąk i wód. Przez całe życie trudu i w starości wspominam w nostalgii z łezką w oku Pastorską. Młodość. Była ona najwspanialszym kawałeczkiem mojego życia. Bardzo się dziwię i bardzo się cieszę, że my jako młodzi chłopacy bez żadnych przeszkoleń opanowalismy tak groźne uzbrojenie i nikt z nas nie doznał żadnego obrażenia. Los życia Pasterzy Młodości rozrzucił po całej Polsce. Dla tych, którzy jeszcze żyją poświęcam skromny wierszyk od swojego dowódcy.

Sześćdziesiąt lat minęło,  
Lecz w mej pamięci zostało  
Jak gdyby to było wczoraj,  
Co wielce, najbardziej kochałem.

Chciałbym pochwycić harmonię.  
Wyruszyć w świat przeszły, tak fajny.  
Zagrać na pożegnanie  
Dla swojej, najdroższej, „Pasterskiej Farajny”.

Z końcem sezonu pasterskiego w roku 1947 skończyła się moja pasterska młodość. Od początku następnego sezonu 1948 roku był już wynajęty przez wiejskich gospodarzy stały pastuch. Długą trąbą sygnalizował spędzanie bydła na plac, by całym stadem wyruszyć na wypas.

Po opuszczeniu naszych terenów przez Armię Czerwoną w 1948 roku, nakazem władz musieliśmy zdać broń. Przez maj i czerwiec byłem przymusowo zwerbowany przez „Służba Polsce” do odbudowy miast zniszczonych przez wojnę. W lipcu, tegoż roku pracowałem już pomocnikiem elektryka w jednostce wojskowej w Ciborzu.

## DOJRZAŁA MŁODOŚĆ



*Przy tym ogromnym, granitowym kamieniu zbierała się powojenna młodzież Międzylesia. Ja wyżej z prawej*

Jesteśmy na ogromnym kamieniu. Ponoć od początku XX wieku leżał on na głównym placu w Międzylesiu. Na początku tegoż wieku przy tym placu był zbudowany ogromny budynek budynek gospodarczy z łupanego granitu. Rozebrany został w latach sześćdziesiątych. Kamień zginął bez wieści w nocy na początku lat osiemdziesiątych. Był on atrakcją. Przy nim zbierała się polska młodzież przez 40 lat.

Od początku roku 1947 byłem junakiem „Służba Polsce”. W powojennych czasach każdy junak musiał odsłużyć dwa lub trzy miesiące czynu dla Polski. Czyn ten odharowałem w maju i czerwcu 1948 roku w Jaworznie. Tysiące junaków z całej Polski budowaliśmy elektrownię „Jaworzno”. Wyrąbывaliśmy las. Ciężko pracowaliśmy przy kopaniu ogromnego zbiornika wodnego. Budowaliśmy drogi dojazdowe do elektrowni. Stawialiśmy baraki dla sprzętu budowlanego. Obozowaliśmy w namiotach nad Czarną Przemszą. Po pracy w jej brudnej wodzie praliśmy onuce. Wielu junaków przy tej budowie utraciło zdrowie na zawsze. Nawet kolega z mojej drużyny Tadeusz Sroka nabył przepuklinę dźwigając w lesie ciężkie kłody. Wielu junaków cierpiało na bolesne odciski na dłoniach, pracując narzędziem ręcznym przez 8 godz. dziennie. Teraźniejsza młodzież nic nie wie, jak młode chłopaki, w wielkim trudzie, za darmo odbudowywali swój Kraj zniszczony wojną. A to dlatego, że od początku demokratyczna władza nigdy nie wspominała o wykorzystaniu powojennej młodzieży, która dźwigała z ruin powojenną Polskę. Trąbi tylko o „SOLIDARNOSCI”, która dążąc do władzy zapominała kto budował dla niej fundamenty i kto jest weteranem odbudowy Polski.





*Na biwaku w lasach Jaworzna*

Po wojnie najważniejszym napędem rozwoju Polski było górnictwo. Zachęcano młodych ludzi, a nawet i zmuszano do prac w kopalniach

Prasa i radio wielce zachęcało młodzież do darmowych szkół górniczych. Szkolny, wyjściowy mundur oczarował mnie. Pognąłem więc na Śląsk. Szkoła ta mieściła się w zamku królewskim Bolesława Chrobrego w Młoszowej koło Trzebini. Po kilku dniach nauki dowiedziałem się, że tej szkoły pilnują zastępy milicji, by z niej nikt nie uciekł. We wszystkich najbliższych miastach na dworcach czuwała ona nad tym. Po trzech miesiącach pobytu w tej szkole poznałem nie co kopalnie: "ARTUR" i "ZBYSZEK". Przekonałem się na swojej skórze, jak ciężki jest żywot górnika. W podziemiach widziałem na własne oczy dramaty i tragedie. Po wyjechaniu szybko na powierzchnię, ani znajomych górników, ani kolegów nie szło rozpoznać. Na rękach i na twarzach mieli grubą powłokę pyłu węglowego. Od windy podążaliśmy prosto do łaźni, by jak najprędzej pozbyć się uciążliwego brudu. W auli wykładowej najbardziej nie znosiłem wykładów politycznych. Zawsze chowałem się od wykładowcy jak najbardziej na tylnych ławkach. Z nudów i ze zmęczenia chciałem zawsze ten czas wykładów przedrzemkać. Kiedy wykładowca zauważał śpiocha, podchodził i pytał o czym była rozmowa. Na te pytania nigdy mu poprawnie nie odpowiadałem. Z tego przedmiotu zawsze miałem dwóję. Z pozostałych przedmiotów byłem bardzo dobry. W tej szkole nie było ciężko. Wożono nas na wycieczki. Między innymi zwiedziliśmy Brzezinkę i Oświęcim.

Czas mijał w trudzie i tęsknocie za swoją wsią, za rodzicami, za koleżankami i kolegami, których w każdą sobotę na zabawie bawiłem swoją muzyką. Kiedy tęsknota przybrała na sile, udałem się do gabinetu dyrektora. Przyjął mnie grzecznie i spytał jaką mam sprawę. Kiedy mu wyjaśniłem, że rezygnuję ze szkoły i chcę wrócić do domu. Odpowiedział mi z uniesieniem: - Teraz już święty Boże nie pomoże. Proszę więc wracać do swoich zajęć.

W szkole miałem kolegę. Nazywał się Marian Tuski. Był także z Międzyzlesia, ale spod Warszawy. Zwierzył mi się, że także chce uciec ze szkoły. Po trzech miesiącach nauki szkoła zorganizowała zabawę. Zaprosiła na nią młodzież z miasta. Ja z Marianem skorzystaliśmy z nie czujności milicji, gdyż była zainteresowana bardziej zabawą. Byliśmy w szkolnych, wyjściowych mundurach górniczych. Kiedy w nocy sala taneczna rozbrzmiewała od muzyki, wdrapałem się na wysoki mur ogrodzeniowy terenów zamka. Podałem koledze rękę. Kiedy byliśmy po za murami szkolnymi, wyruszyliśmy na dworzec kolejowy do Trzebini. Ostrożnie sprawdziliśmy dworzec. Stwierdziliśmy, że na dworcu i na peronie była milicja. Zdecydowaliśmy się by na pieszo pokonać 12 km, drogi do Chrzanowa. Dotarliśmy do dworca kiedy już świtało. Stwierdziliśmy, że i tam na dworcu jest milicja. Wkrótce nadszedł pociąg w kierunku Katowic. Kiedy pociąg ruszył, sforsowaliśmy płot. Szybko podbiegliśmy i wsiedliśmy do ostatniego wagonu. W Katowicach na

dworcu też była milicja. Drżeliśmy ze strachu. Jednak ona nami nie interesowała się. Miałem przy sobie pieniądze i dałem koledze na podróż do Warszawy. Przy pożegnaniu Marian obiecał, że jak tylko dotrze do domu, to za podróż należność zwróci pocztą. Jednak tego nie uczynił.

Kiedy już byłem w domu, szybko zapakowałem mundur wyjściowy i wysłałem pocztą do szkoły. Szkoła za poniesione straty nauki przysłała rachunek. na sumę 10.000 zł. Za moje nie potrzebne wybryki ojciec tą należność musiał zapłacić. Po latach żałowałem, gdyż po tej szkole absolwenci otrzymali wysokie stanowiska górnicze.

Po ucieczce ze szkoły zatrudniłem się za pomocnika- elektryka w firmie Remontowo – Budowlanej w Ciborzu.

Po roku ta firma wyjechała zostawiając mi dokument odbytej praktyki. Otrzymałem angaż na konserwatora- elektryka w Jed. Wojskowej 2462 w Ciborzu.

Kiedy już miałem zapewnioną pracę marzyłem o ukochanej dziewczynie i wielkiej miłości. Samotnie wychodziłem w pole. W tych marzeniach pochłaniałem całym umysłem piękno natury. Wpatrywałem się w łąny falujących zbóż. Kładłem się pod niwą. Wsłuchiwałem się w tajemniczy, oczarowany szum rozkołysanych łąnów. W szelest traw i buczenie trzmieli. Słuchałem śpiewu skowronków i różnych ptasich trel w pobliskim lesie. Byłem upojony tym nie zwykłym czarem piękna. Chciałem ten czar natury wziąć w swoje dłonie i ofiarować to wszystko jakiejś miłej i wymarzonej dla mnie dziewczynie. Czekałem na Nią, jak gdyby miała się zjawić moja, upragniona ze swoją łaskawą duszą. Chwyciłbym Ją w ramiona. Przytuliłbym do serca. Oświadczyłbym Jej swoją wielką, szczerą i wierną miłość, która miała by trwać bez granic, na zawsze. W moich marzeniach dziewczyna ta sama nie pojawiła. Musiałem sam ją poszukać i dokonać wyboru. Nadszedł więc ten dzień. Zdecydowałem się na wybór towarzyszkę wspólnego życia. W majową niedzielę siedłem przez wieś. Dostrzegłem kilka znajomych dziewcząt siedzących na ławce. Od kilku lat namyślałem się do której uderzyć. Zastanawiałem się nad tym by w przyszłości nie uczynić krzywdy ani dziewczynie, ani sobie. Zbliżyłem się do nich. Były uśmiechnięte i rozbawione ploteczkami. Po pozdrowieniu usiadłem przy tej, o której wiele myślałem. Wkrótce zabawiałem się z nią jakimś rzemykiem. Była dla mnie uprzejma i miła. Zrozumiałem, że zaloty zostały przyjęte. Była nią obecna moja żona. Miała ciemne długie włosy. Z dołeczkami na policzkach była piękna. Dziewczyna jaką wymarzyłem w samotności pod niwą. Od tej pory zawsze odprowadzałem ją po zabawie do domu. Na pożegnanie otrzymywałem całusa. Tańczyć z nią mało miałem okazji z powodu muzykowania. Kochała mnie na swój sposób. Była bardzo zazdrosna. To mnie wcale nie przeszkadzało, bo o innej nigdy nie chciałem myśleć. Byłem w niej bardzo zakochany. Przede mną była długa służba wojskowa. Bałem się, by swojej wybranej nie utracić. Po zapoznaniu się z nią zacząłem dla niej. pisać poezje o wielkiej miłości.

Chodziłem ze swoją wybraną przez dwa lata. Nadszedł dzień 29 kwietnia 1952 roku. Żegnałem się z rodzicami, rodzeństwem i swoją ukochaną. Rozstaliśmy się z wielkim żalem i ze łzami w oczach. W tym dniu żegnałem też w Międzylesiu swój kawalerski stan na zawsze. Służbę wojskową za rekruta odbywałem aż w Kielcach. Pierwsze miesiące były. bardzo ciężkie. W tym okresie rygor i dyscyplina w wojsku była do nie wytrzymania, gdyż trwała zimna wojna wschodu z zachodem.. Czas do napisania listu. trzeba było z trudem wykombinować.

Kilka dni po przysiedze przeżyłem tragedię kolegi z piętrowego łóżka. Pewnej nocy zaraz po uśnięciu zagrała trąbka na alarm. Za parę minut nasza kompania w pełnym rynsztunku i uzbrojeniu stała w dwuszeregu. Padła komenda dowódcy kompanii – Trzeci pluton, baczność! W prawo zwrot! Do koszar odmaszerować! Dla pozostałych dwóch plutonów dowódca odczytał rozkaz o zlikwidowaniu dwóch, uzbrojonych, groźnych bandytów, którzy ukrywają się w mniej odwiedzanych partiach Gór Świętokrzyskich. Na plac przy koszarach podjechało kilka samochodów ciężarowych. Załadowano na nie dwa plutony. Na wyznaczone miejsce dojechaliśmy

przed wschodem słońca. Odbyla się krótka odprawa dowódców. Dowódcy drużyn pouczyli nas jak mamy zachowywać się w górach dla swojego bezpieczeństwa. Każda drużyna otrzymała swoje zadanie, by dokładnie przeczesać wyznaczony, zróżnicowany teren porośnięty jodłowym lasem. Penetrowaliśmy wszystkie szczeliny i zakamarki z wielką ostrożnością z bronią gotową do strzału. Zbliżając się do terenu opuszczonej kopalni metali, nie wiedzieliśmy, że zbliżamy się do kryjówki bandytów. Gdy we trójkę szliśmy przy skalnej ścianie górotworu, padła seria z broni maszynowej. Kule z gwizdem niemal musnęły moje ucho, w którym aż za świdrowało. Uderzając w skałę odpryskami posiekały czoło kaprała i mój policzek. Kaprał krzyknął:- Kryć się! - Pierwszy zeskoczył w zagłębienie około 2 m. niżej. Ja zeskoczyłem drugi. Trzeci mój kolega z piętrowego, wspólnego łóżka został trafiony drugą serią. Spadał na nas głową w dół. Zdążyliśmy go pochwycić. Stwierdziliśmy, że ma przestrzeloną pierś. Ułożyliśmy go na twardym gruncie porośniętym mchem. Charczał w konwulsjach. W gardle bulgotała krew, a także strumieniami spływała spod munduru. Nasz kaprał Sułowski wystrzelił rakietę. To był umówiony znak na przybycie sanitariusza. Za chwilę usłyszeliśmy donośny głos kaprała Taradejny: - Jesteście otoczeni! Zostawić broń i wychodzić z rękami do góry! - Przerażeni bandyci nie chcieli wychodzić. Po drugim ostrzeżeniu usłyszeliśmy wybuch granatu. Po tym wybuchu bandyci wyszli z kryjówki. Na sygnał rakiet , zbliżali się do nas żołnierze. Wkrótce przybył sanitariusz z ekipą ratunkową. Patrzyliśmy na kolegę jak w agonii konał na podtrzymujących rękach swego kaprała. Wkrótce sanitariusz stwierdził zgon ранego żołnierza. Kaprał kładąc ofiarę na mchu miał w oczach łzy. Na jego czole, brwiach i nosie ściekały stróżki krwi, którymi zajął się sanitariusz. Ja również z braku chusteczki wycierałem łzy ręką rozmazując krew na posiekany policzku. Sanitariusz to także dostrzegł. Po założeniu opatrunku kapralowi zajął się mną. U pozostałych kolegów oczy też błyszczały od łez. Byliśmy wszyscy pogrążeni w głębokim smutku i zadumie. Ekipa ratunkowa niosła zwłoki kolegi na noszach do samochodu. Szliśmy za nią. Widzieliśmy jak dwóch mężczyzn w wieku około 30 lat pod konwojem żołnierzy zbliżali się do samochodów. Jeden był ranny odłamkiem granatu. W dwie ręce ścisnął lewy bok. Sanitariusz zaraz zajął się rannym.

Dowiedzieliśmy się później, że to byli zbiegowie z więzienia, z wyrokiem po 10 lat za gwałty i rozboje. Mieli przy sobie tylko jeden niemiecki pistolet maszynowy z czasów wojny. Późnymi wieczorami zastraszali sklepowych i zabierali artykuły spożywcze. Ukrywali się w górach przez 3 lata.

Na drugi dzień w trumnie, na lawecie żegnaliśmy kolegę honorową salwą. Zabierali go rozpaczające rodzice do Radomia.

Mój kaprał Sułowski i kaprał Taradejna zostali wyróżnieni w rozkazie. Otrzymali po 10 dni urlopu. Ja zaś otrzymałem przepustkę na całą niedzielę, z której nie skorzystałem. Mając wolny czas, pisałem list do swojej dziewczyny. Opisałem w nim swoją tragiczną przygodę nie zważając na ujawnienie tajemnicy wojskowej, co było surowo zabronione. Bardzo przeżywałem utratę bardzo dobrego kolegi. Dawał mi listy do czytania od swojej dziewczyny. Pokazywał jej piękne zdjęcia. Bardzo się cieszył i chwalił swoją ukochaną, która także pochodziła z Radomia. W moich myślach ta tragedia utrwalała się na zawsze.

Ja w wojsku bardzo przeżywałem rozłąkę za swoją dziewczyną. Moja tęsknota do niej była wielkim bólem. Czułem się bardzo nieszczęśliwym. Czułem ulgę tylko wtedy, kiedy pisałem do niej listy. Bardzo wiele pisałem listów nie czekając na odpowiedź od ukochanej. W każdym liście poświęcałem Jej zwrotkę miłosnego wiersza. Często nawet i długie wiersze.

Po kilkumiesięcznej służbie w Kielcach, z powodu mojego zawodu zostałem przeniesiony do Wrocławia. W parku na Klęcinie pod namiotami był nasz obóz szkoleniowy łącznościowców.

Sztab batalionu łączności mieścił się na Krzykach, przy cmentarzu żołnierzy Armii Czerwonej.

Po trzymiesięcznym szkoleniu rozesłano nas na placówki łączności.



Pierwszy raz po szesnastu miesiącach służby miałem tylko jeden dzień urlopu. Gdy tęsknota do ukochanej przybrała na sile, postanowiliśmy się pobrać podczas służby wojskowej. Na własny ślub po 20-u miesiącach służby miałem tylko cztery dni urlopu. Ślub odbył się w wojskowym mundurze w międzyleskim kościele 10-go stycznia 1954 roku.

W czynie społecznym SP i służby wojskowej odslużyłem dla Państwa 32 miesiące.



Po powrocie z wojska rozpoczęliśmy z żoną start w nowe życie. Przede mną była ciężka praca we własnym, prywatnym zakładzie elektrycznym i nauka. Kwalifikacje zawodowe zdobywałem zaocznie i na kursach.

## **WŁADZA LUDOWA**

Po opuszczeniu naszych terenów przez Armię Czerwoną, każda wieś otrzymała nakaz, by nad jej snem czuwał nocny stróż. Symboliczny stróżowski kij przekazywano po kolei od domu do domu. Każdego czuwającego w nocy prześladowały wojenne demony, że gdzieś z ukrycia zaatakują go uzbrojone Niemcy. Stróżowania nie wolno było lekceważyć. Milicja często w nocy sprawdzała czuwających. Ta powinność trwała przez dwa lata, aż do umocnienia władzy ludowej.

Od 1947 roku, Gromadzka Rada Narodowa w Skąpem nałożyła haracz na każdego, dorosłego obywatela do odrobienia szarwarku w skali roku. Dla panny nigdzie nie pracującej był przyznany do odrobienia 1 dzień. Dla chłopów małorolnych do 5ha ziemi 6 dni. Dla gospodarzy powyżej 5ha 10 dni. Posiadaczom gospodarstwa powyżej 10ha szarwark wynosił 15 dni. Dla kowala 3 dni. Dla krawcy 10 dni.

Dnia 5-go lipca 1947 roku na podstawie Rozporządzenia Wojewody Poznańskiego wydano nakaz, by do dnia 21-go listopada 1948 roku została przeprowadzona akcja zwalczania wścieklizny wśród zwierząt domowych. Każdy szczepiony pies musiał posiadać metalowy znaczek. Za każdy znaczek trzeba było zapłacić 100 zł. Warto wspomnieć dla porównania, że w rok później za planową, przymusową dostawę zboża płacono chłopu 60 zł. za 100 kg.

Kiedy w połowie 1948 roku opuściła Międzylesie przez Armia Czerwona, ludzie odetchnęli z ulgą. Każdy repatriant mieszkał na swoim. Szczególnie we święta po kieliszku bimbru w wielu domach słychać było śpiewy. Śpiewano pieśni: polskie, rosyjskie, ukraińskie w zależności kto skąd pochodził.

W jednym domu śpiewano:

„Szumieł kamysz dzierewja gnuliś,  
A noczka ciomnaja była.  
Adna wazlublenaja para  
Gulała pozna, da utra”.

W drugim śpiewano:

„Razprahajci chłopczy koni.  
Da lehajti spoczywać.  
A ja pidu w sad zelenyj  
W sad krenyczeńku kopać”.

W trzecim:

„Lublu nasz kraj staronku hetu,  
Dzie ja radziłasia, rasła.  
Dzie pierwszy raz paznała szczaścia.  
Ślazu niadoli praliła”.

W czwartym:

„W polu grusza stoi.  
Śliczny owoc rodzi.  
Powiedz, powiedz moja luba  
Kto do ciebie chodzi”.

Pomimo niewygód jakie sprawiała „władza ludowa” ludzie cieszyli się życiem i tym co mieli. Praca w gospodarstwach wymagała wiele wysiłku. Nikt nie próżnował. Dla każdego od rana do wieczora. Czas był wypełniony pracą. Młodzież uroczyście żeniła się. Powiększała gospodarstwa. W trosce o rodzinę wydawali całą soją energię i cały swój trud.. Odchodzili z pokorą po wykonaniu swoich misji.

W roku 1949 zarządzono we wszystkich Gromadzkich Radach Narodowych obowiązek poszukiwania stonki ziemniaczanej. W sprawozdaniu powiatowym czytamy: „*W sierpniu 1949 roku w akcji poszukiwania stonki nie wykryto*”.

W następnym roku pojawiło się kilka ognisk stonki. W roku 1951 stonka rozmnożyła się na dobre. Rolnicy za darmo otrzymywali preparaty do jej zwalczania. Ci co zaniedbywali poleceń władz, płacili kary. W następnych latach, każdy musiał dbać na swój koszt we własnych poletkach.

W roku 1949 uchwalony został plan 6-letni. Na rolników nałożono przymus obowiązkowych dostaw płodów rolnych W GRN w Skąpem na przykład w roku 1952 obowiązkowe dostawy wynosiły:

Plan zboża – 324.476kg.(skupiono 309.609kg.)

Plan mleka – 123.241 litry.

Plan żywca – 21.084 kg. (dostarczono 19.909 kg.)

Plan ziemniaków – 536.223 kg.

W bardzo wyjątkowych przypadkach w niewielkiej ilości plan umarzano. Wiele wniosków o

umorzenie obowiązkowych dostaw załatwiano negatywnie. Gromadzkie Rady kierowały pisma do powiatów o ukaranie opornych chłopów.

Na początku lat pięćdziesiątych pod wielkim naciskiem agitowano chłopów do wstąpienia do spółdzielni produkcyjnych. Do końca 1952 roku, we wsi Skąpe było 42 członków tejże spółdzielni. Później do spółdzielni przystąpiła Darnawa. W Międzylesiu podpisał deklarację wstąpienia do spółdzielni tylko jeden rolnik. Na sesji GRN 21-go marca 1953 roku zastępca przewodniczącego Rady poinformował: „W gromadzie Międzylesie najgorszym jest to, że regulacji gruntów dokonano niewłaściwej klasyfikacji. Gospodarze mają tylko po 5 ha dobrej ziemi, płacą małe podatki i dlatego nie chcą przystąpić do spółdzielni”. W następnym sprawozdaniu czytamy: „Spółdzielnia Produkcyjna w Skąpem jest wzorowa w powiecie. W Międzylesiu natomiast prace włożone w zorganizowanie spółdzielni nie dały rezultatu. Jak wynika z dotychczasowych spostrzeżeń w gromadzie Międzylesie gospodarze są pod wpływem wrogiej propagandy i „szczekaczki” amerykańskiego radia „Wolna Europa”. Naszym zadaniem jest dołożenie wszelkich starań, by zdemaskować wrogą robotę i pokazać gospodarzom, że są oszukiwani i wskazać im właściwą drogę do dobrobytu i socjalizmu”.

Dnia 23-go stycznia 1953 roku na posiedzeniu GRN w Skąpem z nauczycielami uchwalono walkę z analfabetyzmem. Wkrótce potem otworzono szkoły dla dorosłych, bez ograniczenia wieku. Wielu starszych ludzi uczestniczyło w tych kursach.

Tego samego roku zgodnie z uchwałą Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Świebodzinie z dnia 11-go marca zobowiązano GRN w Skąpem i wszystkich sołtysów do werbunku do pracy w górnictwie. Z Międzylesia 2 osoby, ze Skąpego 3 osoby, z Podłej Góry 1 osobę.

Dnia 21-go marca 1953 roku GRN w Skąpem uczciła wieczną pamięć „Wielkiego Nauczyciela i wodza całej ludzkości, realizując idee Wielkiego Stalina”

### **„KUŁAK”**

Był nim Czesław Sommerfeld przesiedleńca powojenny z Wielkopolski. Do Międzylesia przybył z żoną i piątką dzieci od lat 2 – 11. Zajął większe 9 hektarowe gospodarstwo pod starym nr.11. Trzymał 2 konie, 3 krowy, kilka tuczników, stadko owiec, gęsi i kur. Do pomocy w gospodarstwie i wychowaniu dzieci zatrudnił dziewczynę o imieniu Irena, która przymusowo pracowała w Niemczech. Ze względu na większe gospodarstwo „pierwsza władza” bardzo go nękała i uznała za „kułaka”. Przymusowy plan 6 – letni w dostawie mleka, żywca i płodów rolnych miał wygórowany. Z motywacją trudnych warunków pisał do powiatu o zmniejszenie planu. Wszystkie wnioski załatwiano negatywnie. Nie miał więc możliwości wykonać planu. Nie odstawił w całości zboża. Dla siebie zostawił tylko na życie dla rodziny i utrzymania inwentarza. Była kontrola. Sprawdzano strych z zapasem zboża. Nałożyła karę grzywny i poleciła połowę odstawić. „Kułak” był w rozpacz. Musiał sprzedać część inwentarza, by spłacić grzywnę. Przez to cała rodzina odczuwała niedostatek. W trosce o swoje dzieci jakże on ciężko pracował jak w kieracie od świtu do późnej nocy. Ze względu na trudne warunki życia nie pił, nie palił. Nie miał czasu poznać przyjaciół. Po zakończeniu planu 6-letniego wszyscy rolnicy we wsi nieco odetchnęli. W gospodarstwie „kułaka” nadal trwała ciężka, nieustanna praca do późnych, nocnych godzin. Czas mijał. Dzieci dorastały. Potrzebna była o nich jeszcze większa troska. Dziewczyna, która opiekowała się dziećmi i ciężko pracowała w gospodarstwie nie wytrzymała dalszej harówki. Pożegnała się z zapracowaną rodziną. W roku 1956 zamieszkałem po sąsiedzku z tą rodziną.



Widziałem , że tam każdego dnia dopiero późną nocą gasło światło. Kiedy dzieci dorosły, każde poszło w swoją stronę. Tylko najstarsza córka ożeniła się z moim kuzynem i mieszkali już w tym pomniejszonym gospodarstwie. Biedny, zapracowany Czesław odetchnął nieco od ciężkiej pracy. Widząc po sąsiedzku mój otwarty warsztat nie raz mnie odwiedzał. Bardzo mi zaufał. Ze łzami w oczach opowiadał o swoim niewdzięcznym losie. Prócz mnie żadnych przyjaciół we wsi nie miał. Po ciężkiej pracy odczuł na zdrowiu. Ostatni raz mnie odwiedził w warsztacie, kiedy dowiedział się, że ma nieuleczalną chorobę nerek i że wkrótce umrze. Współczuwałem przyjacielowi i bardzo ubolewałem, że mu nic nie mogę pomóc. Z jego wypowiedzi wynikało, że chciałby jeszcze beztrudnie żyć i pocieszyć się godnym życiem swoich dzieci, dla których w ofierze poświęcił swój trud. Zmarł przedwcześnie wycieńczony ciężką pracą. Wkrótce po nim też zmarła żona. Teraz w jego gospodarstwie mieszka wnuk z rodziną. Nie potrzebne budynki zlikwidował. Bardzo zatroszczył się o remont domu, którego dziadek „kułak” nie był w stanie dokonać.

### NIE SPEŁNIONA NADZIEJA

Po zakończeniu planu 6-letniego, w drugiej połowie lat pięćdziesiątych życia na wsi nieco się poprawiło. Pierwsi absolwenci szkół średnich pozajmowali ważne stanowiska i zarządzili mądrzej. Rolnicy zwiększyli hodowlę trzody i bydła. W Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Skapem tworzyły się ogromne kolejki przy skupie żywca. Wielu rolników rozbudowało swoje gospodarstwa. Na wsi starzy i młodzi ciężko pracowali od świtu do nocy. Młodzież po zajęciach szkolnych musiała dużo pomagać rodzicom na gospodarstwie. Prawie wszystkie łąki koszone ręczną kosą. Pola a także skrawki lepszej ziemi w lasach były obrabiane końmi. Międzyłesie liczyło 45 domostw. Koni było około 40. Na wsiach nie było żadnego bezrobocia. Bez problemu każdy młody człowiek mógł się uczyć. Wszelkie szkoły łącznie z dojazdem były bezpłatne. Kto nie miał pracy, temu jej urzędy poszukiwały. Kto nie chciał pracować był karany. Kto się wyróżniał w pracy był nagradzany. Tak rządziła pierwsza, młoda generacja.

Nie dla nich kwitnące łąki  
I zapach świeżego siana.  
Nie dla nich piękno falujących zbóż  
I perlista rosa nad ranem.

Nie dla nich uroczy, szumiący las.  
Nie dla nich piękny wiosenny czas.  
Nie dla nich śpiew skowronków i ptasie trele.  
Nie dla nich zbieranie kwitnących ziół, których tak wiele.

Nie dla nich świergot jaskółek nad ranem.  
W samym środku natury spojrzeć w oczy kochane.

Wszystko minęło, wszystko zginęło,  
Jak kwiat rzucony woda zabrała.  
Dlaczego piękna, wiejska natura  
Swojej młodzieży nie pokochała.

Czasami kos przypomni jej głos.  
Czasami gwiazdy co pozostały.  
Czasami we śnie widzę jej urok.  
Czasami w myślach jej obraz trwały.

Od początku lat osiemdziesiątych rolnictwo w Międzyzlesiu bez młodzieży zamierało. Zdawano masowo ziemię za renty. Pod koniec tego dziesięciolecia gospodarstw rolniczych już prawie nie było. We wsi zostali tylko renciści i emeryci. Około dziesięciu lat ponad 300ha ziemi uprawnej leżało odłogiem. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych te odłogi zalesiono. Po kilku latach w nowym stuleciu w Międzyzlesiu coś ruszyło. Do tego, pięknego, leśnego środowiska ludzie wracają z miasta. Kupują wolne domy i budują nowe. Nowa, aktywna władza gminy wraz z sołtysem bardzo zatroszczyli się o tą wieś. Dwa lata temu wybudowano parking przy kościele. W zabytkowej świątyni wymieniono pokrycie dachu. We wsi ułożono kanalizację i sieć wodociągową. Następnie rozbudowano Szkołę Podstawową. Uczą się w niej dzieci z Ciborza, z Międzyzlesia, z Podłej Góry, z Zawisza i Węgrzynie. Wybudowano nową i halę sportową i stadion. Ułożono ponad 100m. Chodnika w kierunku Ciborza. Oświetlono ścieżkę ponad 400m. łączącą Międzyzlesie z Ciborzem. Przy pięknej, niezniszczalnej drodze w Międzyzlesiu dokonano przecinki lipowej palisady. Międzyzlesie pięknieje. Czyżby znowu jest nadzieja na lepsze życie? Wątpię w to. We wsi wciąż brakuje godnej, miłej i wesołej młodzieży. Brakuje dla niej także lokalu rozrywkowego. Myślę, że bez niej i bez godnej pracy i współpracy mieszkańców do Międzyzlesia nigdy nie powróci radość i piękno sprzed lat. Nadzieja na tętniące życiem Międzyzlesie wciąż jest. Być może kiedyś władze pomyślą o rozwoju turystyki. Wybudują hotel z lokalem rozrywkowym dla grzybiarzy i wędkarzy. Za parę lat w kilkaset hektarowym, młodym, mieszanym lesie iglasto – liściastym pojawi się za trzęsienie grzybów. Od Międzyzlesia do największego akwenu rybackiego nr.7 jest utwardzona droga. Wystarczy tam przeznaczyć teren na parking. Ten akwen najbardziej sprzyja rozwojowi dla ryb. Za podwyższoną opłatą wędkarze z całego województwa chętnie by go odwiedzali. Tam jest prawdziwe, leśne piękno i spokój sprzyjający na odpoczynek, o którym marzą zapracowani ludzie.

### PRZYJAŹŃ KTÓRA ŁĄCZYŁA

Po wojnie na t.z. Ziemię Odzyskaną przybywali repatrianci z różnych regionów przedwojennej Polski ze swoim obyczajem i gwarą. W wielu wsiach było po kilka takich kultur. Niezbędnie potrzebna współpraca gospodarcza szybko wszystkich zjednoczyła. Z mieszaniny mieszkańców przy współpracy powstała życzliwość i przyjaźń, która tworzyła piękno i radość życia.

W każdej wsi, każdej niedzieli młodzież bawiła się na potańcówkach. Jeden grajek z akordeonem to była cała orkiestra. Wiele ciekawskich starszych kobiet, uczestniczyło w tych imprezach. Wielu z nich przychodziło wyłącznie na poplotkowanie. Na potańcówkach nie brakowało żołnierzy z Ciborza. Wieczorami rozlegał się śpiew, który można było usłyszeć z sąsiedniej wsi. Wieś tętniła życiem, młodością i radością. Wielu żołnierzy i oficerów pożeniło się na wsi. W PGR-ach ludzie żyli jeszcze dostatniej. Mieli więcej czasu na odpoczynek. Często tam organizowano huczne zabawy z udziałem orkiestry. Młodzież była zdyscyplinowana, pracowita i grzeczna. O żadnych poważniejszych bijatykach nie słyszano. Każdego roku organizowano dla niej imprezy na leśnej strzelnicy koło Ciborza. Dla wszystkich uczestników imprezy i gości częstowano za darmo smakowitą grochówką. Podczas takich imprez było wiele przyjemnych przygód i wrażeń. W tym okresie młodzież wiejska nie marzyła o ucieczce do miasta. Do szkół dojeżdżała za darmo. Każdy za darmo mógł ukończyć wyższą uczelnię. Po jej ukończeniu, każdy miał zapewnioną pracę i stanowisko. W miastach też nie było bezrobocia.

W Międzyzlesiu zamieszkało kilku osadników, jako weterani II Wojny Światowej. Jednym z nich był Bronisław Ciechanowicz. Posiadał wyjątkowo silny i piękny głos. Jego śpiewem zachwycano się całe Międzyzlesie. Upiększał nim uroczystości weselne, imieninowe i przeróżne spotkania towarzyskie. Kiedy w letnie, spokojne wieczory słyszałem Go donośny śpiew, chwyciłem za akordeon i wtórowałem wspianemu soliście. Śpiewane uroczyste piosenki, grane melodie mknęły het przez pola i koronami sosnowych lasów, aż do sąsiednich wsi. Myślę, że tak piękne czasy uroczej, powojennej młodości, przyszłe, młode pokolenia nie potrafią w Międzyzlesiu powtórzyć.

## CIBÓRZ W LATACH 1948 - 1958

Dywizja artylerii Armii Czerwonej opuściła Cibórz wiosną 1948 roku. Zaraz po niej koszary zagospodarowała polska jednostka wojskowa nr. 2462. W lipcu tego roku, zostałem w niej zatrudniony w brygadzie budowlanej jako pomocnik elektryka. Początkowo oczyszczaliśmy bloki z wielkiego bałaganu po byłych wojownikach. Potem uczyłem się i pracowałem w zawodzie elektryka. Podziwiałem oficerskie kasyno. Zawsze przed zabawą sylwestrową dekorowaliśmy z żołnierzami salę różnymi świecidełkami. Na głównej sali rozrywkowej były cztery kute, ogromne żyrandole. Do wymiany żarówek i podczepianie na nich dekoracji, opuszczałem je na linie ze strychu, gdzie były mocowane. Każdy z nich ważył około 30kg. Na podczepionej sieci maskującej sprzęt wojskowy, zawieszaliśmy różne dekoracje. W noc sylwestrową pracownicy brygady konserwacyjnej bawili się razem z oficerskimi rodzinami. Na piętrze kasyna znajdowała się kuchnia. Na parterze stołówka oficerska. Windą spożywczą dostarczano dania na stołówkę i dla gości imprez. Bufet zawsze był obficie zaopatrzony. W odrębnym budynku było kasyno podoficerskie. Na jego poddaszu kwaterowała orkiestra pułkowa. Grając często maszerowała ona krętymi, asfaltowymi drogami po Ciborzu.. Nie zapomnianym wrażeniem był mały kucyk ciągnący na kółkach ogromny bęben. Uderzał w niego mały kadet Kućko ze Skąpego. Ogromne głośniki rozwieszone na słupach rozweselały muzyką Szpilmana wojskowe życie w Ciborzu. Kantyna dla wszystkich była bogato zaopatrzona. Każdą niedzielę w Międzylesiu była potańcówka. Jako tylko jeden grajek ja przygrywałem na akordeonie. W tej funkcji często mnie wyręczali żołnierze. .Na każdej potańcówce od nich się roilo. Wiele z nich ożeniło się zabierając nam ładne dziewczyny.

W roku 1951 wojskowa firma budowlana wybudowała blok nr. 77 dla rodzin wojskowych. Odbudowała także spalony przez rosyjskich żołnierzy blok dla rodzin oficerskich. Codziennie żony oficerów odwiedzały Międzylesie w celu zakupów świeżych artykułów spożywczych od rolników.

W końcowych latach w Ciborzu 13 Pułkiem Piechoty dowodzili: mjr Kliszko, mjr Boryło, ppłk Czerwiński, ppłk Iwanowski. Szefem sztabu był mjr Bębenek.

## TRAGICZNA RANDKA

W roku 1952 w lesie za strzelnicą wybudowano prochownię. Składała się ona z dużego magazynu amunicyjnego, budynku biurowego, wartowni i paru małych obiektów. Teren prochowni był ogrodzony 3-metrowej wysokości płotem z drutu kolczastego. Prochownia była szczególnie chroniona przez wartowników przez całą dobę. Przez lata pięćdziesiąte trwała zimna wojna z zachodem. Przez to w wojsku była zaostrzona czujność.



*Były magazyn prochowni. Rok 2001*





*Była strażnica prochowni. Przez 20 lat mieszkał w niej gajowy pan Romaniuk z rodziną. Zdjęcie z roku 2001.*

Jednym z pierwszych lekarzy po wojnie w Świebodzinie był Jerzy Małuja. Latem 1953 roku po dyżurze wybrał się do Ołoboku odwiedzić znajomą dziewczynę. Razem z nią wybrali się „dekawką” na randkę. W Rokitnicy skręcili w lewo. Jadąc szosą przez las zjechali z niej w leśną dróżkę. Byli w ogóle nieświadomi, że w odległości 300 m, od szosy, znajduje się jakiś obiekt wojskowy. Robiła się szarówka. Ujechali paręset metry. Spostrzegli w lesie uzbrojonych ludzi. Ich pierwszą reakcją była ucieczka. Zawrócili w kierunku szosy. Ujechali ją około 150 m. w kierunku Skąpego. Tam lekarz został trafiony pociskiem z RKM-u. Zatrzymał się na poboczu i wkrótce zmarł. Przerażona dziewczyna opuściła samochód i nocą lasami forsując strumyk dotarła do Ołoboku.

W miejscu przy drodze, gdzie zginął lekarz, postawiono upamiętniający, akacjowy krzyż. Umieszczona na nim była tabliczka z datą jego tragicznej śmierci. Do końca lat siedemdziesiątych zawsze na krzyżu i pod krzyżem pojawiały się świeże kwiaty. Na początku lat osiemdziesiątych krzyż spróchniał i wywrócił się. Po pamiętce tragedii pierwszego, powojennego lekarza Jerzego Małuji czas zatarł ślad. Kiedy pisałem te wspomnienia dziewczyna z Ołoboku uczestnicząca w wypadku tragedii żyła.

## **POŻEGNANIE Z WOJSKIEM**

W maju 1958 roku żegnaliśmy w Ciborzu wojsko, a wraz z nim wspianego porucznika Dobrzyńskiego, kierownika naszej cywilnej grupy remontowej. Witaliśmy natomiast dyrektorów: Lewandowskiego i jego zastępcę Wawszczaka, jako organizatorów szpitala w Ciborzu. Warto także wspomnieć młodziutkiego wówczas chłopaka po szkole średniej Franciszka Fornalewskiego, który także włożył wielki wkład w jego organizowanie. Przez wiele lat był bardzo znaną i cenioną osobą na godnym stanowisku w szpitalu.

Szpital zapewnił wiele miejsc pracy dla okolicznych mieszkańców wsi, a nawet także dla wielu mieszkańców miasta Świebodzin. Naszą brygadę konserwacyjno -remontową także przekazano szpitalowi. Zaczęto od najważniejszych robót ogrodzeniowych terenu szpitala dwumetrowej wysokości siatką na słupkach betonowych. Przedwojenny, podwójny płot był w ruinie. Od strony Międzylesia zrobiono bramkę dla pieszych ze stróżówką. Ja przez pierwsze dwa lata byłem nadal jedynym elektrykiem -konserwatorem. Pewnego razu od władzy szpitalnej otrzymałem polecenie zdemontowanie czterech ogromnych, kutych żyrandoli w byłym oficerskim kasynie na sali głównej w celu ich oczyszczenia. Po demontażu już ich nie widziałem na oczy. Piękna sala bez pięknych zabytków utraciła bezpowrotnie swój urok.

Czytałem na gminnej witrynie internetowej historię Ciborza. Ktoś autora wprowadził w błąd. Nie ma innej prawdy o wspomnianych zabytkach, którą przedstawiłem wyżej. Byłem naocznym świadkiem ich zaginięcia. Oczywiście, wiedziałem także, że wojsko polskie wydobyło z dna jeziora duży żyrandol i inny sprzęt. Los tego żyrandola nie był znany. Z relacji przedwojennego kowala z Międzylesia wynika, że wiele sprzętu z Tiborlager było zatopione w jeziorze przez Niemców.

Przez pół wieku istnienia szpitala w Ciborzu rozbudowano bazę mieszkaniową. Myślę, że mieszkańcy cieszą się pięknem otaczającej natury. Przed wojną koszary budowano w dwudziestoletnim lesie, który rosnąc przez dziesiątki lat był świadkiem-niemową wielu ciekawych nie wyjaśnionych tajemnic Tiborlager. Obecnie Cibórz szumi potężnym, dziewięćdziesięcioletnim, sosnowym lasem i legendą minionych dziejów.

## HISTORIA KOŚCIOŁA W MIĘDZYLESIU

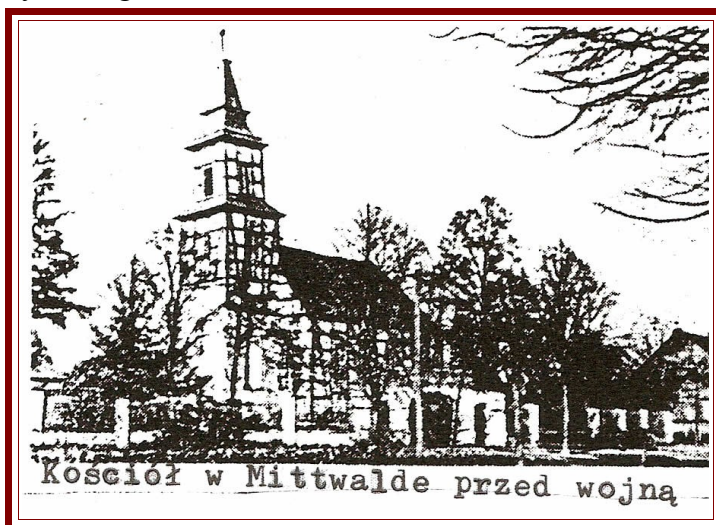
Odrzańskie wyspy należące do Wrocławia w wieku XIII odegrały ogromną rolę. Na Ostrowie Tumskim, znajdowało się centrum kościelne dla Wrocławia i całego Śląska. Miał tam także swoją posiadłość Henryk I Brodaty (1202 – 1238). Jego księstwo od Wrocławia, sięgało aż do Świebodzina. Z jego inicjatywy i z pomocą klasztoru cysterek z Trzebnicy wybudowano wiele kościołów. Na naszym terenie na południe od Świebodzina ufundowane zostały kościoły: w Ołoboku, Węgrzynicach, Borowie, Łąkie, Rudgierzewicach, Rokitnicy, Skąpem, Darnawie, Podłej Górze. Także w Międzylesiu wybudowano kościół pod wezwaniem św. Wawrzyńca. Był on też własnością cysterek z Trzebnicy. W powołanym dokumencie z 1308 roku został włączony do diecezji poznańskiej. Kościół ten w wieku XVII posiadał: plebanię, pola uprawne, łąkę i las. Czerpał kapitały i daniny także z osady Przetocznica. Klasztor trzebnicki był osobiście ufundowany przez Henryka Brodatego i jego żonę Jadwigę. W roku 1218 oficjalnie przyjęty do zakonu cysterskiego. Na obszarze świebodzińskim cysterki posiadały wiele dóbr. Największe ich nadania miały miejsca w latach 1216 – 1235. Na własność klasztoru przechodziły: wsie, majątki, lasy, pola, jeziora. Dochodami cysterek były: czynsze, dziesięciny, wpływy z młynów, z połowu ryb, sprzedaży zbóż, opłaty za karczmy, wypasu trzody chlewnej, sprzedaży wełny i inne. Od początku XVIII wieku, funkcjonował w Skąpem browar klasztorny. Darnawa posiadała prawa warzenia piwa. Miasto Świebodzin zawdzięczało cysterkom młyn piekarski koło Skąpego, dzierżawiony od nich na początku XVI wieku. Ostatecznie został od nich wykupiony w roku 1675.

W wieku XVII podczas wojny trzydziestoletniej, Flamandowie zrabowali i spalili kościół w Międzylesiu. W późniejszym okresie wojen, a także w czasie wojny północnej, siedmioletniej obce wojska dokonały wiele spustoszeń w dobrach klasztoru Trzebnicy. Po prawie 600 latach ogólnopanstwowym edyktem z 1810 roku z sekularyzowano dobra trzebnickie na obszarze świebodzińskim, oddając je w ręce hr. Fryderyka Bogusława von Tauenziena z Borku pod Sulechowem. On i jego następcy, wyprzedali poszczególne części majątku rozbijając dawny kompleks dóbr cysterskich. Do dzisiaj pozostały jednak materialne ślady cysterek w okolicy Świebodzina i na południe od niego. Są to kościoły późnogotyckie w Radoszynie, Chociulach, oraz barokowy kościół w Ołoboku. Były one ostatnią fundacją opatki Dominiki von Giller.

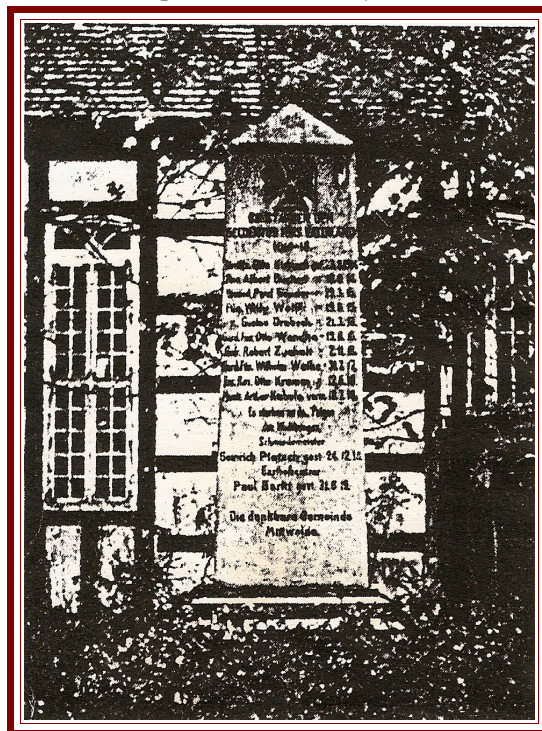
Międzylesie przez ponad 100 lat nie miało kościoła, po jego zniszczeniu przez Flamandów. Wyznawcy kościoła ewangelickiego uczęszczali na nabożeństwo aż do Sycowic. Katolicy uczęszczali na mszę do Ołoboku. Dopiero na początku trzydziestych lat XIX wieku, zapadła decyzja budowy kościoła katolickiego w Międzylesiu. Ówczesny ks. Proboszcz Seidel z Ołoboku, podjął się finansowania tej budowy.

Z opowiadania niemieckiego kowala Paula Galke wynika, że pierwotny kościół był wybudowany w środku wsi. Na placu tym pozostało jeszcze 5 kilku wiecznych wiązków. Być może one jeszcze pamiętają kościół z XVII wieku. Wiązków ponoć było 12, którymi był obsadzony plac

kościelny. Umierać zaczęły na początku XX wieku. Plac ten tworzy nieckę. Co 50 lat był podtapiany śnieżnymi roztopami. Temu zjawisku sprzyjało to, że w zimie grunt bez śniegu głęboko zamarzał, a później obficie padał. Podczas roztopów woda nie wsiąkała. Spływając z pól podtapiała plac, część drogi i kilka piwnic w domach. Ostatnie takie pod topy miały miejsce w 1946 i 1996 roku. Z tego powodu istniejący kościół nie został zbudowany na tym samym placu. Lokalizację na jego budowę wyznaczono na nieco wyższym terenie. Dla zabezpieczenia się przed niespodziankami, kościół wybudowano na specjalnym nasypie. Świadczą o tym skarpy, bardzo widoczne z trzech stron placu kościelnego. Urobek ziemi na sztuczną górkę wykorzystano z kopanego wąwozu na wzniesieniu od południowej strony wsi. W wąwozie tym wybudowano brukowaną drogę. Skracala ona dojazd do łąk i do wsi Przetoczna. Budowę kościoła ukończono w 1834 roku. Na ogrodzonym przykościelnym placu założono cmentarz dla wiernych zasłużonych kościołowi. Po Pierwszej Wojnie Światowej postawiono pomnik ku pamięci poległych pośrednio i bezpośrednio w czasie wojny dla mieszkańców Mittwalde. W roku 1938 została przebudowana wieża, która była pochylona i groziła zawaleniu.



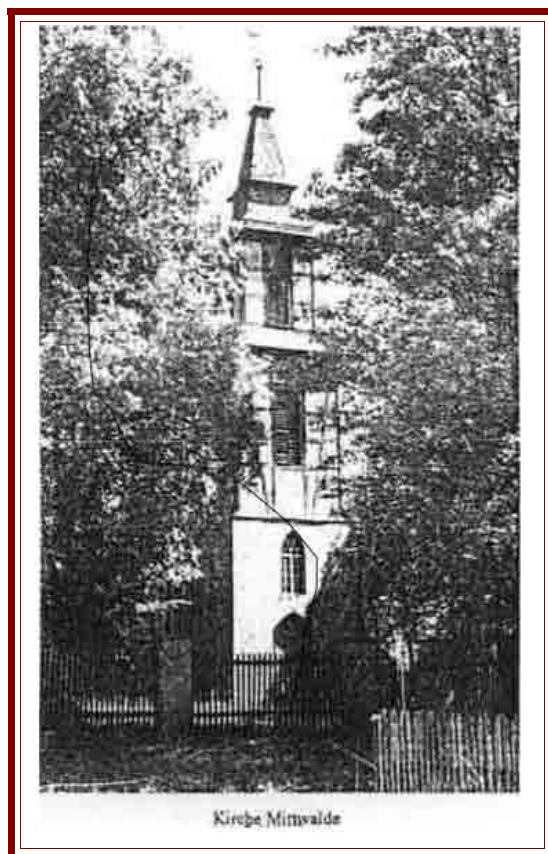
*Przed przebudową wieży. Rok 1938*



*Przy kościele pomnik poległych w I Wojnie Światowej*



Po wojnie w 1945 roku zastałem kościół bogato wyposażony. Na chórze zdobione rzeźbami organy. Ogromny żyrandol w nawie. (w roku 1976 przerobiłem go na elektryczny). Drugi żyrandol w prezbiterium w kształcie korony. Oba były opuszczane do zapalania świec. Po lewej stronie prezbiterium była zakrystia, z kompletnym zabytkowym wyposażeniem. Na ścianie zakrystii była piękna, zdobiona ambona. Na ścianie wschodniej obok ołtarza, wmurowany kamień upamiętniający fundatora kościoła. Ołtarz niski, zdobiony po obu stronach imitacją winorośli. Cała imitacja była wytłaczana z blachy mosiężnej. Na ołtarzu zawsze stały dwa lichtarze żelazne z inskrypcją: „J.G. Kubisch 1842”.



*Zdjęcie przed wymianą pokrycia wieży. Rok 1995.*

Na ścianie za ołtarzem wkomponowane dwa wysokie, zdobione filary. Na ich zwieńczeniu znajdowało się „Oko Opatrzności”, ze złocistymi promieniami. Pod nim znajdował się owalny emblemat. Obrzeża jego były dekorowane złocistymi listkami. W środku emblematu gotyckie cyfry złożone „1834”. Nad ołtarzem między filarami umieszczony był obraz „Ostatnia Wieczerza”. Na wieży zegar odmierzał czas. Nakręcany on był przez Wanię, ordynansa majora -prokuratora. Który kwaterował w domu przy kościele. Korona wieży pod kopułą na kwadratowym zakończeniu składała się z 12 trójkątów, które podczas dni słonecznych lśniły złotym, olśniewającym blaskiem. Robiły wrażenie jak gdyby korona płonęła. Duży strych kościelny ugiął się od sakralnych zabytków.

Pierwszy, poważny remont kościoła odbył się w 1938 roku. Po przeszło stu latach od wybudowania wieża uległa pochyleniu. Pruski mur nie utrzymał jej ciężaru. Przy jej remoncie, w dużym stopniu pomagali niemieccy żołnierze z Tiborlager. Nową kruchtę i wieżę wybudowano od fundamentów. Wieżę pokryto tym samym łupkiem jakiego używano do pokrycia dachu kasyna oficerskiego w koszarach.

Po wojnie przez cały czas pobytu Armii Czerwonej w Międzylesiu, kościół stał

otworem. Często na organach grał ordynans majora – prokuratora Wania. Pomagał mu w tym jego kolega kucharz majora deptając nożny miech na dmuchowy. W letnie dni wieczorami płynęła po Międzyzlesiu organowa muzyka. Przede wszystkim rozlegała się melodia „kaciuszy” i innych melodii wojennych piosenek. Wania z nudów z podwórka często strzelał z mausera. Irytowała go podczas słonecznych dni świecąca złotym, jaskrawym blaskiem korona wieży. Chciał zestrzelić jedno ze świecidełek. Strzelił kilka razy do jednego z trójkątów. Nie spadł on jednak, lecz przewrócił się do wewnątrz korony. Zrezygnował z trójkątów i strzelił kilka razy do kopuły pod krzyżem. Przez co ucierpiały schowane tam dokumenty. Po za tym, żadne wyposażenia sakralne w kościele nie były naruszone.

Po opuszczeniu Międzyzlesia przez Armię Czerwoną kościół zaczął funkcjonować. Co dwa tygodnie była odprawiana msza święta. Każdy chłop w kolejności wozem „żeleźniakiem” przywoził księdza. Był nim autochton ks. proboszcz Janoszek z Ołoboku. Na koniec roku 1949 powstała parafia w Skąpem. Był w niej pierwszym proboszczem ks. Mieczysław Haniewski. Na początku roku 1950 w kościele w Międzyzlesiu pierwszy raz do mszy zagrały organy. Grał na nich kapral Popławski z jed. wojsk. w Ciborzu Przez cały okres służby uświetniał kościelne uroczystości muzyką organową. Po jego odejściu do cywila zginęły piszczałki pierwszego, ozdobnego rejestru. By zakryć widoczne szpetne braki, jeden z mieszkańców z Międzyzlesie pan Paszkiewicz wystrugał drewnianą imitację piszczałek i pomalował srebrną farbą.

Kościół w Międzyzlesiu nie posiadał instalacji elektrycznej. Zelektryfikowałem go w 1961 roku. W 1963 roku z pomocą ks. Trościańczyka zbudowano z kamieni i betonu podpórę. Chroniła ona ścianę wschodnią przed zawaleniem. W roku 1973 została ona wzmocniona przez dobudowę drugiej ściany od strony zewnętrznej. Podczas tej dobudówki usunięto kamień upamiętniający fundatora kościoła. W roku 1976 zlikwidowano niemiecki cmentarz na placu kościelnym. W tym samym roku z panem doktorem Maciejewskim z Ciborza, przez kilka tygodni po pracy remontowaliśmy organy. Nadmuchiłem z deptanego miecha przerobiłem na elektryczny. Jakież piękny był ten okres po wyremontowaniu organów. Jakże pięknie pan doktor na nich gra. W kościele rozbrzmiewała muzyka Mozarta, Bacha i wielu innych najsłynniejszych kompozytorów świata. W każdą niedzielę i święta wierni nie mieścili się w kościele. W tym okresie do kościoła uczęszczali wierni nie tylko z Międzyzlesia lecz także z Ciborza, z Podłej Góry i z Zawisza. Długo nie cieszyliśmy się piękną muzyką. Pan dr Maciejewski pożegnał się ze światem, zostawiając nas w wielkim smutku. Organy zamilkły. Kościół w Międzyzlesiu utracił swoje piękno. Zabytki od lat siedemdziesiątych ginęły. Na początku lat dziewięćdziesiątych i piszczałki organów zginęły. W roku 1996 podczas wymiany pokrycia dachu wieży, pozłacana korona wieży z dwunastu trójkątów też zginęła. Dla otumanienia wiernych podczas remontu wieży oryginalne trójkąty zastąpiono ośmioma po jednym w każdym rogu z cienkiej blachy mosiężnej. Nie przetrwały one 10 lat. Wiatr po kolei wszystkie wywiał. Zabytki, które pozostały w naszym kościele po wojnie, przewyższały wartość samego kościoła.

Cóż z tego, że ja mógłbym wiedzieć o tajemnicach zaginięcia zabytków, skoro jestem za słaby, by stawiać silniejszym czoła.

Tabliczka na ścianie kościoła informuje, że to jest zabytek. No a cóż jest wart stary zniszczony zabytek bez zabytków?

Podczas remontu wieży w 1996 roku w kopule pod krzyżem znaleziono dokumenty. Pochodziły one z 1834 i 1938 roku. Treść dokumentów została przetłumaczona z języka niemieckiego na polski przez mgr. Włodzimierza Zarzyckiego zamieszkałego w Świebodzinie. Uszkodzoną treść przez przestrzelenie kopuły przez Wanię oznaczono kropkami.

### ***Treść dokumentu z kopuły z 1834 roku (Tłumaczenie).***

*Istniejący tu w Międzyzlesiu katolicki kościół, padł ofiarą rabunku Flamandów w XVII wieku.*

*(Prawdopodobnie w czasie wojny trzydziestoletniej) i nie było środków, by go odbudować. Ci mieszkańcy gminy, którzy przeszli do kościoła ewangelickiego, musieli się trzymać odległych kościołów, a ostatnio kościoła w Sycowicach, zaś ci religii katolickiej przynależeli do kościoła macierzystego w Ołoboku.*

*Tutejszy, bardzo czcigodny proboszcz pan Seidel, w ciągu 40-letniego, wiernego sprawowanie urzędu, tak znakomicie administrował majątkiem kościelnym, że stało się możliwe wybudować w tych latach nowego kościoła z wieżą i nowym dzwonem, jak również przyozdobić go nowymi organami. Lecz nie tylko za dobre zarządzanie majątkiem, należą się panu Seidelowi dzięki, on również..... dla chrześcijaństwa się przyczynił, tak że kościół..... i wszelkie.....prace..... Wszystkie podwoły i prace rzemieślnicze i oto zostaje złożone to pismo podczas dzisiejszego, uroczystego ustawiania gąłki na wieży. Z prośbą do Wszechmogącego Boga, by te dzieło łaskawie ochraniał i z życzeniem by temu kościołowi trwały i jeszcze bardziej rozwijały się chrześcijańskie pobożne i prawe przemiany w całej gminie.*

*Działo się w Międzyzlesiu 5 października 1834 roku.*

*Królewski radca prawny. Dziedziczny pan na Rakowie.*

*Rokitnicy i Międzyzlesia.*

*Patron (protektor)*

*Albert Metke, syn patrona*

*Seidel proboszcz*

*Johann Gottlieb Metke*

*lat 76, ojciec patrona*

*Z podziękowaniem Panu Bogu i naszemu panu dziedzicowi, królewskiemu radcy prawnemu Metke z Frankfurtu nad Odrą i katolickiemu panu proboszczowi Seidelowi z Ołoboku, jako fundatorowi tej budowli tutejszego kościoła, sporządzamy.....dla naszych potomków. Obecnie właśnie jest wymieniony królewski radca prawny pan Mettke z Frankfurtu naszym dziedzicem i patronem (protektorem kościoła).*

*Mieszkańcami tutejszej gminy są:*

*Czterech sołtysów lennych*

- 1. Christian Kittel*
- 2. Witt Kubisch*
- 3. Gottlieb Rulsnitz*
- 4. Christian John*

*II. Piętnastu rolników*

- 1. Franz Stenger – jest jedynym katolikiem, pozostali są ewangelici*
- 2. Gottlieb Kramm*
- 3. George Kubisch*
- 4. Christian Bleschke*
- 5. Gottfried Hann*
- 6. George Kubisch*
- 7. Gottlieb Kubisch*
- 8. Johan George Laub*
- 9. Gottlieb Hilsnitz*
- 10. Christopoh Drapsch*
- 11. Gottlieb Kubisch*
- 12. Gottfried Fenchel*
- 13. Christian Drapsch Kruger*
- 14. Johann George Wudderitz*
- 15. Christian Drabsch*



- III      *Ogrodnicy*
1. *Christian Kubisch*
  2. *Gottlieb Hahn*
  3. *Christian Fenchel*
  4. *Friedrich Hulsnitz*
  5. *Gotfied .....ller*
  6. *Ernst Hilsnitz*
  7. *Samuel Hos....*
  8. *Gottfried Preus*
  9. *George Martin*
  10. *Gottlieb Kube*
  11. *Gottfried Kube*

- IV.      *Ośmiu kupców*
1. *George Preus*
  2. *George Drapsch*
  3. *Christian Kubale*
  4. *George Rau*
  5. *Gottleg Kubisch*
  6. *Karoline Schwabe*
  7. *Christian Hahn*
  8. *Gottlieb.....mann*

*Obecny dzierżawca nazywa się Antoni W.....nn*

*Nauczyciel Gottlieb Heiland*

*Ceny zbóż*

1. *Pół korca pszenicy warte jest    1 talar 15 gr.*
2. *Pół korca grochu                    1 talar 7 gr.*
3. *Pół korca żyta                        1 talar*
4. *Pół korca jęczmienia                .....22 gr.*
5. *Pół korca owsa warte jest    75 gr.*

*Przy budowie kościoła sołtysi lenni, oraz rolnicy dostarczali wszystkie podwody, a ogrodnicy i kupcy wykonywali wszelkie prace rzemieślnicze.*

*Międzylesie 5 października 1834 rok.*

*Kittel – sołtys*

*Hilsnitz*

*John Drabsch*

*Budowa została wykonana:*

- 1 *Przez cieślę Schwidta ze Świebodzina*
- 2 *Przez mistrza murarskiego pana Kramma z Lubinicka.*

*Delegaci radni  
(Gerichten)*

### ***Treść dokumentu z roku 1938 (tłumaczenie)***

*W roku Wielkich Niemiec, w szóstym roku Trzeciej Rzeszy w roku 1938 w/g chrześcijańskiej rachuby czasu, trzeba było przy wieży kościoła w Międzylesiu, która z upływem lat niebezpiecznie się pochylała dokonać przebudowy. Symbolem naszej wioski, krzywa wieża, która się jako miły widok wbiła w naszą pamięć, przestała spełniać konieczność zapewnienia bezpieczeństwa życia ludzkiego. Jako niemieccy ludzie, którzy mamy to szczęście żyć we wspaniałych i wielkich czasach naszej ojczyzny, mamy nadzieję i życzymy nam wszystkim, aby ta nowa budowla dla każdego członka społeczności narodowej stała się wielkim, przyszłym symbolem*

niemieckiej pracowitości i siły niemieckiego ducha. Nasza wioska, która została zbudowana przez naszych przodków, jako ostoja niemieckości na wschodzie otrzymała podkreślenia as2ego znaczenia w wymiarze, który napawa nas dumą, gdyż w bezpośrednim sąsiedztwie w obrębie terenów Międzyleskich powstał (garnizon) w Ciborzu, który ze swoimi strategicznymi urządzeniami (kanał, bunkry itp.) tworzy silny bastion przeciw wrogowi ze wschodu. W chwili obecnej stacjonuje tam jeden batalion saperów i jeden batalion strzelców motocyklowych. Jakie znaczenie będzie miał ten obóz (garnizon) w przyszłości dla Międzylesia jeszcze nie jest do przewidzenia.

Obecnie nasza gmina liczy 324 mieszkańców. W tej liczbie objęci są mieszkańcy Ciborza, podlegający obowiązkowi meldunkowemu. Wioska Międzylesie liczy 271 osób. Burmistrzem jest dożywotnio Barthold Kittel, który piastuje swój urząd od 3 kwietnia 1910 roku. Ilość lat, którą nie często się spotyka. Zastępcami są następujące panowie:

1. Kurt Smolke
2. Otto Kubale
3. Herbert Batrtsch
4. Paul Wachner
5. Otto Drabsch
6. Robert Hulsnitz

Od 1 do czterech wpisani są panowie, którzy posiadają funkcje radnych.

Zmarli śmiercią bohaterską za ojczyznę 1914-1918 roku.

1. Podoficer – Otto Kubisch
2. Rezerwista – Albert Buckert
3. Grenadier- Paul Hausler
4. Fizylier – Willi Wolf
5. Fizylier gwardii – Otto Wandke
6. Fizylier – Gustaw Drabsch
7. Kapral - Robert Zucheld
8. Fizylier gwardii – Wilhelm Weis
9. Rezerwista – Otto Kram
10. Artur Kubale

Na skutek I Wojny Światowej zmarli:

- 1 Mistrz krawiecki – Heinrich Fietsch
- 2 Właściciel gospody – Paul Herkt

Ceny płodów rolnych:

1. Cetnar żyta 8,45 marek
2. Cetnar owsa 8,20 marek
3. Cetnar jęczmienia 9,.....
4. Cetnar ziemniaków 2-2,43 marek

Kierownikiem miejscowej grupy NSDAP (Narodowo-Socjalistyczna Partia Pracy), Jest Otto Kubale. Grupa miejscowa NSDAP liczy 18 członków. Kierownikiem organizacji chłopskiej jest rolnik Kurt Schmilke. Międzylesie ma 18 rolników. Kierownikiem miejscowej MSV jest nauczyciel Helmut Schmolke. Istnieją jeszcze następujące organizacje: S.A. - BOM (Związek Niemieckich Dziewcząt), ich przywódczynią jest Irma Kittel. Hitlerjugend (HJ) – młodsze dziewczęta i chłopcy.

Prace rzemieślnicze i pozostałe, które w związku z przebudową wieży musiały być wykonane, zostały opłacone przez gminę Międzylesie na sumę 500 marek.

Jest to dla nas nie mała radość, że wieża, którą wybudowali nasi przodkowie jako budowlę szachulcową nie została usunięta lecz, że poprzez jej przebudowę kształt wieży został zachowany.

*Podziękowania należą się naszemu wodzowi Adolfowi Hitlerowi, gdyż on swoimi wielkimi czynami i swoją twórczą siłą, zapewnia niemieckiemu istnieniu, niemieckim dzieciom i niemieckim pomnikom kultury trwałość na dalszą przyszłość.*

*Międzylesie, 24 listopada 1938 roku*

*Podpisali:*

*Barthold Kittel - burmistrz*

*Paul Wachner - zastępca*

*Robert Hulsnitz - zastępca*

*Otto Drabsch – radny gminy*

*Herbetr Bartsch – radny gminy*

*Kurt Schmolke – radny gminy*

*Otto Kubale – radny gminy*

*Budowa została wykonana przez F. Roberta Matten z Cigacic.*

*Budowę rozpoczęto w połowie września, a ukończono z końcem listopada.*

*14 listopada 1938 rok*

*R. Matten*

Po wymianie pokrycia dachu na wieży w roku 1996 do oryginalnych niemieckich dokumentów w kopule, dołączono także polski dokument.



*Obecny kościół w Międzylesiu rok 2005*



## JEZIORO CIBORZE

Położenie: na pld. wschód od Międzylesia, gminy Skąpe, w dorzeczu rzeczki ołobockiej.

Powierzchnia około – 35 ha

Brzeg klifowy – 3.640 m.

Brzeg płaski – 260 m.

Brzeg bagnisty – 340 m.

Długość maksymalna – 1.570 m.

Głębokość maksymalna – 9 m.

Do roku 1965, dominowały w nim ryby jak: sandacz, szczupak, leszcz, lin, okoń. Prócz tych gatunków było wiele różnych ryb mniej atrakcyjnych. W wyniku działalności człowieka pierwotny charakter jeziora uległ całkowitemu przeobrażeniu. W latach trzydziestych dolina ołobocka została przegrodzona budowlami piętrzącymi wodę, o przeznaczeniu strategicznym na całej długości rzeczki ołobockiej. Spowodowało to powstanie dużego zlewu, w którego granicach znalazło się jezioro. Pierwotne jezioro nie było dostatecznie natlenione. Jedynie rów o długości 1.700 m. Swą źródlaną wodą płynącą z łąk, minimalnie natleniał jezioro. Niemcy budując koszary w Ciborzu i umocnienia nad strumykiem, pomyśleli o dotlenianiu jeziora. Pierwotny strumyk odprowadzający z jezior do rzeczki ołobockiej, nie wpływał na dotlenianie jego wód. Od rzeczki do jeziora przekopano kanał o długości 150 m. i szer. 5 m., oraz głębokości 2 m. Ten kanał spełnił życiodajną rolę dla ryb i roślinności w jeziorze. Wybudowana tama tuż za jeziorem podnosiła w nim poziom wody około 2 m. Przy manipulacji mechanizmem tamy w ciągu tygodnia, można było całkowicie wymienić wodę w jeziorze. Do póki ten kanał nie został odcięty groblą, ryby zadziwiająco się rozmnażały. Strefa brzegowa i rozlewiska była bogata w różnorodną roślinność wodną.

Gdy po wojnie pierwszy raz z kuzynem Bolesławem pojawiliśmy się z prymitywnymi wędkami nad jeziorem, to nie chciało się wierzyć. Dookoła woda wrzała od ryb. Połów mieliśmy niesamowity. Z przynęty zasypywanej nikt nie korzystał, ani dobrze na niej się nie znał.

Do roku 1958 jezioro należało pod teren wojskowy. Cywilom wstęp na jezioro był zabroniony. Tylko pracownicy cywilni zatrudnieni w tejże jednostce mogli przebywać nad jeziorem i wędkować. Ja z kuzynem do nich należałem.

W marcowy poranek 1949 roku wybrałem się z nim powędkować. Jezioro przy samym brzegu było lekko ścięte lodem. Mieliśmy już wędki z żyłek, a wędziska z leszczyny. W ciągu pół godziny łowienia na rosówki, mieliśmy kilka dużych okoni i dwa leszcze, każdy około 2 kg.. Kiedy zahaczyła mi się następna duża ryba, nie doholowałem ją do brzegu. Urwała mi żyłkę przy samym wędzisku. Byłem w rozpacz po utraconej pierwszej wędki z żyłki. Co jakiś czas oddalający się spławik pokazywał się na powierzchni wody. Po drugiej stronie jeziora dostrzegłem wojskowy kajak. Wyruszyłem więc po niego. W tym czasie łąki nie były zalane wodą. By sforsować zamulony strumyk wpadający z łąk do jeziora, musiałem zdjąć buty i spodnie. Kiedy znalazłem się pierwszy raz i to w blaszanym kajaku, pływanie na nim nie bardzo mi wychodziło. Na środkowej odległości brzegów, z prawej strony kajaka wynurzył się spławik. Zrobiłem za ostry manewr lewym wiosłem. Kajak się wywrócił. Przerażony niepotrzebnie go odwróciłem, kiedy miał pod sobą powietrze. Kajak tonął. Ja słabo umiałem pływać. Czapka, rogatywka wojskowa została na wodzie. Próbowałem zdjąć marynarkę utrzymując się na wodzie. Nie powiodło się. Była przylepiona do ciała. Nasiąknięta wodą razem z kieszeniami ciągnęła mnie na dno. Wiedziałem że nadchodzi kres i nie mam żadnego ratunku. Krzyknąłem, że tonę. Kuzyn w rozpacz, bezradny oglądał tragiczną scenę. W ostatniej chwili rozpacz przypomniła mi się porada rosyjskiego partyzanta, że najłatwiej i najbezpieczniej pływa się na wznak. Resztką sił obróciłem się. Poczułem, że płynie się lżej. Płynąc tym stylem nie widziałem w jakim jestem miejscu i czy podążam we właściwym kierunku.

Poczułem znowu, że siły mnie opuszczają i z pewnością utonę. Zmęczone nogi zaczęły opadać. Tylko rękami utrzymywałem głowę na powierzchni wody. Poczułem, że mam grunt pod nogami. Nie miałem już siły, by od niego się odbić. Prąd wody ciągnął mnie na głębinę. Kuzyn widząc moją rozpaczliwą walkę o życie, wszedł ile mógł do wody i podał mi wędzisko. Szybko rozpaliliśmy ognisko, by się ogrzać i podsuszyć ubrania.

Na drugi dzień w poniedziałek, na apelu pracowników zjawił się sierżant z którym dobrze się znałem. On podczas mojego dramatu wędkował na drugim brzegu. Oglądał moją dramatyczną walkę o życie. Bardzo przeżywał, że był bezradny, by mi podążyć na ratunek. W pobliżu nie było żadnej łodzi. Patrzył z zegarkiem na rękę, że mój dramat w walce o życie trwał 18 minut. Płynąc do brzegu dwukrotnie zmieniałem niewłaściwy kierunek. Podziękowałem mu za współczucie. Wyjaśniłem także, że to nie pierwszy raz unikałem śmierci.

Na jednej połowie jeziora wojsko co roku niewodem odławiało ryby. Drugiej połowy od strony Międzyzlesie nigdy nie ruszali. Musieli wiedzieć, że tam był zatopiony niemiecki sprzęt wojskowy zagrażający sieciom. Z opowiadań niemieckiego kowala Paula Galke wynikało, że gdy do umocnień zbliżał się front, Niemcy w Ciborzu nad wąwozem wysadzili drewniany mostek. W celu wywieżenia nim zbędnego sprzętu wojskowego na łód jeziora, by go tam wysadzić i zatopić.

W jeziorze Cibórz do roku 1964 występował masowo sandacz. Przy brzegach można było obserwować duże stada narybku tego gatunku. Podrywka - żywcówka, często udawało się poderwać kilkukilogramowego sandacza. Jednego razu poderwałem takie okazy dwa naraz. W letnie wieczory i noce jezioro huczało od charakterystycznego plusku tych ryb. Wyglądało to tak, jakby po całym jeziorze rzucano duże kamienie. Rozlewisko było porośnięte gęstą, podwodną roślinnością. Aż kotłowało się od lina, szczupaków, dużych karasi, okoni, leszcza, wzdręg. Płoci nikt nie chciał łowić, które denerwowały wędkarzy obżerając przynętę. Nie żałował ten, kto się ustawiał na łowienie węgorzy. Jezioro Cibórz było najbogatsze w ryby na terenie naszego województwa. A to dlatego, że na terenie pod nadzorem wojska nie było żadnego kłusownictwa. Oczyszczalnia zbudowana przez Niemców dla wojska spełniała swoją rolę. W roku 1958 wojsko opuściło koszary Cibórz ze względu na duże koszty utrzymania jednostki wojskowej bez komunikacji kolejowej. Koszary zostały przekazane władzom cywilnym, które zajęły się organizacją utworzenia w Ciborzu Szpitala dla Psychicznicy i Nerwowo chorych.. Na jeziorze wolnym od zakazu pojawiło się mnóstwo wędkarzy. W dni wolne od pracy brakowało wolnych miejsc na stanowiska dla spóźnialskich. W weekendy nanockach nad jeziorem było gwarno. Wędkarze biwakowali ze Świebodzina, Sulechowa, i Zielonej Góry, a nawet z Nowej Soli. Jednego nawet spotkałem, który przyjechał motocyklem BMW aż z Wrocławia. Wyrafinowani wędkarze mieli dobry sprzęt wędkarski. Wielu z nich miało kłopoty, by złowione ryby zabrać na motorower. Wędkarzy najbardziej zachęcał sandacz. Kto był ustawiony na jego łowienie, każdy wracał do domu z kilkoma okazami.

Pierwsi kłusownicy co się pojawili na jeziorze Cibórz, byli to kierownicy administracji szpitala. Na łódce z drygawicą penetrowali brzegi jeziora. Ich śladem poszedł cały personel, którzy byli wędkarzami. W obawie przed władzą kłusowali tylko po nocach. Prócz sieci rozciągali na noc po jeziorze sznury, polując na sandacza i węgorza. Zasoby ryb z roku na rok malały.

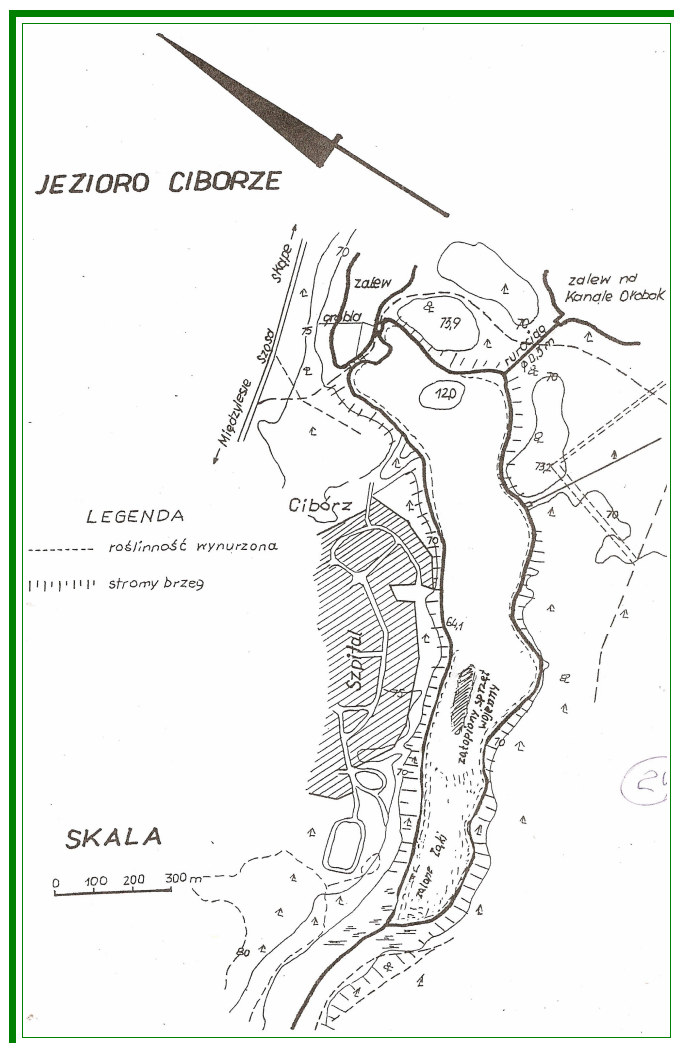
W roku 1959 jezioro Cibórz i strumyk od jeziora Niestysz do Odry zagospodarowało Państwowe Gospodarstwo Rybackie w Międzyrzeczu. Wojenne tamy umocnienia sprawiły, że bez żadnych nakładów przystąpiono do hodowli karpia. 12 tam na strumyku utworzyło 10 akwenów hodowlanych. Latem 1960 roku rybacy niewodem odławiali pierwszy raz jeziora Cibórz. Miałem wtedy dyżur elektryka w szpitalu i trochę czasu, więc obserwowałem odłowy. Na pierwszej, wschodniej połowie jeziora połów był udany i bardzo obfity. Zadowoleni rybacy zacierając ręce, przygotowali się do odłowu drugiej połowy jeziora od strony Międzyzlesia. Ciekaw byłem, czy opowiadania niemieckiego kowala Galke sprawdzą się. Zarzucono sieć od strony Ciborza przy kajakarni. Koniec odłowu miał być na przeciwnym brzegu od strony lasu. Gdy sieć się oddaliła o

kilkadziesiąt metry od brzegu, zaczęły się problemy. Rybak z łódki z hakiem na drągu, bez przerwy odhaczał spód sieci. Godziny mijały, a sieć bez problemów nie posuwała się do przodu. Od południa do wieczora sieć pokonywała przeszkody na odcinku 300 m. W końcu wyciągnięto tylko fragmenty niewodu. Po przeszło czterdziestu latach rybacy ponoć do tej pory nie próbują odłowu na drugiej połowie jeziora.

Do póki w Ciborzu stacjonowała jednostka wojskowa, (jak już wspomniałem) ścieki odprowadzane do jeziora w znacznym stopniu były oczyszczone. Jednak dla ścieków szpitalnych, wojskowa oczyszczalnia nie spełniała w pełni zadania. Rybacy to dostrzegli. Z początkiem lat sześćdziesiątych rozpoczęto inwestycję mającą na celu odseparowania jeziora, które zatruwało stawy hodowlane ściekami. Kanał, który łączył jezioro ze strumykiem na odcinku 50 m. zasypano. Zbudowano wysoką groblę. W ten sposób aorta życia dla jeziora została odcięta. Po przeciwnej stronie jeziora wykonano rurociąg odpływowy. Połączono nim jezioro ze stawem nr. 6. Rurociąg o śred. 50 cm miał zastąpić kanał odpływowy, który został zlikwidowany. W lutym 1964 roku ryby w niedotlenionym jeziorze zaczęły się dusić. Ludzie z okolicznych wsi i mieszkańcy Ciborza, leżąc pokotem na łodzi wyciągali na oko duże, zamroczone ryby z przerębli. Każdy obławowany rybami wracał do domu. Wiele ton ryb od zaduchy wypłynęło rurociągiem na stawy, a najwięcej sandacza. Gdy łód stopniał, wokół jeziora brzegi były białe od śniętych ryb, Węgorze także nie wytrzymały zaduchy. Wiele ich było o metrowej długości wśród różnorodnych ryb. Rurociąg po kilku latach został zapchany przez spływające nieczystości i gałęzie. Po kilkunastu latach woda rurociągiem tylko się sączyła. Ścieki szpitalne prawie nie oczyszczane spływały do jeziora ponad 10 lat. Pod koniec lat siedemdziesiątych wyginęły nawet karasie. Wyginęła także roślinność wodna, która wpływała na rozwój biologiczny ryb. Została tylko wysoka roślinność odporna na zanieczyszczenia. Porastają ją brzegi jeziora i całe rozlewisko. Perkozy, które występowały masowo też opuściły jezioro. Podniesiony poziom jeziora wpłynął także ujemnie na otoczenie i przyległy do niego las. Piękne sosny i inne drzewa, rosnące na stromych zboczach, przez lata podmywane są przez fale. Przez dziesiątki lat padały do jeziora i na zawsze pozostały w jego toni. Ryby, które przetrzymały, skarłowaciały.

Pod koniec lat siedemdziesiątych szpital wybudował nową oczyszczalnię. Oczyszczone ścieki zostały odprowadzone aż do strumyka na bieżącą wodę. Jednak przez 25 lat bez wymiany wody w jeziorze życie biologiczne do niego nie powróciło. Pozostałe ryby nadal są karłowate. Ich chore ciała pokrywają czarne kropki. Latem jezioro wygląda jak obumarłe. Nie pluśnie w nim żadna ryba. Czy kiedyś znajdzie się mądry i troskliwy gospodarz, który piękne jezioro pobudzi do życia i przywróci mu pierwotną formę? Dlaczego ludzie po pracy nie mogą odpoczywać nad czystym jeziorem, a wędkarze nie mogą się cieszyć ta-a-a-ką złowioną rybą? Dla osiągnięcia tego celu nie są konieczne wielkie nakłady. Potrzebna jest tylko chęć, by się zatroszczyć o piękno ciborskiego otoczenia natury, wystarczy odkopać zasypany kanał na odcinku 50 m. Odkopać pomieszczenie mechanizmu tamy. (Mechanizm jest wykonany ze stali odpornej na korozję). Dorobić do mechanizmu korbę. Manewrując tym urządzeniem przez dwa tygodnie, można wymienić całkowicie wodę w jeziorze, oraz obniżyć jej poziom. No i pozostałoby tylko wybudować na grobli drewniany mostek. Byłby to wielki prezent od władz dla okolicznych mieszkańców.





*Dno jeziora kilkakrotnie penetrowane*

Myślę, że w wyniku tego zabiegu, gospodarka rybicka także mogłaby na tym skorzystać. Żadne inne rurkowe zabiegi nie pobudzą jeziora do życia, ani nie poprawią nastroju pobliskich mieszkańców. Czyste i tętniące życiem jezioro będzie skarbem naszej gminy. A na przyszłość może ktoś pomyśli, by na tym wodnym szlaku w Ciborzu między oczyszczalnią a szosą wybudować dla wędkarzy, grzybiarzy i wodniaków schronisko. To byłby już dobry początek na rozwój walorów turystycznych w naszej gminie.



*Widok jeziora w kierunku Międzylesia.*

## LOSY STRUMYKA

Po wybudowaniu tam Niemcy spiętrzyli wodę we wszystkich akwenach. Przez 6 lat wojny wszystkie akweny były zalane. Po wojnie Polacy podnosili dzwony tam i opuszczali. Tam, gdzie dostrzegli możliwość uprawiania łąk, dzwony były uniesione. Na tych łąkach zbierano siano i wypasano bydło. Akweny: nr 1,2,3,7,8 i 10 nie były spuszczone z różnych przyczyn. Na tych akwenach był raj dla wędkarzy, a woda wrzała od ryb. Na początku lat sześćdziesiątych wszystkie akweny zagospodarowało Państwowe Gospodarstwo Rybackie w Międzyrzeczu. Wszystkie tamy podniesiono. Wielkie ilości ton dzikich ryb odłowiono. Tony pozostałego narybku wybito agregatami prądowymi z łodzi. Wszystkie akweny zarybili karpem i dodatkowo amurem. Na rozległych terenach powstało wielkie kłusownictwo. Zatrudnieni zostali stróże z bronią myśliwską. Nic nie pomogło, bowiem stróże sami handlowali karpami. Byłem raz wynajęty przez stróżów przewiezienie karpia na handel do innej miejscowości. Uzbrojonych stróży zlikwidowano. Następni stróże bez broni, by bronić się przed kłusownictwem, wokół rozległych akwenów ścinali nad brzegami drzewa. Tysiące sztuk drzewostanu na brzegu w wodzie, w pewnym stopniu przeszkadzało kłusownikom. Dlaczego Lasy Państwowe przymykały na to oko? Kłusownicy zawsze znachodzili sposób, by z pustą torbą czy workiem nie wracać do domu. Przy odłowach karpia, co roku giną tony narybku dzikich ryb. Kanał w Przetocznicy do połowy lat siedemdziesiątych był głęboki i bogaty w dzikie ryby. Wędkowali tam tylko „uprzywilejowani”, albo także ci, którzy uiszczali dodatkowe opłaty. Często przy młynie w Przetocznicy wędkował pierwszy sekretarz Wojewódzkiego Komitetu Partii towarzysz Hebda. Począwszy od górnego biegu akweny co roku były spuszczone do odłowu ryb hodowlanych, a także i dzikich. Korytem strumyka z akwenu do akwenu, spływały tony mułu. Z kanału w Przetocznicy z powodu uszkodzenia urządzenia podnoszącego dzwon jazu, woda nie była całkowicie spuszczana. Tam właśnie po czterdziestu latach użytkowania strumyka ze wszystkich stawów spływał muł. Teraz kanał prawie na całej 800 metrowej długości jest całkowicie na całej głębokości zamulony. Drzewa rosnące nad kanałem podmyte padają do wody. Przez 30 lat bobry też przyczyniły się do jego degradacji.



*Zdegradowany kanał w Przetocznicy. Po prawej widoczny młyn.*

Od początku lat siedemdziesiątych nad kanałem pojawiała się czarna „wołga”, jako Wojewódzka Straż Ochrony Przyrody. Pojawiali się tam także wędkarze bez specjalnych zezwoleń, łowiąc skarłowaciałe płocie. Straż przyłapanych karała słonymi mandatami i zabierała im sprzęt. Nikt nie karał tych, którzy uśmiercali kanał. I nikt nie zmusza winowajców do jego oczyszczenia.

W Urzędzie Gminy w Skapem znajdują się dokument, że ten strumyk jest szlakiem wodno-turystycznym. Ale kiedy on nim był?

Wielka szkoda, że młodzież tutejsza i z dalszych okolic nie może spędzić wakacji i odpocząć nad wodą, która podąża do swej matki Odry. Podczas spływu kajakiem podziwiać tak

piękny krajobraz. Posłuchać śpiewu różnorodnych ptaków. Odetchnąć pełną piersią zdrowym powietrzem w sercu natury, nad strumykiem tak bogatym w dawne, zapomniane dzieje.

## **W PODŁĘJ GÓRZE PODLI LUDZIE**

Pod tym tytułem w połowie lat osiemdziesiątych w minionym stuleciu na łamach „GAZETY LUBUSKIEJ” pojawił się artykuł. Nie pamiętam za co łajano tych godnych, zapracowanych ludzi. Teraz, po odkryciu pod koniec 2008r. tajemniczych grobów większość ludzi kojarzy nie miłą nazwę wsi z tragedią, która tu się rozegrała podczas minionej wojny. Wg moich przypuszczeń i przekonań po rozmowie z przedstawicielem UB w czasie powojennym miano tej wsi nadała „pierwsza władza”. Dla umocnienia tej władzy angażowano młodych ludzi, a często wśród nich byli analfabeci. Ci funkcjonariusze nosili garnitury szyte na miarę u krawców ze wzmocnioną kieszenią na broń. /Zawód krawcy praktykowałem na początku 1948r. U starszego brata Arseniusza, który był w okolicy znanym rzemieślnikiem z tej branży/. Ci funkcjonariusze władzy, którzy umieli czytać i pisać nosili teczki z pokaźnym notesem i kopiowym ołówkiem. Analfabeci prócz pokaźnego pistoletu nic nie nosili. Raport z terenu zdawali swoim szefom ustnie. Jeden z takiej władzy, znajomy z pobliskiej miejscowości zamówił także uszycie garnituru. Dwa razy zjawiał się do przymiarki. Podczas tej czynności, szcząc się swoją „armatką” kładł ją na stole. W dniu, kiedy odbierał uszyty garnitur podczas płacenia za usługę postąpił honorowo i nie zabrał drobnej reszty. Poświęcił nam więcej czasu niby na koleżeńską rozmowę. Wypytywał, z jakich wsi odwiedzają nas klienci. Najbardziej interesował się bogatszymi rolnikami. Szczerze nam się zwierzał jaką pełni funkcję. Jak często odwiedza gospodarzy dla uzyskania informacji o ich rodzinach. Niektórzy gospodarze, by załagodzić sprawę częstowali tą „władzę” czym tylko mieli, a nawet i bimbrem, kiedy jeszcze nie było zakazu jego produkcji. Niektórzy traktowali ubowców z wyrażaną nienawiścią. Nasz klient też nam się zwierzył, że w Steinbachu są nie życzliwi i podli ludzie.

Po opuszczeniu naszych terenów przez Armię Czerwoną zmieniano poniemieckie tablice z nazwami wsi. Mittwalde przetłumaczyli poprawnie na Międzylesie. Steinbach nie został przetłumaczony poprawnie na Kamienny Potok, lecz nazwano go Podłą Górą. Czyż to nie po złośliwości te miano nadała tak ważna władza? Dla Skampe też nie chcieli zastanawiać się nad godniejszą nazwą. Dorysowali do litery „a” ogonek i po kłopotcie. Dla wsi Lanken nie znaleźli w słowniku odpowiednika. Tłumacz musiał pochodzić z Łemków, gdyż zamiast Łąki napisał Łąkie. Tak to powojenna, niechlubna władza uwieczniła po sobie nie chlubne pamiątki. Zrobiła z naszych godnych ludzi gminy skąpych i podłych.

Z zapisów archiwalnych wynika, że osady Mittwalde i Steinbach zakładano w XIIIw. Nazwy tych osad nazwano w/g otaczającej natury. Osadę Steinbach zakładano w pobliżu naturalnego, kilkuhektarowego jeziora z którego odpływał potok. Z pewnością w tamtych czasach w potoku musiały być kamienie.

Los tego naturalnego jeziora opisałem w poniższym rozdziale.

## **WALORY TURYSTYCZNE NAD STRUMYKIEM**

Rzeczka Ołobocka od jeziora Niesłysz do rzeki Odry, może być dużą atrakcją turystyczną. Tu wśród pięknych leśnych krajobrazów mogą odbywać się spływy kajakowe. Tereny wzdłuż całej rzeczki są bogate w wydarzenia historyczne z okresu II Wojny Światowej. Wzdłuż rzeczki można zwiedzać bunkry /pancerwerki/ w/g planów umocnień MRU umieszczonych na początku książki. W tych bunkrach pozostały ponure wspomnienia przypominające koszmar minionej wojny. Tą wojnę młode pokolenie uważa za bardzo odległe czasy. Starsi ludzie, którzy ją przeżyli i jeszcze żyją, im się wydają, że te wszystkie dramaty i tragedie nie były tak dawno. Rzeczka Ołobocka



przepływa w pobliżu jeziora Cibórz, nad którym przed wojną zbudowano niemieckie, warowne koszary. Były one zaprojektowane i ściśle powiązane z budową środkowego odcinka umocnień, czyli Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego. Pozostało tu wiele ciekawych zagadek związanych z tą budową, które do tej pory nie zostały rozwiązane. Do roku 1934, rzeczka ta płynęła tylko w swoim korycie. W końcu lat trzydziestych, ludzka, zaborcza działalność przekształciła rzecznię i zmieniła jej pierwotny kształt. Tu trwała bitwa o zdobycie tych umocnień. Tu ginęli żołnierze po obu stronach rozlewisk tej rzeczki. Każdy turysta zainteresowany dawnymi dziejami może tu doznać wiele wrażeń. Tu warto wspominać wśród bogatej, pięknej natury o dawnych dziejach nad strumykiem.

Pod względem kulturowym te tereny Gminy Skąpe mają ciekawą i długą tradycję. Historycznie związane z ziemią świebodzińską należącą do Śląska, a także z dobrami trzebnickimi jak klasztory, kościoły i dobra ziemskie. Z zapisów archiwalnych wynika, że klasztor w Trzebnicy miał na tym terenie znaczne posiadłości otrzymane z nadania księcia Henryka I Brodatego. Osadnictwo na tym terenie, z uwagi na dobre ziemie uprawne powstało wcześniej, o czym świadczy 49 zarejestrowanych na terenie gminy stanowisk archeologicznych rozmieszczonych w Darnawie, Łąkie, Międzylesiu, Niekarzynie, Nisuliczych, w Skąpem, Radoszynie, Przetoczniczy, Pałcku i Podłej Górze. Są to stanowiska średniowieczne i z wcześniejszego okresu. W wielu miejscowościach zachowały się autentyczne plany zabudowy, często o średniowiecznym rodowodzie. Obiekty o większej wartości zabytkowej są w następujących miejscowościach: Ołobok, Radoszyn, Łąkie, Pałck, Rokitnica, Niekarzyn. W większości wypadków wsie te mają rodowód sięgający XIII w. W tym wieku Ołobok posiadał prawa miejskie. W wieku XIV, gdy Świebodzin w dużym stopniu rozbudowano, Ołobok utracił prawa miejskie.

Na południe od Podłej Góry (przed wojną Steinbach) jest także ciekawa budowla w lesie. Na początku XX wieku wykopano wąwóz o długości kilkaset metry o głębokości 5 m. Można wyobrazić, jak w tym czasie bez odpowiedniej mechanizacji przekopano tak długie wzniesienie. Na dnie wykopanego wąwozu ułożono rurociąg betonowy o średnicy 50 cm. Ze studzienkami do jego czyszczenia. Tym rurociągiem spuszczało wodę z naturalnego jeziora, które od wieków po śnieżnych roztopach i po letnich ulewach podtapiało częściowo wieś. Po osuszeniu dna tego jeziora przez 70 lat uprawiano i pozyskiwano z niego siano. W osiemdziesiątych latach zaniechano uprawy tych łąk. Wlot do rurociągu spływających rowem wód z łąk nie był oczyszczany. Rurociąg zapchał się, przez to jezioro na nowo odradza się. Kamień, upamiętniający budowę, spocznie w toni odrodzonego jeziora.

Gmina Skąpe zaprasza turystów z bliskich i dalszych okolic do zwiedzania ciekawych terenów, bogatych w historyczne dzieje, gdzie można podziwiać krajobrazy i skorzystać z darów natury, które oferują piękne wody i lasy. Środowisko tych terenów jest wyjątkowo naturalnie czyste.



cząbry



Piękno naszej gminy

# **ATRAKcje TURYSTYCZNE** **GMINY** **SKAPE**



## **LEGENDA:**

- lasy
- drogi
- szlak wodny
- czerwony szlak pieszy
- zielony szlak pieszy
- hotel
- restauracja
- kościoły zabytkowe
- zabytki inne
- parkingi przydrożne
- poczta
- ośrodek zdrowia
- gospodarstwo agroturystyczne
- szpital
- schronisko młodzieżowe
- muzeum
- camping
- ośrodek żeglarski





**MAPKA GMINY SKAPE**



**Wójt Gminy Skape Zbigniew Woch**  
**Gospodarz wielkiej troski**

## DODATEK O MIĘDZYLESIU



*Panorama Międzylesia od strony południowej*



*Około stuletnia „czeremcha zakochanych” Tu na wiosnę wśród kwitnących łąk, wspaniałych lasów i ptasich treli upływała piękna młodość wielu pokoleń. To urocze miejsce wspomina w nostalgii każdy mieszkaniec Ciborza i Międzylesia, których życia los zmusił opuścić bezpowrotnie urocze kątki swojej młodości.*





*Łąki Międzylesia w kierunku Ciborza. Na dalszym planie widoczne dwa kasztany, pod którymi kilka pokoleń dzieci prze bawiło swoją bez troskę.*



*Po lewej stara i nowa szkoła w Międzylesiu*



*Przystanek autobusowy*





*Dom mojej młodości*



*Przed wojną mieszkał rolnik Kubisch, po wojnie rodzina Kimsów, obecnie skansen.*



*Zima przy moim domu*



*Rozbudowana szkoła*



*Nowa hala sportowa*

**KONIEC**